

39 709

39 710







Z ZIEMI NIEWOLNIKÓW.

Dodatek do Nr 9 „Wędrowca.”



# Z ZIEMI NIEWOLNIKÓW

przez

H. STANLEYA

PRZFŁOŻYŁA

Zofia Grabowska.



WARSZAWA

Nakładem Redakcyi „WĘDROWCA“

—  
1890.

Дозволено Цензурою.  
Варшава, 15 Февраля 1890 года.



39710

---

Друк Saturnina Sikorskiego, Chmielna Nr. 30.

NH-64254/TMK



## ROZDZIAŁ I.

Amina, żona Szeika Amira. — Narada arabów. — Kraj Rua. — Syn konsula. — Selim i Iza uzyskują pozwolenie towarzyszenia wyprawie, — Boleść Aminy. Karawana odplywa do Bagamojo.

O jakie cztery mile na północ od miasta Zan-zibaru, o pół mili od ładnej zatoki, pędził życie, przed kilku laty, pośród krewnych i przyjaciół, dostojny arab z pokolenia Beni-Hassan, nazywany Szeik Amir ben Osman.

Szeik Amir nakazywał szacunek nie tylko wysokim rodem, ale charakterem, niewyczerpaną hojnością i ludzkim obchodzeniem się z mnóstwem niewolników murzynów.

Najukochańszą z żon Amira była piękna czarnooka Amina, córka Otmanua ben Gis z pokolenia Beni-Abbas. Najwyższą dla niej pochwałą będzie, gdy powiemy, że pod każdym względem godna była

swego małżonka, Szeika Amira. Wierni niewolnicy wysławiali przy każdej sposobności, cnoty i zalety Aminy.

Wspaniała rezydencja Amira wznosiła się wśród gaju pomarańcz i mangów. Na jego rozległych polach, zawsze starannie uprawianych, rosły drzewa cynamonowe, gwoździkowe, pomarańcze, mangi, granaty, guawy i wiele innych drzew owocowych. Zbierano też wszystkie zboża i wszystkie warzywa, znane w Zanzibarze. Amir pracował, nie szczędził starań, wszystkiego doglądał osobiście i posiadłość jego uchodziła za najbardziej kwitnącą na wyspie. Wydał ogromne sumy na przyozdobienie swego pałacu, ale też starsi ludzie, którzy widywali gmach ten za czasów Osmana, nie mogli go poznać. Szczególnie był piękny duży dziedziniec wyłożony taflami marmurowymi, który upiększały wodotryski i baseny marmurowe, służące niewolnikom nawróconym na islamizm, do obmywania rąk i nóg przed odprawieniem modłów w medżidź (kaplica czyli meczet prywatny, jakie się znajdują zwykle w bogatych domach.)

Amir miał tylko jednego syna, Selima, którego bardzo kochał.

Selim równał się pięknością swej matce: tak samo jak ona miał oczy duże, czarne, ogniste, i białą skórę. Przytem silny był, jak ojciec. W chwili, kiedy się zaczyna niniejsza opowieść, skończył on właśnie piętnaście lat.

Było to przed samym zachodem słońca. Amir i grono jego przyjaciół siedzieli na pięknych kobier-

cach perskich przed domem, nawprost zatoki. Drobne fale, gnane wietrzykiem wieczornym, uderzały o brzeg z cichym, przyjemnym szmerem, i wsiąkały w piasek.

Amir ze swą drużyną był dosyć blisko morza, by słyszeć plusk tych fal, dosyć jednak daleko, żeby go ich wilgoć nie dosięgała.

Onego wieczoru gościli u Amira: Kamis ben Abdallah, bogaty negocjant, który tylko co powrócił z Afryki ze znaczną ilością kłów słonich i niewolników; Szeik Mohammed, urodzony w Zanzibarze sąsiad i krewny Amira; Szeik Tani-ben-Mossud, stary wytrawny kupiec; Szeik Mussud ben Abdallah, arab z Maskatu; nakoniec Szeik Hamdan i Szeik Amran, urodzeni w Zanzibarze, ale zarazem arabowie czystej krwi.

Prócz tej gromadki ojców znajdowały się tam ich dzieci: Soliman i Sud—siostrzeńcy Amira, w bogatych strojach; Iza, syn szeika Tani, o skórze ciemniejszej niż ogółu młodych arabów; czternastoletni Abdallah i dwunastoletni Mussud, obaj synowie Szeika Mohammeda, mający tak białą cerę, jaką mieć mogą tylko potomkowie Izmaela; nareszcie ukoc hany syn Amira, Selim, który odrazu pociągał otwartą, niewinną, uczciwą fizjonomją.

Miał on na sobie krótki kaftan z pięknej materji karmazynowej, haftowanej złotem oraz koszulę z białego jak śnieg muślinu (disdash) spadającą do kolan i ściągniętą przepyszny pasem z Maskatu (sohari). Głowę ładnego chłopięcia pokrywał fez pon-

sowy ze złotym chwastem, okręcony wspaniałym turbanem.

Na dalekim widnokręgu, poza zielonowemi falami morza zanzibarskiego, widnieje linja ciemno-błękitna: to wybrzeże afrykańskie.

Wszystkie oczy są zwrócone ku tej linji.

Amir wyrwał się z zadumy i rzekł:

— Od dwudziestu lat, co wieczór siadam tu, przy mych mangach, i wpatruję się w tę ciemną linję. Zawsze pragnąłem zbliżyć się do niej i zobaczyć tę ziemię afrykańską, z której nasi kupcy czerpią kość słoniową i niewolników.

Zwracając wzrok w stronę Kamisa, dodał:

— Nigdy jeszcze nie życzyłem sobie tego tak gorąco, jak dziś wieczór; musiało na mnie oddziałać twoje opowiadanie, żeś przywiózł pięciuset niewolników i osiemset *frasilah* (\*) kości słoniowej z Ufipa i Marungu. Świetna zdobycz! Pięciuset niewolników w dobrym stanie, to czyni conajmniej dziesięć tysięcy dolarów — a osiemset *frasilah* kości słoniowej znaczy czterdzieści tysięcy dolarów. I to w przeciągu pięciu lat! Na proroka! Błogosławione niech będzie imię jego. Muszę zobaczyć tę ziemię!

— To, com mówił, jest prawdą,—odpowiedzia Kamis, — świadczę się Allahem. Ale istnieją daleko cudowniejsze krainy, aniżeli Morungo i Ufipa. Rua o kilka dni pochodu, wysunięte bardziej na zachód, jest rozległą okolicą, do której arab rzadko kiedy za-

---

(\*) 35 funtów ang.

blądzi. Said, syn Habiba, był w Rua i dużo dalej, przebiegł Afrykę aż do morza zachodzącego słońca i pojął za żonę białą kobietę z Saint-Paul-de-Loanda. Opowiada on, że poganie w Rua używają kłów słonich w miejscu belek do podparcia dachów swych chat i że kość słoniowa jest tam tak pospolita, jak drzewo. Ci dzicy znają miejsca, w których myśliwi pozabijali całe stada słoniów, i inne, gdzie słonie poumieraly z pragnienia lub chorób, i pozwalają, by kości tych zwierząt gnily, nie znając się na ich wartości. Możemy stać się bogatsi od Medżida, naszego sułtana, jeśli przybędziemy w porę—zanim się dowiedzą arabowie. To, co zdobył, jest niczem w porównaniu z tem, co mogę jeszcze zdobyć, jeśli Allah pozwoli. Udam się do Rua, i jeżeli zechcesz mi towarzyszyć, Amirze, synu Osmana, wierzaj mi, że tego nie pożałujesz.

— Nie odwołam wyrzeczonego słowa. Powiedzia'em, że pojedę, i na brodę moją, pojedę, jeśli Allah pozwoli! Ale opowiadaj nam jeszcze o poganach z Rua i z krain przyległych do wielkich jezior. Czy stamtąd są dobrzy niewolnicy? Nie ma się o co pytać zresztą, wszakże ja sam, od dwudziestu lat mam dwóch niewolników z tego kraju, a żaden z tych, co się urodzili w moim domu, nie jest wierniejszy od nich.

— O, to są dobrzy niewolnicy, masz słusność! —zawołał Kamis: Od Mâsr do Kilua nie znajdzie się piękniejszy od tych, co pochodzą z Rua i okolicznych krajów. A jacy inteligentni! Ci poganie wy-

rabiają najlepsze klingi, najlepsze szpady i najlepsze sztylety w całej Afryce. Niektóre ich roboty zawstydzilyby naszych najzręczniejszych puszkarzy zanzibarskich. W pobliżu Kitanga, (nie wiem gdzie jest ta miejscowość, ale Said wie) jedno wzgórze składa się niemal z czystej miedzi. Ludność krajowa wydobywa ogromną ilość tego metalu i wyrabia z niego bransolety, obrączki na ręce i nogi i rozmaite inne ozdoby. Nawet w Maskacie nie da się nic porównać z tem, co Said widział.

— Wzgórze z miedzi! z czystej miedzi!—zawołał Amir z zachwytem. A ci poganie są to tacy piękni ludzie i tacy bogaci! Gdybym sprowadził choćby tylko dwustu lub trzystu tych niewolników, żartowałbym sobie z Ramji, tego psa z Banjanu. Nawet stary Luda-Dama nie zadzierałby wyżej głowy odemnie. Te psy lichwiarze! Jakże oni mnie wyzyskiwali, gdym potrzebował pieniędzy na dziedziniec i wodotryski! Cóż, moi bracia i przyjaciele, pojedziemy z Kamisem do Rua po kość słoniową, niewolników i miedź?

— Chętnie!

— Cieszy mię to—rzekł Kamis—ale, nie tracmy czasu. Słońce schyla się ku zachodowi, naznaczmy więc niezwłocznie dzień wyjazdu. Ja już poczyniłem przygotowania i nie mogę długo czekać. Będziecie gotowi od dziś za 24 dni, kiedy księżyc będzie także na nowiu?

— Stawimy się.

— Dobrze.—Powiedz-że mi, Amirze, ilu zbrojnych ludzi możesz wziąć z sobą?

— Dwustu dobrze uzbrojonych, oprócz moich dwóch wiernych *fundis*: Simba (Lew) i Motto (Ogień) jak ich niewolnicy nazywają. Oni sami warci tyle, co wojsko całe; dalej...

— Zabierz mię z sobą, ojcze!—zawołał Selim—usiadł na kobiercu tuż przy kolanach ojca i wpatrzył się weń tak gorąco, tak błagalnie.—Ze mnie dzielny strzelec—mówił.—Dobry *Balajuz* (\*) nauczył mię używać tej nowej fuzji, którą mi sprowadziłeś z Londynu, z kraju anglików. *Balajuz* powiedział, że niezadługo będę lepiej celował od niego. Zabijam ptaka w locie. Ojcze, pozwól, żebym ci towarzyszył! Przyrzekam ci być ostrożnym i odważnym.

— Słyszyciel! — zawołał Amir z zachwytem.—Prawdziwy beduin nie mówiłby lepiej. Ale, dziecię moje, dlaczego chcesz tak rychło opuścić matkę?

— Wiem, że ją to zasmuci, lecz jestem już duży i silny... Cóżby ze mnie było, gdybym całe życie siedział w haremie? Muszę kiedyś odjechać matkę, żeby tak żyć, jak inni mężczyźni.

— Skąd ci przychodzą takie myśli do głowy, mój Selimie? Kto ci powiedział, żeś za duży, żeby zostawać przy matce.

— Parę dni temu poszliśmy strzelać do ptaków, z Solimanem, synem księcia Medżida i z synem *balajuza* amerykańskiego (nie mogę wymówić jego imienia). Mały amerykanin, który jest mniejszy odemnie,

---

(\*) Po arabsku: konsul, albo raczej ambasador. Tu mowa o konsulu.

a jednak uważa się już za dorosłego mężczyznę, zaczął się śmiać ze mnie; a gdym zapytał, czego sięś mnie, odpowiedział:

— Doprawdy, Selimie—przypominasz mi dziewczynkę, którąby matka kąpała codzień w mleku, żeby miała ładną cerę. Nie rozumiem tego, że mały arab nie śmie oddalić się od matki.— Soliman jął drwić ze mnie, zaczerwieniłem się ze wstydu i uczułem, że mi twarz pała.

— Cóż cię mogą obchodzić sądy jakiegoś czelnego malca, nazareńczyka! (\*) Trzeba wam wiedzieć — dodał Amir, zwracając się do swych gości — że ci mali nazareńczycy są zuchwalsi od naszych dzieci, ale w gruncie nie mają więcej śmiałości i odwagi. Ktoby to pomyślał, że w tak małym ciałku jest tak wiele poczucia niezależności. Ten chłopczyk nie ma jeszcze dwunastu lat, a mówi, jak dojrzały mężczyzna. Wszyscy ci nazareńczycy są osobliwi, osobliwi! Jestże kto silniejszy i bogatszy nad nazareńczyków z Anglii?

— Prawda — dodał Selim — ale na wszystkich cięży klątwa Allaha! Syn Balajuza powiada, że to arabowie są wyklęci przez Boga; że Bóg nie obdaru ich inteligencją i rozumem za to, że się udają do Afryki z uzbrojonymi niewolnikami, żeby zabijać biednych murzynów, żeby brać do niewoli rodziców i dzieci. Nie jestże to pohaniec, ojczu?

— Cicho! Selimie, niechaj twój język nie wy-

---

(\*) Chrześcjanin.



mawia nigdy tego, com usłyszał—nawet gdybyś powtarzał tylko słowa złośliwego pieska. Puść to w niepamięć i niechże ojciec nie słyszy już nic podobnego z twych ust przeciwko twej rasie. Allah rzekł o niedowiarkach: Biada im, pochłoną ich płomienie.

— Nie gniewasz się na mnie, ojcze? Jeszcześ mi nie dał przyzwolenia.

— Ale wiesz ty, moje dziecię, że ci poganie są okrutni, że mają lance i noże, że ucieliby twą lubą, szyjkę i pozarliby cię bez wyrzutu sumienia?—zapytał Amir z uśmiechem,

— Ja się ich nie boję—odpowiedział Selim, dumnie podnosząc głowę.—Kiedyż to syn pokolenia Beni-Hassanów zdradził jaką obawę? A ja, syn Amira, miałbym się lękać pogan!

— Pojedziesz ze mną, chociażby tylko za to, coś powiedział przed chwilą.

Położył uroczyście szeroką dłoń na głowie syna i dodał: Nie bój się niczego, Allah będzie czuwał nad tobą!

Kamis, widząc, że się słońce skryje za chwilę, okazał pewne zniecierpliwienie.

— Porozumiejmy się przed zachodem słońca.—Szeiku Tani, ilu ty ludzi możesz zabrać z sobą?

— Pięćdziesięciu dobrze uzbrojonych i syna mego, Izę.

— Doskonale, wyborny chłopak z Izy; chociaż ma skórę czarną, dusza w nim—araba. Widzę, że będziemy mieli dobre towarzystwo. A ty, Mussudzie?

Mussud, o czerstwym obliczu i czarnym gęstym zaroście, odpowiedział

— Prawie tyle, co i mój przyjaciel Tani! Wszyscy moi ludzie pochodzą z Uahiju, są więc ulegli i dobrzy. Będą oni mężni w szeregach i wszędzie pójdą za mną.

— Coraz lepiej! — wykrzyknął Kamis z widocznym zadowoleniem. A ty, szeiku Mohammedzie?

Szeik Mohammed, postrach ufipów i marungów, przedmiot podziwu dla niejednego pokolenia, odparł grubym głosem, który przypominał ryk dzikiego bawołu.

— Na tak ważną wyprawę mogę wydobyć stu ludzi z moich ziem. Pomocnicy moi i brat mój, Raszyd, dokonają reszty. Prócz tego będzie mi towarzyszyło dwóch lewków: Abdallah i Mussud, żeby się nauczyli chwycić niewolników, jakem ja sam czynił to nieraz.

— Dziękuję ci, ojczy: — zawołało dwóch młodzieniaszków z radosnym uniesieniem i rzucili porozumiewające się spojrzenie na towarzysza swego, Selima, który się uśmiechał.

— Sułtanie, synu Alego — mówił dalej Kamis — jesteś człowiekiem mądrym i potężnym — będziesz należał do naszego grona?

Sułtan, syn Alego, liczący od pięćdziesięciu do pięćdziesięciu pięciu lat miał rysy twarzy bardzo wyraziste i czarne oczy, szczególnie żywe. Zarazem mądry i potężny, był on jednym z najlepszych typów śmiałego naczelnika — beduina. Zresztą sułtan,

o był niegdyś oficerem wysokiej rangi w wojsku księcia Tuwejuni z Maskatu. Księżę nieraz miał sposobność chwalić śmiałość, hart, ogłędność, zręczność w dowodzeniu swą dziką konnicą.

Był on jeszcze w sile wieku.

Sultan, bez wahania, odpowiedział Kamisowi:

— Wszędy, gdzie pójdzie drogi przyjaciel mój, Amir, tam i ja pójdę. Czy myślisz, że siedziałbym tu beczynn timer w Zanzibarze, podczas kiedy mój krewny Amir narażony będzie na niebezpieczeństwa? Nie! Będę dzielił z tobą losy.— Wezmę z sobą osiemdziesięciu niewolników.

— Dobrze! Dobrze!—zawołali arabowie jedno-głośnie. Gdzie tylko przejdzie potężny syn Alego, tam droga jest pewna. Przy nim niebezpieczeństwo nie istnieje.

— Dobrze!—powiedział Kamis, — mamy więc osiemdziesięciu ludzi zapewnionych. Ja wezmę z sobą stu pięćdziesięciu uzbrojonych w fuzje. Szeik Hamdan, Szeik Amran i kilku innych przyjaciół naszych, do-ciągną ilość walczących do siedmiuset. Iza, syn Seli-ma i Raszyd, wszyscy młodzi i silni, wszyscy krewni, obiecali już przyłączyć się do nas. Im więcej bę-dziemy mieli arabów, tem lepiej.

— Doskonale,—odezwał się znów Amir,—a więc rzecz postanowiona. Co do mnie, jestem zupełnie zde-cydowany. Słońce już zaszło, idźmy więc odprawić modły.

Amir podniósł się i wszyscy poszli za jego przy-kładem.

Biedna Amina nie odgadywała, jakie ją czeka zmartwienie. Amir nie mając odwagi oznajmić jej, że ukochane dziecko ją opuści, powierzył Selimowi te drażliwe posłannictwo.

Syn Aminy zwrócił więc kroki do haremu, gdzie matka panowała samowładnie. Mało które dziecko w wieku Selima okazałoby matce swej tyle czci i poszanowania, jak Selim, gdy się do niej zbliżył.

Najwpierw pocałował ją w prawą rękę, potem stał, dopóki nie dała znaku, żeby usiadł obok niej.

— Matko,—rzekł—zgadnij, jaką wiadomość przynoszę ci.

— Pewnie bardzo ważną?—rzekła z uśmiechem. Nie dręczże mię, mów, proszę cię.

Ale biedna matka przestała się uśmiechać, gdy jej dziecko, z błyszczącymi oczami zaczęło jej mówić o Afryce, lampartach, zebrach, słoniach; które zabijać będzie swą nową fuzją angielską.

Przez przywiązanie macierzyńskie podsuwała różne przeszkody, ale młode orle, poczuwając się do skrzydeł, chciało wzlecieć.

Selim pragnął stać się mężczyzną, obiegać świat, widzieć nowe rzeczy, dowiedzieć się wszystkiego, co mu było obce. Zresztą podlegały go drwiny młodego amerykańcina.

Amina czuła, że się jej syn wymyka i że będzie musiała poddać się temu. Zwiesiła głowę, i żeby ukryć boleść, zabierała się odejść do swego mieszkania.

— Matko, zawołał Selim, chwytając ją za rękę, którą z uszanowaniem poniósł do ust—nie gniewaj się! Allah tego chce; niechaj się stanie wola Allaha!

— Tak — rzekła słabym głosem — niechaj się stanie wola Allaha!

Uściskała syna, lecz do duszy jej wkradł się smutek. Z płaczem odwróciła głowę.

Gdy ogromne przygotowania zostały ukończone ze zdumiewającym pośpiechem, arabowie zebrali wszystko, co im było potrzebne do utrzymania, wyżywienia i uzbrojenia swych siedmiuset ludzi na lat trzy, nie licząc towarów przeznaczonych na handel. Na początku nowego księżyca, w szóstym miesiącu r. 128 hegiry, r. 186 ery chrześc. wyprawa odplynęła do Bagamojo, które znajduje się na lądzie afrykańskim, o 25 mil od Zanzibaru.

## ROZDZIAŁ II.

Pożegnanie. — Amina i Selim. — Cada Simby. — Portret Motta. —  
Małpa Niani. — Motto i słonie. — Historia wojenna. — Kalulu, syn  
królewski.

---

Wyprawa była podzielona na kilka karawan. Pierwsze wyruszyły już w drogę. Piętnastego dnia szóstego miesiąca, członkowie ostatniej karawany, zostającej pod wodzą Amira, żegnali się z przyjaciółmi, którzy tegoż ranka przybyli do Zanzibaru. Sceny pożegnalne są zawsze wzruszające; tembardziej, gdy młodzieńcy po raz pierwszy opuszczają swe rodziny, gdy ojcowie i małżonkowie oddają boskiej opiece istoty, które opuszczają, może na zawsze.

Ilu powróci z tych krzepkich i śmiałych awanturników? Ilu ujrzy jeszcze ukochane osoby, z którymi rozstają się, mimowoli roniąc łzy. Powróci-li

ten zacny, szlachetny Amir, który się pochyła w tej chwili, żeby pożegnać kilku słowy piękną Aminę. Jest on zdrów i silny, otacza go dwustu dobrze uzbrojonych niewolników. Sprzymierzeni z nim arabowie, którzy z liczną eskortą puścili się przodem, dążąc do Simbamueni, z pewnością pozostaną mu wierni. A jednak, któż może zaręczyć, że powróci? Dlatego też zwątpienie, obawa, trwoga malują się w spojrzeniu Aminy, gdy podnosi ku niemu oczy błagalne i żalose.

— Tak, Amino, jeśli Bóg pozwoli, przybędę za dwa lata z takim zasobem niewolników i kości słoniowej, że się stanę największym bogaczem w całym Zanzibarze.—Oto co jej mówił z ożywieniem.

— Amino, pożegnaj się z Selimem, z tą chlubą Beni-Hassanów. On powróci, powróci, i będzie wodzem bogatym i potężnym. Czy nie wygląda jak wojownik, w tym podróżnym stroju? Spiesz się, bo kobiety uderzą w płacz i zatoniemy przed odjazdem!

Uściskał ją serdecznie i odwrócił się. Amina objęła syna długim spojrzeniem, jak gdyby chciała na zawsze wyryć obraz Selima w swem sercu.

— Selimie!—rzekła—rozkoszys serca mego, klejnocie mych oczu! A więc to prawda, jedziesz... Pogrążysz serce matki w rozpacz! Jakaż radość pozostanie mi teraz, kiedy mię opuszczają — syn mój i pan? Czy nie dasz się przekonać? Pomyśl o wszystkim, co zostawiasz tutaj; pomyśl o niebezpieczeństwach, jakie cię czekają.

Biedna matka spostrzegła, że niebezpieczeń-

stwo, zamiast zastraszać jej dziecię, podnieca tylko jego zapal... Zrozpaczona, zaczęła badać wolę Boga. Szukała wróżby w koranie i wyczytała w nim przyszłość. Święta księga przepowiadała, że „naród arabski pokryje się żałobą; że synowie będą oplakiwali swych zamordowanych ojców i że lzy kobiet arabskich będą płynęły tak obficie, jak rzęśisty deszcz.

— Czy zostaniesz teraz?—dodała.—Nie! Dumne dziecię, chroń się od nieszczęść i śmierci, które zakończą tę wyprawę. Nie waż lekko przestróg Allaha! Zastanów się nad tem, że tak jest „napisane“.

— Matko droga, nie mogę zostać. Jeśli jest napisane, że mam przecierpieć te nieszczęścia i ponieść śmierć, to po cóż unikać fatalizmu, zostając tutaj? Jeśli śmierć czeka mego ojca, to moje miejsce przy jego boku—winienem tam umrzeć, jak przystoi synowi naczelnika arabskiego. Ale wszystkie te obawy są płonne, matko moja. Czego ty się możesz lękać dla mnie? Alboż nie będę z walecznym Amirem, synem Osmana? Alboż nie mam fuzji, pałasza? Co mogą przeciw nam te psy—poganie, kiedy mamy na swem czele Kamisa ben Abdallaha i Amira, syna Osmanowego. Miej ufność w Allahu, matko moja. Słyszysz? Trąbią na znak wyruszenia. Ojciec niecierpliwi się, muszę pospieszyć do niego. Uściskaj mię i pobłogosław, matko.

Amina całem sercem pobłogosławiła swe dziecię.

On ścisnął matkę z całych sił, ale czuła, że mu pilno puścić się w drogę.



— Oby cię Bóg miał w swej opiece, dziecko moje—rzekła.

— Oby czuwał nad tobą—odparło chłopię.

Rozstali się—on pobiegł do ojca, ona do przyjaciół, żeby płakać, szlochać i dumać o ukochanych istotach, które posuwały się w głąb dalekiego zachodu.

Długi czas milczeli obaj—ojciec i syn.

Amir szedł prędko, na pozór obojętny, ale fizjonomia jego wyrażała pewność siebie i jakąś stanowczość, która tchnęła dumą.

Selim, godny syn swego ojca, kroczył za nim ze spuszczoną głową. Daremnie osobliwe ptaki zaświergotały dokoła niego, zaśpiewały i frunęły: nie zwracał na to uwagi. Słońce chyliło się ku zachodowi, zmrok się zbliżał: on na nic nie patrzył. Zagłębiał się nakoniec w tę wielką Afrykę, ziemię bajek i dziwów: zdawało się, że nawet nie spostrzega tego, a jednak spełniało się jego dawne i najgorętsze życzenie.

Na przystanku nad brzegiem Kingani, Selim zaczął gorzko płakać. Więc to prawda? Stało się? porzucił dom, w którym było mu tak dobrze,—dla groźnych piasków, dla tej ziemi, na której panuje śmiertelna cisza—po drugiej stronie rzeki!

Amir położył mu zlekka rękę na głowie.— Jako, płaczesz moje dziecko! Żałujesz, żeś opuścił dom? co, Selimie?

— Nie, ojcze — ale wspomnienie domu jest takie miłe w porównaniu z tą ciemną krainą, co się

rozciąga przed nami. Poza rzeką widać tylko czarne lasy: nawet niebo jest ciemne i posępne., i to przytłacza mi serce!

— Dlatego las wydaje się taki ciemny i ponury, że się noc zbliża, tkliwie mówił Amir.—Gdy przepłynięm rzekę, będziemy obozowali pod namiotem, w którym niezadługo tak ci będzie dobrze, jak w domu. Zapomnisz o smutku i trwodze. Jutro rano uśpiona ziemia obudzi się, słońce zaświeci w całej swej chwale, ptaki powychodzą z gniazd i śpiewać zaczną. Na polankach będziesz widział hyże antylopy i zapytasz siebie z zadziwieniem: czemu było mi wczoraj tak smutno?

— Już nie będę płakał; patrz, mam suche oczy,—rzekł Selim z zuchowatą minką.—Ojciec uściśkał go czule.

Gdy karawana przedostała się na drugą stronę Kingani, wszyscy — tak mężczyźni, jak kobiety — wzięli się do ścinania chrustu i gałęzi, żeby zrobić częstokół.

Każda karawana, zostająca pod dobrym wodzem, od tego zaczyna.

Gdy częstokół był gotowy, zgromadzono się w obozowisku na posiłek wieczorny. Namioty ustawione były w półkole, a otwory w nich zwrócone ku namiotowi Amira, który to namiot znajdował się na środku koła. Z dwóch stron namiotu naczelnika, było dwóch, czy trzech niewolników z pośród najwierniejszych fundis'ów albo nadzorców, którzy odbie-

rali rozkazy co do prowadzenia karawany, wprost od wodza.

Nad *fundisami* Amir postawił najwierniejszych z pomiędzy wiernych, Simba (Lew) i Motto (Ogień). Gdzie tylko szedł Amir, Ben Osman—Simba i Motto postępowali w jego ślady. Był to ich najdroższy skarb. Najbliższe jego życzenie dla tych poczciwców prawem było. Widzieli w nim istotę nieskończenie wyższą, należącą do świata, którego sobie nie mogli nawet wyobrazić.

Simba miał wzrost olbrzyma, a siłę i odwagę—lwa. Pochodził z Urundi, rozległej krainy, graniczącej z północno-wschodnią stroną jeziora Tanganika. Był on synem wodza i małym dzieckiem został wzięty w niewolę, w bitwie uasigów oraz ich sprzymierzeńca, ojca Moeni Keri, przeciwko Makali. Ten Makala był to król wojowniczy, który przemieszkiwał w północnych okęgach Urundi. Jako syn wodza, należał do rasy uahumasów. Ta wyższa rasa, która ma ciemną skórę i która przybyła pierwotnie niegdyś z Etjopji, ma wyłączny przywilej dostarczania wodzów krajom Urundi, Ruanda, Uganda i Karagua.

Simba był podówczas w kwiecie wieku. Od dwudziestu lat pozostawał w domu Amira, który kupił go w tym samym roku, kiedy przybył do Zanzibaru.

Pomimo niezwykłej siły, olbrzym był tak łagodny i potulny, że Amir uważał go prawie jak syna.

Czasami siła Simby wydawała się nadnaturalną. Długim i ostrym pałaszem arabskim przecinał jednym zamachem kożę—od głowy do ogona. Uwielbiający go murzyni twierdzili, że rozplatałby tak samo osła, ale nie próbował tego nigdy, bo nie był dosyć bogaty, a osły są zadrogie. Z trzyletnim wołem na plecach, obszedł do połowy plantację. Nieraz brał za uszy jednego z dużych białych osłów z Maskatu, podstawił mu nogę i odrazu powalił na grzbiet. Pewnego razu, obniósł z okazji jakiejś uroczystości, dwunastu ludzi — na plecach, barkach i piersiach — dokoła domu swego pana, przy oklaskach liczego zgromadzenia. Podrzucał człowieka zwykłego wzrostu na 10 stóp w powietrze i chwycił go potem z taką łatwością, jak kto inny—dziecko. Mnóstwo anegdot krążyło o nim. Bez obuwia, miał 6 stóp 5 cali wysokości, w ramionach zaś był szeroki na 32 cale.

Motto czyli Ogień usprawiedliwiał zupełnie swe imię gwałtownym i zapalczywym charakterem. Mały, muskularny, zwinny jak kot, dawał dowody wielkiej siły i dziwnie był wytrzymały na największe trudy. On także został ujęty zamlodu i zaprowadzony do Zanzibaru przez handlującego niewolnikami. Amir kupił go za 20 dolarów, jedynie dla dogodzenia swej fantazji. Nie miał nigdy powodu żałować tych pieniędzy i po Simbie lubił go najlepiej ze wszystkich swych niewolników. Ale też i Motto gotów był rzucić się w ogień za swego pana. Był to znakomity myśliwy: na skale wytropiłby lampar-

ta o nogach aksamitnych; powiedziałyby, jakie zwierzę przełamało żdźbło trawy, byleby zostawiło choćby jeden włos ze swej szerści. Umiał zbliżyć się do słonia i połachotać mu brzuch słomką, a ten nie odgadywał, że ma tuż przy sobie śmiertelnego wroga. Ktoś skłonny trochę do przesady i bynajmniej nie zalecający się prawdomównością, opowiadał, że tropiąc raz lwa w gęstwinie, spostrzegł Motto zwierzę śpiące, zbliżył się więc pocichu i dla figla przeskoczył je, poczem dopiero roztrzaskał mu głowę wystrzałem z fuzji.

Przyjaciele Motta mówili, że jest odważny jak lew, zwinny jak kot, bystrooki jak orzeł, wybuchający jak proch, cierpliwy jak osioł i wierny jak pies. Dodajcie, że był trochę próżny, a będziecie mieli dokładny wizerunek.

Pierwsza noc karawany jest niebardzo wesołą,—bo albo myślisz o radościach i wygodach, jakie porzuciłeś, albo też, jeśliś nieufny, przyglądasz się bacznie swym towarzyszom podróży, zanim się zbliżysz do nich. W obozie Amira działo się inaczej. W jego drużynie nie żałowano Zanzibaru, mając pomiędzy sobą wodza i jego syna; nie potrzebowano przypatrywać się sobie nawzajem, bo się wszyscy znali; nie pozrywano stosunków przyjaznych i rodzinnych, bo żonaci zabrali swe żony, a bezżenni byli w otoczeniu przyjaciół. Wyprawa ta wyglądała na wychodźstwo całej osady.

Dosyć było zajrzeć do wnętrza szałasów, żeby

się przekonać, że wszyscy są szczęśliwi, a przynajmniej zadowoleni. Poczciwe twarze murzynów wyrażały uciechę. Słuchali oni z ciekawością przygód opowiadanych im po raz dziesiąty. Gdy głośniejszy od innych wybuch śmiechu rozlegał się w obozowisku i odbijał echem w lesie, było to znakiem, że Simbo lub Motto opowiadają jakiś swój czyn bohaterski. Gdy się Selim ukazał, natychmiast Simba zatorczył dużą kłodę drzewa, żeby usiadł na niej; sam zaś ukucnął na ziemi u jego nóg, gotów na każde skinienie. Motto, nie chcąc się dać wyprzedzić Simbie, wydobywał z głębin pamięci lub ze skarbownicy wyobraźni—jedną ze swych najlepszych opowieści, kiedy zabawne zdarzenie rozweseliło Selima. Roześmiał się Selim, zaraz więc parsknął i Simba. Ponieważ nic się tak nie udziela, jak pusty śmiech, zachichotała cała gromadka. Ci, co siedzieli poza tem kołem, roześmieli się także, i w końcu cała karawana była uśmiechnięta, nie wiedząc, o co chodzi.

Motto zaczął był swoją opowieść w te słowa:

Pewnego dnia, w czasie, kiedym był w karawanie Kizezy (Abdallah-ben-Nazib—wiecie, że Kizeza liczy się do przyjaciół mego pana — i nawet w jego karawanie, jako *fundi*, nauczyłem się strzelać)—wędrując przez Ukonongo...

— Doprawdy—zapytał Selim—byłeś w Ukonongo?

— O byłem—i nawet dużo dalej. Otóż, jak powiadam, w Ukonongo jest najlepsze polowanie—prawda, Motto?—odezwał się znowu Selim.

— Tylko w suchej porze roku: wtedy zwierzyna gromadami pędzi ku rzece Krowiej, więc polowanie jest świetne. Co do słoni jednak, to należy ich szukać w Kauendi. Otóż mówiłem, że...

— Słuchaj, Motto—zawołał jakiś chłopak całkiem nagi, nazywany Niani (małpa) który był strażnikiem Motta—czy w Kauendi są lwy? bo...

Nie dokończył. Motto zerwał się jak wściekły, wywijając swym *kurbash* (bicz ze skóry hipopotama). Niani zobaczywszy ten ruch, zwinnie jak prawdziwa małpa przeskakując ogień, wpadł w sam środek dużego naczynia, do połowy napełnionego ryżem, który się gotował na ciepłym popiele. Rozległ się przeraźliwy krzyk i gorący ryż zaczął pryskać na wszystkie strony. Ponieważ padał na obnażone ramiona, wszyscy zerwali się w jednej chwili na nogi. Selim roześmiał się serdecznie; Simba za nim — a Motto stanął, trzymając się za boki. Całe grono opanowała wesołość.

— Oto, co zyskują ci, co przerywają ciekawe opowiadanie,—rzekł Motto niby do Niani, który sobie rozcierał poparzone nogi, krzywiąc się z bólu,—ale rzeczywiście miał na myśli Selima.

— Mówże, Motto—już ci nie przerwę—odezwał się tenże.

— O młody mój panie, nie do ciebie była ta przymówka. Mój młody pan może mi przerywać, ile razy mu się spodoba.

— Dobrze, dobrze! Opowiadaj dalej, byleby co zabawnego.

-- Dobrze, młody panie. Otóż mówiłem, że należał do karawany Kizezy i że przebywaliśmy Ukonongo, kiedy mi przerwał Niani, ta małpka, żeby...

— Nie, nie, Motto; to nie on, jeno ja. Opowiadajże dalej i zostaw biednego Niani w spokoju. On już miał dosyć za swoje, a co do mnie, to za surowo mię karzesz, nie dopowiadając swej historii.

— Tak, tak, Motto—opowiadaj!—odezwał się gruby głos Simby. Nie słyszysz, że cię o to prosi młody pan? Co tobie dzisiaj?

— Bardzo dobrze, — odparł Motto z niechęcią—tylko jeżeli każdy będzie się wtrącał, to opowiadanie może się ciągnąć do samego Rua.

— Motto—już ci nigdy nie przeszkodzę... masz na to moją rękę.

Przyrzeczenie Selima podchlebiło zarazem dumie i miłości własnej Motta. Odkaszlnął i zaczął mówić, tym razem na dobre.

— Dotarliśmy właśnie do wsi sultana Mrera, kiedy Kizeza kazał mi polować w lesie, ciągnącym się wzdłuż rzeki i obiecał 4 łokcie materji bawełnianej, jeśli przyniosę antylopę.

Wybrałem się około południa. Słońce strasznie piekło, alem się spodziewał, że będzie chłodniej w lesie. Niezadługo przybyłem do wijącej się w różnych kierunkach rzeki o przejrzystych wodach. Idąc jej brzegiem, oglądałem się w prawo i w lewo, alem nic nie widział. Na jakie dwie godziny przed zachodem słońca, doszedł mię jakiś głuchy huk, jakby od trzęsienia się ziemi.



Natężywszy słuch, zmiarkowałem, że huk ten sprawia stado słoni. Jeden za drugim szły po twardej ziemi do rzeki, żeby się napić.

W jednej chwili ległem na brzuchu, niby trup. Trawa była gęsta i wysoka na jakie dwie stopy. Nic mi nie groziło, bylebym się nie poruszył. Tak wytrawny myśliwy jak ja, wie, jak się ma zachować w sąsiedztwie stada słoni. Gdy wszystkie przeszły, podniosłem ostrożnie głowę i liczyłem je: było dwa, cztery, sześć, osiem, dziesięć zwierząt potwornych, które kołysały trąby w powietrzu i zdawały się mówić: Myśmy tu panami i dobrze o tem wiemy. Przeszły, nie domyślając się niczego i bez najmniejszego niepokoju; ja zaś, dopełzałem w trawie do ogromnego baobaba, co się znajdował pomiędzy nimi a mną. Gdyby wszystkie stały szeregiem nad rzeką, musiałyby mię dostrzedz, gdybym się zbliżył; ale jeden tęgi zuch, bardziej spragniony, stał na środku wody, dotykając prawie bokiem baobabu, i zasłaniał mię zupełnie przed oczami innych.

Rozumowałem sobie w następujący sposób: wprawdzie Kizeza nie kazał mi zabijać słoni, ale kiedy wysłał mię do Ukonongo po kość słoniową, nie rozgniewa się, jeśli mu przyniosę dwa kły, które w Zanzibarze będą warte 500 dolarów. Ponieważ obiecał mi za antylcpe 4 metry materji, to mi da dużo więcej metrów za dwa kły, wartujące 500 dol.

Myśl ta podnieciła mię i niezadługo znalazłem się tuż przy słoniu, stojącym nieopodal baobabu. Po upływie kilku minut, które wydawały mi się godzi-

nami, stanąłem i od tego zaczął, że zacisnąłem pas dokoła bioder, jak człowiek, którego życie ma zależeć od szybkości biegu. Właśnie kiedy już chciałem strzelić, przyszła mi do głowy szalona myśl.

Zwierzę to stało obrócone do mnie tyłem i gdybym tylko wyciągnął rękę, mógłbym go się dotknąć; powiedziałem sobie: Będzie to doskonały figiel do opowiadania, jeśli połączę mu ogon! Zrywam więc duże źdźbło słomy i ciągnę ją od ogona, wzdłuż uda, do brzucha. Rozkosz była patrzeć jak ten króciuchny ogonek wymachiwał i kręcił się w kółko, zwierzę zaś, oparte o drzewo, tarło się o nie z całych sił. Gdy to już trwało kilka minut, wziąłem fuzję i wycelowałem do słonia o jakie 3 cale za lewą tylną nogą (było to najwłaściwsze miejsce z powodu pozycji, jaką zajmowałem), dałem ognia. Słoń skoczył naprzód i odsłonił mię zdziwionym oczom innych. Ja tymczasem biegłem już z hyżością antylopy poprzez krzaki i wysokie trawy.

W sekundę, słonie otrząsnęły się z osłupienia i wydawały przeraźliwe, wściekłe krzyki. Woda zaczęła pluskać, krzaki trzeszczały, miarkowałem przeto, że się puściły w pogoń za mną. Nigdy atylopa ścigana na równinach Ukonongo nie dawała takich susów, jak ja w onej chwili; ale zdawało mi się, że mię nawet ta szybkość nie uratuje. Złowrogi trzask zbliżał się: obróciwszy głowę, żeby zobaczyć jak daleko jest słoń, idący na czele stada, przekonałem się, że jest już tylko o trzydzieści kroków. Zdawał mi się trzy razy większy, niż w naturze.

Jego duże uszy sterczały niby ogromne skrzydła; oczy błyszczały, jak rozżarzone węgle; trąba podniosła się, jak wąż, co się ma rzucić na zdobycz. Szyję miał wygiętą, jak żyrafa, gdy ją ściga jaki dra pieżny zwierz. A jego dwa długie, mocne, błyszczą ce kły—jakież straszne wydawały mi się wtedy!

Jego oczy spotkały się z mojami, gdy się obrócił; wydał ryk podobny do dźwięku surmy bo jowej u natutów. Wyrosły mi skrzydła: przedtem biegłem, teraz unosiłem się w powietrzu, a potwór zbliżał się coraz bardziej. Musiał być najwyżej o piętnaście stóp odemnie, kiedy mi się przypomnia ły wybiegi polujących na słonie w Urori. Oto, com był zauważył. Ten duży zwierz, idący na czele sta da, był też najbliżej mnie po prawej ręce, inne znaj dowały się po lewej. Widocznie, głównem ich zada niem było iść za przewodnikiem gromady. Skorom to zmiarkował, szybko skręciłem na prawo i zaczą łem biedz co sił. Słonie minęły mię w szalonym pę dzie, z hukiem nawałnicy.

Wyprzedziłem już słonie na 50 metrów, zanim zdołały się zatrzymać i zwrócić w moją stronę. Za trzymały się tylko na chwilę. Dostrzegłszy mię, za ryczały znowu i natarły na mnie całą gromadą. Je stem dobrym biegaczem, jak wam wiadomo, ale naj lepszy biegacz zdaje się pełzać tylko w porównaniu ze słoniem, przez dwieście lub trzysta pierwszych metrów biegu. Słonie, zwłaszcza dwa lub trzy, szyb ko posuwały się naprzód. Sucha trawa chłostała mię ostro w nogi, słonie zaś, mając grubą skórę, były za-

bezpieczone od tej niedogodności. Nieopodal, na lewo, była kępa krzaków. Gdyby mi się udało dotrzeć do niej, byłbym względnie uratowany, gdyż mógłbym się tam ukryć w jakim kącie.

W kilka chwil dopadam do krzaków, rozglądam się prędko dokoła i odkrywam w niewielkiem oddaleniu, nawpółukryte w trawach i krzakach, legowisko dzika. Doskonałe schronienie!—pomyślałem—byleby w niem nie było dzika. W sekundę, leżąc na brzuchu, czołgałem się w tył do jamy. Zaledwem się tam dostał, słyszę nad głową przelatujący grzmot słoni; zaraz potem zaczyna za mną coś krząkać, gwałtownym zamachem zostaje wyrzucony z jamy niby kula z fuzji i leżę na ziemi jak trup. To tylko rozumiałem, że właściciel legowiska zranił mnie ciężko w udo i że dzik pomknął jak strzała w tym samym kierunku, co słonie.

Straciłem potem przytomność.

Gdym przyszedł do siebie, już zapadła noc. Usłyszałem w oddaleniu strzały w regularnych odstępach. Myśląc, że to szukający mnie towarzysze, dałem strzał, na który drugi odpowiedział mi natychmiast. Strzelając co kilka minut, zdołałem ich doprowadzić do miejsca, gdzie leżał na ziemi, nie mogąc się ruszyć.

Towarzysze moi ponieśli mnie na barkach do obozu, gdzie musiałem przeleżeć blisko trzy tygodnie. Mam jeszcze znaki po tym dziku i zostaną do samej śmierci...

Skończyłem.

— A ten słoń, któregoś zabił? — spytał Selim.

— Znaleziono go nazajutrz o dwie godziny po-  
chodu od miejsca, gdzie strzelił. Łatwo było wy-  
tropić go, idąc za śladem jego krwi. Kizeza zarobił  
znaczłą sumę, gdyż kły były niezwyklej wielkości.

— Opowiedz nam teraz, jak Kizeza bił się  
z Uarorisami, ziomkami twymi, i jakieście uratowali  
syna królewskiego—odezwał się Simba.

— Tak, tak!—zawołał Selim;—opowiedz! Jakie  
to musi być ciekawe! Nie będę mógł spać w nocy,  
jeśli nie opowiesz tego.

— Dobrze; gdy mój przyjaciel Simba życzy  
sobie czego, a mój młody pan rozkazuje, to Motto  
jest zawsze gotów.—Mówiąc te słowa, Motto dorzu-  
cił dużą kłodę do błyszczącego ogniska.—Działo się  
to tak niedawno, że pamiętam najdrobniejszy szcze-  
gół. Jest temu dopiero trzy lub cztery lata: Kizeza  
znajdował się w Unjanjembe. Był on śmiertelnym  
wrogiem Seida ben Selima, Wali \*) sułtana Zanzi-  
barskiego w Unjanjembe. Większa część arabów sta-  
nęła po stronie Kizezy, o którym wiedziano po-  
wszechnie, że jestto wódz waleczny, potężny i bo-  
gaty, zdolny stawić czoło nawet samemu sułtanowi  
zanzibarskiemu.

Gdy Said ben Selim zażądał od arabów popar-  
cia w walce przeciw murzynowi—wodzowi Kahamy  
w Ugolo, Kizeza odmówił pomocy.

---

\*) Wielkorząda.

Z ziemi niewolników.

Wielu arabów naśladowało go, mówiąc, że Kahama jest tylko wioską i że Said ma dosyć wojska, które opłaca sułtan zanzibarski, więc może sobie poradzić. Tymczasem Selim, który nieźle umie dowodzić arabami i utrzymać w spokoju cichych kupców, nie ma dosyć głowy ani temperamentu do prowadzenia wojny. Za to Kizeza jest stworzony do tego. To też w dwa czy trzy tygodnie po wyruszeniu w drogę Saida, nie zdziwiło nas to, gdy powrócił pobity na głowę przez Kahamę. Kizeza i inni arabowie naśmieli się z niego.

Niezdługo wybuchła wojna w Urori. Saidowi zlecono powołać wszystkich arabów pod broń. Nie podjął się tego zadania i rzekł tylko, że jeśli zgodzi się na to Kizeza, to on, Said, jako wielkorządca Unjanjembe, upoważni go do poprowadzenia arabów na wojnę i postawi na czele wojska. Kizeza przystał odrazu, a przedniejsi arabowie oświadczyli natychmiast, że pójdą z nim. W kilka dni Kizeza wyruszył więc z jakim tysiącem ludzi i Unjanjembe przybrało pozór pustkowie. Około dwudziestego dnia przybyliśmy w sąsiedztwo Kuikuru, stolicy Urori. W obozie naszym spali wszyscy owej nocy pod bronią. Na dany znak zaczęliśmy pełzać pośród krzaków; przeprawa ta trwała blisko godzinę i przy blasku księżyca ukazało się *boma* \*) wsi królewskiej. Trąby nasze dały hasło i rzuciliśmy się w stronę ogrodzenia. Ludzie Kizezy w mgnieniu oka do-

---

\*) Często kól.

biegli do niego i poprzez pole nastawili fuzje ku wsi. Nie dano jednak ani jednego strzału. Kizeza umie prowadzić wojnę.

Kizeza zadał w róg, a jakiś głos ze wsi zapytał, kto jesteście i czego chcemy.

— Wyjdźcie bić się, gdyż Kizeza jest u waszych wrót—odpowiedział wódz nasz.

— Kizeza! Kizeza! — odrzekł ów głos, w którym brzmiało zadziwienie. Kizeza! To nie może być Kizeza z Unjanjembel!

— Owszem, on sam. — Jestem Kizeza i przybyłem po to, żeby was pozabijać.

— Kizezie musi być życie niemiłe, kiedy tak pospieszył do Kuikuru, stolicy króla Urori — ozwał się znów głos z za częstokołu.

— Czy Kizeza ma zwyczaj rozpoczynać bitwę bez wstępnych przygotowań? Myśmy się zawsze porozumiewali przed bojem. Jakież są zamiary Kizezy?

Zapytującym był król, którego nie mogliśmy widzieć, bo się starannie ukrywał.

— Tyś pies i psi syn!—odpowiedział Kizeza.— Czyś nie wojował z naszymi kupcami? Czyś ich nie pozabijał w lesie, żeby okraść z kości słoniowej? Nie pokiereszowałaś ich synów? Nie zabatożyłaś na śmierć kilku jeńców swoich? Nie rozkazałaś, żeby ci dostawiono żywcem ich wodza, Kizezę, aby go ze skóry obedrzeć i w tę skórę się przyodziać. Masz teraz Kizezę u swoich wrót; chodź po jego skórę!

— Kizezo, dobrześ zrobił, żeś przyszedł, bo nie będę potrzebował iść szukać ciebie. Kizezo, tyś waleczny człowiek, ale mimo to, obedrzemy cię ze skóry. Nauczycię to przychodzić pod bramy Mustany, w nocy, jak złodziej. Mówiono mi, żeś odważny, czy twój czyn dowodzi odwagi? Mój syn Kalulu, mały dzieciak, stawilby ci sam jeden czoło. Zostań tu, gdzie stoisz, dopóki nie nastąpi dzień, żebyśmy mogli zobaczyć tego, co uchodzi za dzielnego wojownika, a jest tylko włóczęgą nocnym!

— Mustano—tak się podobno nazywasz—rzekł Kizeza — będę czekał, żeby słońce weszło: wtedy zobaczysz mię i pożegnasz się z życiem.—Więcej nie mam nic do powiedzenia.

Legliśmy pod częstokolem. Co piąty z pomiędzy nas miał trzymać straż, inni zaś mogli się porzucić snem. Skoro tylko ukazała się zorza ponad wierzchołkami drzew, rogi Kizezy dały hasło, żebyśmy byli gotowi do boju. Jednocześnie rozległy się w powietrzu bębny Mostany.

Obudziwszy się z twardego snu, zacząłem zaglądać przez częstokół, ciekaw będąc, jak wygląda wieś, którą mieliśmy napaść. Była ona rozległa, okrągła, jak wszystkie wsie w Urori, ale ostrokoły były mocne i nowiuteńkie. Co mię uderzyło, jako osobliwość w tym kraju, to drugi obwód, opasujący osadę Mostany, w której mógłby on się utrzymać, dopókiibyśmy oblegali zewnętrzne ogrodzenie, gdybyśmy nie byli w większej liczbie i lepiej uzbrojeni, aniżeli jego ludzie.



Po chwili już, oblegający i oblegani bili się jak lwy i strzelali do siebie z tak bliska, jak tylko pozwalał ostrokół. Niezadługo stało się to widoczne, że Mostana będzie pobity.

Nas było daleko więcej, mieliśmy lepszą broń i byliśmy mniej ściśnieni. Ludzie Mostany byli skupieni wszyscy razem. Każda z naszych kul zabijała lub raniła kogo przez częstokół. Kobiety były przeżalliwe, a ranni wydawali straszne krzyki.

Po godzinnej strzelaninie, Kizeza kazał powysadzać bramy i rzuciliśmy się hurmem do pierwszego okola. W miarę jak się tam dostawały gromady naszych, kryły się za chatami, będącemi za osadą królewską. Potem szliśmy naprzód, wciąż strzelając. Dostawszy się do drugiego ogrodzenia, zaczęliśmy dawać ognia do tłumów, wystawiając fuzje pomiędzy palami. Wierzajcie mi, że było-to okropne. Tak dużo ludzi padało, że nie zdołalibyśmy ich policzyć; to też po jakimś czasie, ci co zostali przy życiu, zaczęli wołać: *Aman, Aman!* \*). W jednej chwili powyrywano bramy z wewnętrznego częstokołu i wojownicy Kizezy wpadli z taką wrzawą, że możnaby ich słyszeć o cały dzień pochodu. Zewsząd rozlegały się strzały, wrzaski, krzyki i śpiewy. Nie byliż oni zwycięzcami? Tłum poniósł mię ku domowi króla. Stary Mostana walczył do końca, tak dzielnie strzelając z łuku pomiędzy ciżbę, że niejeden z drużyny Kizezy, właśnie w chwili

---

\*) Łaski, Łaski!

li, kiedy okrzykiwał zwycięztwo, padał trupem, ugodzony jego pewną ręką. U boku Mostany stał chłopiec młodszy o trzy lata od naszego młodego pana, Selima. Był on rosły, prosty i szczupły, jak jeden z tych oszczepów, któremi ciskał tak zręcznie i szybko pomiędzy tłum, zamierzający się na króla. Kizeza był z nami: widząc niezrównaną waleczność i postawę chłopięcia, zawołał: zabijcie Mostanę, ale oacie dziecko! Pięćdziesiąt sukien temu, kto mi sprowadzi Kalulu żywego.

Urodziłem się w Urori; pokochałem więc tego chłopaka za jego męstwo, od pierwszego wejrzenia. Postanowiłem uratować go dla Kizezy, a przytem brała mię też chętka na owych pięćdziesiąt sukien. Tarcza jednego z wojowników Mostany leżała na ziemi: porwawszy ją, żeby się osłonić, zawołałem do Kalulu w języku krajowym, że jestem przyjacielem i że chcę go ratować. Zmieszał się i przystanął. Kiedym się zbliżał szybko, podejrzewając złe zamiary, cisnął we mnie jednym ze swych lekkich oszczepów. Miał tak pewne oko, że przebił mi na wylot tarczę i rękę. W tejże chwili spostrzegłem, że ojciec jego pada na progu swej siedziby. Chłopczyk wydał dziki krzyk i znikł w chacie. Pomimo otrzymanej rany, pobiegłem do drzwi i zdążyłem dostrzedz, że wyleciał drugim wyjściem z osady królewskiej. Obejrzał się szybko dokoła i uważając za pewne, że mu już nie grozi niebezpieczeństwo, puścił się, jak strzała. Biegł tak prędko, że pióra, zdobyjące mu głowę, chwiałały się, spuszczone w tył.

Pozwoliłem mu dotrzeć do częstokołu, ale zanim go przeskoczył, schwyciłem go za ramię; wyrwał mi się jednak po chwili, i trzymając się jedną ręką ogrodzenia, drugą groził mi. Przypomniawszy sobie, że kopje tuziemców bywają zatrute, puściłem go; wtedy, lżejszy od czarnego lamparta z Kauendi, przeskoczył częstokół i zaczął biedz co sił. Jemu tak chodziło o wolność, jak innemu o życie. Ale ja także jestem Mrori: nie dałbym się pokonać dziecku; wyrwałem więc oszczep, który przybił mi rękę do tarczy, cisnąłem tarczę za ogrodzenie i puściłem się w pogoń. Niezadłudo schwytałem zbiega: wpadł on właśnie do lasu, kiedyś go złapał za rękę. Powiedziałem mu wtedy w jego języku, żeby nie uciekał od przyjaciela. Obrócił głowę i rzucił na mnie spojrzenie, którego nigdy nie zapomnę. Jego duże oczy przypominały antylopę, której imię nosił \*).

Może dlatego, że sam jestem Mrori, doznałem takiej sympatji dla syna Mostany „niewolnika mojego luku i mojej włóczni“. Gdy zwrócił ku mnie wielkie oczy, tak łagodne i wymowne, rozplakałem się nad tym synem królewskim, który został niewolnikiem Motta.

— Jesteś Mrori, — rzekł — a chcesz zrobić z syna Mostany niewolnika tych złodziei?

— Panie, arabowie nie są złodziejami. Są to bogaci kupcy, którzy handlują kością słoniową; gdy ich kto skrzywdzi, łączą się z sobą i razem wystę-

---

\*) Kalulu znaczy: antylopa.

pują do walki. Mostana już nie żyje, a wódz arabski, Kizeza, pragnie cię zdołać. Czy poddasz mu się?

— Tyś nie Mrori; wojownik Mrori nigdyby nie namawiał, żeby się ktoś poddał, jako niewolnik, psu arabowi, chociażby on był bardzo znakomity i bogaty. Mostana przepowiadał mi nieraz, jak się to skończy. Słuchaj mię, bracie: mój ojciec skończył życie; wiesz moja obróci się w perzynę; ludzie z mej rasy pomarli, albo dostali się do niewoli; pola będą porzuczone; cała okolica, którą tak kocham, stanie się pustkowiem; w imię tego wszystkiego proszę cię, Mrori, żebyś mi zostawił jedyną rzecz, jakiej mi nie zabrano jeszcze, to jest wolność. Mrori, odpowiedz... Czy mam cię prosić dwa razy o to, czego nie powinienem się być nigdy domagać od ciebie... Pozwalisz mi udać się do wuja? Do końca życia wspominałbym zacnego Mrori, który nie chciał nadużyć słabości dziecka.

— Idź w spokoju, panie mój, idź w spokoju... Chciałem cię tylko wystawić na próbę. Motto jest przyjacielem twoim. Jeśli wspomnisz czasem Motta, gdy będziesz żył szczęśliwy wśród pokolenia swego wuja, Motto będzie ci zawsze wdzięczny.

— Nazywasz się Motto? — rzekł biorąc mię za rękę. — Urorisowie z pokolenia mego wuja będą zawsze z przyjemnością wspominali twoje imię. Mój wuj, Katalambula, odwdzięczy ci to, jeśli się jeszcze kiedy zobaczymy.—Kalulu powiedział już wszystko.

Uściskał mię, jak rodzzonego ojca. Potem, schwy-

ciwszy broń i tarczę, którą mu darowałem, skoczył lekko, jak antylopa, i znikł w lesie.

— Ale już późno, rozejdźmy się. Przepawa jutrzejsza będzie długa, młody nasz panie; przed wschodem słońca musimy być w drodze do Simbamueni. Dobrej nocy.

— Pójdę do namiotu mego ojca: z pewnością przyśni mi się dziś Kalulu — powiedział Selim i oddalił się.

---

### ROZDZIAŁ III.

Narada.—Wyobrażenia małego araba o niewolnictwie.—Niepowodzenie Niani. — Przygoda z krokodylem. — Selim jest wynagrodzony za odwagę i zręczność.—Popłoch.—Simba otrzymuje nagrodę za wierność.—Uarorisowie.—Wojna.

Nazajutrz, karawana była bardzo wczesnie na nogach. Wszyscy zdawali się doskonale usposobieni. Krzyczano, śpiewano wesoło, radowano się.

Zawsze tak bywa, gdy rzeźka i świeża karawana wybiera się na podobną wyprawę.

Dziesiątego dnia, wyszedłszy z wielkich cieni, rzucanych przez urwiste pasmo gór Uruguru, wędrowcy spostrzegli twierdzę Simbamueni. Na spadzistej zieleniejącej murawie, która przylega do rzeki Unzerenzeri, ustawione były namioty i baraki innych karawan, które ich oczekiwały.

Według zwyczaju afrykańskiego, nowoprzybyli oznajmili swe przybycie wystrzałami z fuzji. Natychmiast ukazał się tłum arabów.

Ponieważ czekano już tylko na Amira, żeby się naradzić nad wyborem dalszej drogi, skoro tylko tenże pokrzepił siły, rada zgromadziła się w namiocie Kamisa, jednogłośnie obranego na przewodnika wszystkich karawan.

Rozprawiano długo i poważnie nad tem, którą drogą puścić się: północną, czy południową. Pierwsza była krótsza, ale mniej pewna; druga zaś przedstawiała większe bezpieczeństwo, lecz trzeba było płacić na niej większe haracze królikom krajowym. Ponieważ karawana była dosyć liczna, żeby ufać swym siłom, a przytem chciano płacić jaknajmniej daniny, padł wybór na drogę południową. Amir, Sultán ben Ali i Kamis obraliby chętniej północną, lecz zastosowali się do życzenia większości. Kamis zakończył narady temi słowy:

— Nie mam głosu stanowczego, tak samo, jak każdy z was. Jeśli jesteście wszyscy zdania, że lepsza będzie droga południowa, a ja będę przewodnikiem waszym, to was poprowadzę którędy zechcecie.

— Tak, jesteśmy tego zdania! — odpowiedzieli wszyscy członkowie Rady.

— Dobrze. Wyruszymy jutro, na godzinę przed wschodem słońca. Będziemy szli dawną drogą aż do Abuni, skąd skręcimy ku południowi.

Nastala noc. Ognie taboru błyszczą setkami.

Opodal namiotu Amira, Simba i Motto siedzą przy ogniu z fundisami innych wodzów arabskich. Na kobiercach z Omanu rozłożyli się: Lelim—syn Amira, Kamis—syn Kamisa, Iza i dwaj bracia: Abdallah i Mussud, synowie Szeika Mohammeda.

Jak w całym obozie, tak i tu rozmawiano o postanowieniu Rady.

— Cóż, Simbo? — rzekł Selim. — Ach! Izo, ty nie wiesz, jaki to skarb z tego Simby — taki jest rosły, taki rozważny, taki silny!... Cóż wy myślicie o drodze południowej? Będziem mieli na niej zabawkę?

— Aż nadto, młody mój panie — odpowiedział Simba, nie podnosząc oczu. Zdawało się, że całą jego uwagę pochłania czyszczenie lufy; była-to jedna z jego ulubionych rozrywek.

— Jakto, aż nadto?—zapytał Iza ze zdziwieniem. Boisz się, żebyśmy nie mieli zawiele zabawki! Wstydź się, Izo! Nie słyszałeś, jak twój młody pan chwalił twoją waleczność i siłę; i dlaczego lękalibyśmy się mieć za dużo zabawki? — zapytał drwiąco.

Simba podniósł na Izę wielkie inteligentne oczy i odpowiedział:

— Ach, panie mój, tyś dziecko jeszcze, więc nie możesz tego zrozumieć.

— Doprawdy, pocciwy Simbo—a to dlaczego?

— Nie możesz tego wiedzieć, że co jest zabawką dla jednych, to innym sprawia boleść; że możemy napotkać w drodze taką zabawkę, która ani tobie, ani nam nie przypadnie do smaku.



Zabrał się znowu do czyszczenia lufy, chociaż było to zbyteczne: twarz jego tchnęła przytem jeszcze większą powagą.

— Simba, co tobie dzisiaj?—zapytał Selim.

— Przyznaję, że nie podoba mi się postanowienie arabów. Mojem zdaniem, nadto się pośpieszyli, wybierając drogę południową. Nikt jej nie zna lepiej od mego przyjaciela, Motta. Gdyby wodzowie nasi zasięgnęli jego rady, byłbym spokojniejszy o mego młodego pana i jego ojca.

— Cóż ty wiesz, Motto? Powiedz-że nam wszystko.

— To, co Simba mówi, jest prawdą. Uarorisowie są źli, źli, źli—a uatutasy są jeszcze gorsi, bardzo źli. Zdaje mi się, że będziemy mieli aż nadto wiele sposobności przekonać się o tem.

— Dlaczego mielibyśmy aż nadto wiele sposobności?

— Prawdopodobnie będzie z nimi wojna. Od onej bitwy z Kizezą i Mostaną, uarisowie są źli. Mają oni teraz niewolników arabskich. Dawniej zabijali swych jeńców, ale obecnie z nimi tak wychodzą, jak arabowie z uarorisami — robią z nich niewolników.

— Z arabów!—wykrzyknął Kamis, szesnastoletni chłopak, silny już, i tak odważny, jak najodważniejszy z mężczyzn.—Kłamiesz, podły niewolniku! Kłamiesz!—dodał rozwścieczony.

— Panie mój—odrzekł Motto łagodnie—nie mo-

ja w tem wina, że oni są niewolnikami. Ja prawdę mówię.

— Beduin, wolny beduin, który nie uznaje nad sobą pana—niewolnikiem! Kłamiesz, Motto! to niemożliwe. Beduin nie może żyć w niewoli.

— Są jednak niewolnicy u uarorisów, i niektórzy z nich są arabami. Przysięgam na to.

— Kiedy tak, to rad jestem, że ojciec wybrał tę drogę;—rzekł porywco Kamis.—Niechaj uarorisowie mają się na baczości... bo jeśli który z tych gadów wpadnie mi w ręce...

— Za pozwoleniem — odezwał się gruby głos Simby.—Wysłuchaj mię, Kamisie, synu Kamisa ben Abdallaha: uarorisowie są źli—słusznie mówi Motto; ale uarorisowie są ludźmi. Słyszałem z ust dobrego nazareńczyka, jednego z białych z Zanzibaru, że wszyscy ludzie są równi sobie. Otóż—ponieważ uarorisowie są ludźmi, ponieważ są panami kraju, który zamieszkują, a arabowie źle się z nimi obchodzą, albo nie chcą im wymierzać sprawiedliwości, więc czy nie mają prawa uciekać się do broni? Czy będąc zwycięzcami, nie mają prawa traktować swych arabskich niewolników tak samo, jak arabowie traktują uarorisów?

Tu, starszy z synów Mussuda zaczął przytaczać koran, który przyrzeka dobra ziemskie prawowiernym, zanim dostaną się do raju, a niedowiarków daje na pastwę ich wściekłości.

— Cóż Simbo, co myślisz teraz o niewolnikach i o prawowiernych? My możemy ich uczynić

niewolnikami, im nie służy to prawo. Tak powiada koran. To źle świadczy o koranie!—pomyślał Simba w głębi zacnej duszy; ale nie śmiejąc powiedzieć tego głośno, rzekł tylko:

— Ja zawsze trwam przy swoim przekonaniu. Ten sam Bóg stworzył arabów i niedowiarków i wszystkim dał jednakie serce. — Chciałbym wiedzieć, co o tem myśli mój młody pan, Selim.

— Przyznaję, że się nigdy nie zastanawiał nad tem. To tylko wiem, że mój ojciec ma niewolników, że mój ojciec jest prawy i szanowany, i że zresztą syn nie ma prawa sądzić ojca.

— Przekonywasz ich — wykrzyknął porywczy Kamis—weź lepiej dobry kij..

— Nie unosz się tak, Kamisie;—rzekł Selim łagodnie.—Simba jest dobry i wierny. Chociaż jest murzynem, mój ojciec kocha go i ja także. Motto i Simba, to nieocenieni ludzie.

Simba i Motto chcieli paść do nóg Selimowi, w dowód gorących uczuć, ale ich zmusił, żeby się podnieśli. W swej naiwnej obrazowej mowie, zaczęli wychwalać go z zapałem, porównywając jego wielkie czarne oczy z *Singue* \*), a białą skórę z najczystszą kością słoniową. Według nich, był on kształtny i silny, jak młoda palma.

Simba zakończył temi słowy:

— Szczęśliwy ten, co cię nazywa synem swoim:

---

\*) Rodzaj dzikiej śliwki.

matka twoja uśmiecha się, gdy śni o tobie. Niewolnicy twoi z dumą nazywają cię swym panem!

— Słyszysz, Kamisie i ty Izo—powiedział Selim—słuchajcie i rozważcie, co oni mówią. Takich-to ludzi każesz mi chłostać, Kamisie. Wstydź się, dzieciak z siebie!

— Ja, dzieciak! Bardzo proszę... Jestem starszy od ciebie, większy i silniejszy. Toś ty dziecko, i dlatego wierzysz temu, co mówią ci dwaj kłamcy. Ja znam lepiej ludzi... Klnę się na swą głowę, że nie widział jeszcze negra, któryby nie był zarazem złodziejem i kłamcą.

Iza zaczął drwić... Oto syn Amira, który ma oczy czarne, podobne do *Singue*, a skórę białą, jak najczystsza kość słoniowa! — mówił ładny chłopaczek. — Kamisie, bracie mój, nasz przyjaciel, Selim, przemienił się chyba w dziewczynkę, kiedy podaje ucho takim pochwałam. Jeśliś ty z kości słoniowej, z czegoż jesteśmy ja—Iza, syn Mohameda, i Kamis, syn Kamisa.

Te drwiny Izy wywołały rumieniec wstydu na twarzyczkę Selima. Ale pomścił go mały Abdallah: po chwili, nikogo już żarty Izy nie pobudzały do śmiechu.

— Ja się mojemu ojcu nie wydaję bardzo brzydkim—rzekł—a jednak chciałby, żebym był podobny do Selima. Co do ciebie, Izo—daruj, że ci to powiem, ale nie myśl wcale, żeś piękny. Jesteś prawie tak czarny, jak Simba i...

— Kłamco!—zawył Iza, i opanowany wściekłością, chciał uderzyć Abdallaha. Kamis zaszedł mu drogę, więc zaczął gonić Abdallaha wkoło ogniska. Niani przyglądał im się w milczeniu, lecz myśl jego pracowała. Wdzięczny był Abdallahowi za to, że się ujął za Selimem i postanowił niedopuścić, by go Iza doścignął. W chwili, kiedy Iza mijał Nianię, ten podstawił mu niespodzianie nogę, tak że padł jak długi, a wszyscy obecni wybuchnęli śmiechem. Wściekłość Izy zwróciła się ku Niani; porwał go za szyję i za nogi i poniósł do ognia, mówiąc, że chce go „rozgrzać”. Daremnie Niani krzychał i wyrывał się; Iza byłby dotrzymał swej groźby, gdyby nie to, towarzysze ujeli się za Nianim, a Motto i Simba wdali się także w tę sprawę.

Niani oberwał więc tylko kilka kuksów i rozeszli się wszyscy. Gdy Selim wszedł do namiotu swego ojca, ten zajęty był czytaniem przy świecy. Wydawał się pośepny i głęboko zadumany; uśmiechnął się wprawdzie na widok syna, ale w uśmiechu tym przebijał jakiś przymus.

Odsunawszy na bok papiery, rzekł:

— Byłem właśnie zajęty pisaniem do moich przyjaciół zanzibarskich. Donoszę im którą, drogę uprzywiście wybierają towarzysze nasi i załączam instrukcje, odnośne do moich posiadłości. Na wypadek, gdyby mię spotkało jakie nieszczęście, winienem cię ostrzedz, że masz stryja, od którego niechaj cię Allah broni. Choć to mój brat, muszę przyznać, że jest podstępny

Z ziemi niewolników.

4

Dodatek do Nr 12 „Wędrowca.”



i przewrotny. Gdybym skończył życie, zaraz chciałby ci szkodzić. Dlatego staram się zabezpieczyć cię od niego.

— Dlaczego chciałby mi szkodzić, mój ojciec? Wszakżem go nie skrzywdził nigdy ani myślą, ani słowem, ani uczynkiem.

— Dziecko z ciebie... Nie wiesz jeszcze, jak wiele jest złości w ludziach. Twój stryj jest chciwy, gdyby więc tylko mógł, ogołociłby cię z majątku. Znając jego niegodziwość, wiem, że usiłowałby szkodzić ci potajemnie. Ja posiadam pięćdziesiąt tysięcy dolarów w ziemi i niewolnikach: po mojej śmierci wszystko będzie twojem, ale gdybyście poumierali—matka i ty, majątek ten spadłby na Raszyda, a Raszyd jest człowiekiem bez zasad i sumienia.—Mam ci jeszcze coś powiedzieć. Znasz ty Leilę?

— Córkę Kamisa?—zapytał Selim.

— Tak.

— Rozumie się, że ją znam. Albożeśmy nie dzielili z sobą zabaw w dzieciństwie?

— Dobrze—odparł Amir.—Leila, córka Kamisa, jest twoją narzeczoną; już stanął układ pomiędzy Kamisem a mną. Gdyby mnie spotkało nieszczęście, to powróciwszy do Zanzibaru,—jeśli będziesz pełnoletni—udasz się do Kamisa, albo w razie nieobecności Kamisa, do kogo z jego rodziny, i upomnisz się o swą żonę, zwyczajem twego pokolenia. Zrobiłem z góry wybór dlatego, żebyś się nie ośmielił, za przykładem zwyrodniałych arabsów zanzibarskich, pojąć za żonę niewiastę, nienależącą do twego pokolenia, albo na-

wet i do twojej rasy i nieważ się znieважаć imię mego ojca, Osmana. Krewni nasi są dumni i płynie w nich najczystsza krew arabska. Nie szanowali by nawet mojej pamięci, gdybym omieszkał powiadomić cię, jaki masz obowiązek względem mnie i względem swego pokolenia, które tak kochało mego ojca, Osmana. Wyrój sobie moje słowa w pamięci i zastosuj się do mej woli. Obiecujesz?

— Życzenie twoje jest dla mnie prawem—odrzekł Selim z powagą.

— Czas już, żebyś się udał na spoczynek. Papiery te powierzę dwu sługom, którzy wyruszą jutro do Zanzibaru i wręczą Imanowi. Oby cię Bóg strzegł od wszelkiego złego! Oby czuwał nad nami wszystkimi!

Selim uściskał ojca i poszedł pokrzepić się snem młodości i niewinności.

O świcie, rogi kirangoziów, \*) każdej z karawan dały wesołe hasło, by taborcy ocknęli się ze snu przygotowali do drogi.

Okolica, którą przebywała karawana, była urozmaicona mniejszemi i większemi wzgórzami kształtu stożkowatego, o stokach pokrytych gdzieniegdzie gęstwina, lub młodym lasem, w którym mogła użyć rozkosznego chłodu podczas upału.

Gdy wędrowcy przebyli okolice wzgórz, które były poprzecznicami pasma Uruguru, wypadło im spuszczać się grzbietem aż do kotliny rzeki Uami

---

\*) Przewodników.

Podczas pory dżdżystej kotlina ta przemienia się w wielkie bagniska; podówczas była sucha. i taborcy przebyli ją w przeciągu dwu dni. Wieczorem drugiego dnia dotarli do Mbuni w Uzagara.

Trzeciego dnia po wyruszeniu z Simbamueni, wkroczyli w okolice, całkiem odmienną od tej, jaką widzieli dotąd. Góry były wyższe i wszędzie uderzało bezładne nagromadzenie szczytów, grzbietów i łańcuchów. Jak daleko oko dosięgło, zielone, dziwnie bujne drzewa wspinały się po stokach i wieńczyły wierzchołki. Sykomory, tamaryszki, eleganckie mimozy walczyły z sobą o pierwszeństwo pod względem piękności i siły, a tysiące innych drzew, krzewów i kwiatów, tworzyły gęsty kobierzec z zieleni.

U stóp urwistych skał granitowych i gładów pomieszanych tu i owdzie z bazaltem, porfirem, krzemieniem i kwarcem, pienią się potoki, wydające iskierki światła. Jakże one są pożądane w podróży po Afryce, i jak miłe wspomnienia zostawiają te wody zimne i przezroczyste! Później, gdy okolica staje się nużąco jednostajna, z jakąż przyjemnością przypominamy sobie tę kaskadę, która wytryskała wrzająca, z głębokiej szczeliny w skale, prostopadłej jak mur; tę okrągłą skałę, co sterczała niby wieża, z bokami, po których pięły się paprocie i mchy aksamitne; albo to stożkowate wzgórze, kryjące, literalnie, wierzchołek w chmurach.

Młodzież objawiała podziw okrzykami. Tylko jeden Selim, na widok tych cudów, popadł w głęboką zadumę. Nie odgadywał on przedtem, że świat jest



tak wielki i tak piękny; wzruszony był; nasuwały mu się tłumnie nowe myśli. Ponieważ go przenikała żywa wiara, tak samo jak ojca, oczy jego spostrzegały nowe światło; wszędy dokoła siebie widział rękę Boga wszechmogącego i dobrotliwego.

Umysł jego napelniony i niejako owładnięty temi nowemi pojęciami, zrobił mimowolny zwrot do kwestji, która go przedtem nie zajmowała.

— Ojciec mój — rzekł do Amira — muszę cię o coś zapytać. Motto i Simba są twymi niewolnikami, a czy się to godzi mieć niewolników?

— Koran uświęca niewolnictwo i, jak wiadomo, rasa nasza w najdawniejszej starożytności posiadała niewolników. Kto ci podsunął tę myśl? Widzę, w każdym razie, że się twój umysł rozwija.

— Nie wiem, czy to jest przyczyną — odpowiedział Selim — ale chciałbym cię jeszcze o coś zapytać. Simba i Motto są dobrzy, obaj kochają cię. Wiem, żeś sprawiedliwy i że miłujesz sprawiedliwość dla niej samej: otóż, czy twojem zdaniem, służy ci prawo trzymać Motta i Simbę w niewoli, jeśli oni uważają to za niesprawiedliwość?

— Kiedy cię ta sprawa zajmuje, kochane dziecko, chętnie ci odpowiem. Nie, nie jest rzeczą sprawiedliwą trzymać w niewoli człowieka, który uważa niewolnictwo za niesprawiedliwość, lub za ciężar przechodzący jego siły. Ale i to nie jest sprawiedliwe, gdy kupię niewolnika, a niewolnik ten wyobraża sobie, iż gdy zażąda jeno wolności, to ją powinien otrzymać odemnie. Ścisła sprawiedliwość nakazywała-

by oszacować jego wolność na pewną sumę pieniędzy, lub pewną ilość pracy, któraby mi powetowała pieniądze, za jakie nabyłem go. Skoro mi wróci pieniądze, lub wykona odpowiednią ilość pracy, wtedy powinienem obdarzyć go wolnością. Oto co mówi koran, oto co nakazuje nasze prawo; com wprowadzał zawsze w czyn i w czem winienesz mię naśladować.

— Dzięki ci, ojczcie. Rozumiem teraz to wszystko. Ale... słyszysz? Co to za hałas? Byłżeby to krzyk hyjeny?

— Tak. Hyjeny wczesnie się dziś pojawiają. Muszą być głodne. Idź prędko powiedzieć Simbie i Motto, żeby rozpięli mój namiot na placu przy tem dużem drzewie, z wniściami, zwróconem ku wschodowi.

— Dobrze, ojczcie—odrzekł Selim, i natychmiast, lekki jak młody lampart, puścił się przez krzaki, żeby prędeż wykonać rozkaz.

Obozowisko zajmowało tym razem rodzaj tarasu, górującego nad taflą wody, podobniejszej do wąskiego jeziora, niż do rzeki. Była to jednak rzeka, zwana Lofu albo Rufu. Podczas suszy, dzieje się z nią to, co i z wielu innymi rzekami w Afryce, mianowicie przestaje być bieżącą. Gdyby wyrysować jej kształt przedstawiałaby szereg bagnisk wąskich i miejscami tak długich, że możnaby je przyrównać do jezior. Tam, gdzie wyżłobienia jej koryta mają dna skaliste lub gliniaste, woda stoi zamiast wsiąkać i mnożą się w niej ryby, zwane *sumami*. Gdzie obfitują sumy, tam są też krokodyle, które bardzo lubią te ryby;

tam zaś gdzie są krokodyle, można być prawie pewnym, że się także znajdują i hipopotamy; nie dlatego żeby zachodziła jakakolwiek łączność pomiędzy hipopotamem a krokodylem, ale że jeziora niewysychające w lecie, są otoczone gęstą murawą i wielkimi trzcinami, które służą hipopotamom za pożywienie.

Na jakie dwie godziny przed zachodem słońca, gdy się tylko rozłożono obozem, Selim wyszedł z fuzją, żeby co upolować. Towarzyszyli mu: Simba i dwu ludzi, zwanych Baruti i Mombo.

Wszyscy czterej skierowali kroki ku górnemu krańcowi wąskiego jeziora, przy którym obozowała karawana. Łodygi *matete*, tygrysie trawy i trzciny rosły obficie w tym punkcie; dalej ciągnęło się aż do wody zarośle, w które Selim i jego towarzysze zapuścili się, bo Simba zapowiedział mu, że znajdą tam zwierzynę.

Pod liściastem sklepieniem panował tak rozkoszny chłód, że umyślili wypocząć po mozolnem przedzieraniu się poprzez wysokie trawy.

Simba i Selim schronili się w cieniu ogromnego tamaryszku, Baruti o trzydzieści metrów dalej, a Mombo, znużony długim pochodem wieczornym, legł w cieniu młodego czułodrzewu (*mimoza*), nad wodą.

W lasku tym było tak chłodno i panowała tam tak głęboka cisza, oni zaś byli tak znużeni, że usnęli niebawem.

Podczas kiedy spali, naraz powierzchnia stojącej wody zmarszczyła się lekko w jednym punkcie i jakiś potworny przedmiot wyłonił się z niej ukrad-

kiem; byłato głowa krokodyla, który zimnemi, nieruchomemi oczami wpatrzył się w to miejsce, gdzie spoczywał Mombo. Przez kilka minut pozostawał on nieruchomy, niby ogromna kłoda drzewa, w trzech czwartych ukryta wodzie; ciężkie to cielsko zaczęło pływać prawie niedostrzegalnym ruchem, wystając do połowy z wody, tak że można było widzieć dużą szyszkowatą łuskę, idącą wzdłuż grzbietu. Ogromny ogon nie ruszał się wcale: ciężkie, krótkie i przysadkowate nogi poruszały się prawie nieznacznie, dosyć szybko jednak, żeby zwierzę posuwało się ku brzegowi.

Dotarłszy do brzegu, zatrzymał się krokodyl i stał nieruchomo, jakby martwa istota. Następnie podniósł długą głowę znowu ukradkiem—jest bowiem bojaźliwy, tchórzliwy—i wydłużył bez końca swe cielsko. Rzekłbyś, że to olbrzymi pień drzewa, wsparty na czterech zbyt krótkich nogach, tak nieodpowiednia jest ich wielkość do całego korpusu. Trąba największego słonia nie mogłaby się równać pod względem długości z jego ogonem; był on tak długi i tak ciężki, że końcem dotykał prawie ziemi.

Krokodyl zatrzymał się raz jeszcze, poczem zaczął znowu pływać bez szelestu, kołysząc się zlekka. Im bardziej zbliżał się do śpiącego Mombo, tem ruchy jego stawały się powolniejsze i ostrożniejsze—jak ruchy lamparta, w chwili, kiedy ma skoczyć na łup. Nagle rzucił się naprzód i ruchem szybkim, prawie konwulsyjnym, schwycił za nogę śpiącego. Potem zaczął wywijać nieszczęsnym Mombo z taką łatwością, jak kto inny obracałby kota, trzymając go za

ogon. To właśnie uratowało Momba. Rzucony w ten sposób o młode drzewo, uczepił się go z rozpaczliwą siłą i wydawał krzyki tak dzikie i przeraźliwe, że usłyszano go w obozie z dwumilowego oddalenia. Simba i Motto odgadli w jednej chwili, co się stało. Ujrzeni oni, że to ogromne, straszne, ohydne zwierzę szarpie gwałtownie murzyna za nogę. Gdyby nie to, że byli tak blisko niego, jużby nigdy nie ujrzano Momba.

Simba prędko przyszedł do siebie, ale Selim i Barutti skamienieli.

— Teraz, panie mój, schwyć za fuzję, prędko! bo gotów umknąć. Celuj szybko! Ale zachowaj zimną krew, bo mógłbyś zabić Momba. Strzel do gardła, gdy podniesie głowę. Brawo! Synu Amira, zabiłeś potwora. Aa, próbuje uciec! Dalej, Baruti! rąbnij mieczem, przyjacielu! Chodźcie za mną ale ostrożnie, żeby nas nie uderzył ogonem. We dwu możemy go przecie zatrzymać, a przynajmniej zwalniać jego bieg, dopóki go nie zgładzimy ze świata. Masz, nędzniku! zawołał Simba i wpakował mu miecz o szerokim ostrzu, w bok za przednią nogę, w którym to miejscu cios bywa śmiertelny. Krokodyl padł bez życia po kilku rzutach konwulsyjnych.

Baruti, zachęcony zrazu radosnemi okrzykami Simby, co się rozlegały w lesie, śmiało przystąpił do ogona krokodyla. Srodze został jednak ukarany za lekkceważenie przestrogi towarzysza. Ogon krokodyla ze straszną gwałtownością spadł mu na bok i o mało nie połamał mu żeber.

Gdy potwór wydał ostatnie tchnienie, Simba i Selim, usłyszawszy jęki Momba, poszli obejrzeć jego ranę.

— Biedak!—rzekł Selim.—Patrz, Simbo, skaleczony aż do kości. Cóżto za okropne zwierzę z tego krokodyla! Simbo, jak myślisz, czy Mombo wyleczy się—bo po tem wszystkiem, co zaszło, jego śmierć zasmuciłaby mnie podwójnie. Zdawałoby mi się, że moja kula na nic się nie zdała.

— Mombo będzie żył, panie; powróci na wyspę i będzie opowiadał tę przygodę wnukom swoim, gdy się zestarzeje i nie będzie już wstanie pracować. Wiecie że hakim \*) karawanowy, to człowiek uczony i biegły w swej sztuce. Za kilka dni, przy Boskiej pomocy, będzie zdrów. Mombo miałby umrzeć! Nie, mój panie! Mombo będzie żył, żeby się śmiać z tego wszystkiego. Ale trzeba go przenieść do obozu, aby hakim opatrzył rany. Daj pokój, Baruti, dosyć tego krzyku. Weź siekierę i zetnij mi kilka drzewek, a ja tymczasem przygotuję powrozy. Zrobimy nosze dla Momba. Ty, młody nasz panie, utnij kawał ogona krokodylowi, żeby go pokazać ojcowi. Będzie dumny z twego czynu bohaterskiego.

Wszyscy trzej wzięli się do dzieła. Baruti ściął dwa drzewka i obdarł je z kory, a Simba zrobił z nich powrozy. Niezadługo Mombo leżał na bardzo wygodnych noszach. Selim zabrał część ogona krokody-

---

\*) Lekarz

lego jako trofeum, poczem trzej przyjaciele pospieszyli z powrotem do obozu.

Selim dumny był z pochwał, jakie oddawano jego pierwszemu wystrzałowi. Wszyscy radowali się; jeden tylko fanfaron Iza nie powiedział ani słówka o jego czynie rycerskim. Za to młody Kamis, poczciwy chłopak, winszował mu z zapalem. Co się tyczy Abdallaha i Mussuda, wpatrywali się w Selima, jak gdyby odkryli w nim nagle bohatera.

Szlachetny Kamis, przywódca połączonych karawan, wyjąwszy z za pasa zakrzywiony sztylet z rękojeścią złotą, dał go Selimowi w dowód uzrania. Szeik Mohammed obdarzył go jedwabnym szalem karminowym, żeby go nosił jako pas. Sułtan ben Ali, patrijarcha karawany, prawdziwy typ czcigodnego wodza arabskiego, ofiarował mu fez ponsowy ze złotym chwastem. Szeik Mussud obdarzył go bogatym wiśniowym turbanem z Maskatu. W ten sposób, zanim się dzień skończył, Selim miał na sobie najbogatszy strój.

Niewolnicy opiewali czyny młodzieńca, siedząc dokoła ognisk obozowych; a murzynka Halima, stara kucharka Amira, oznajmiła, warząc *ugali* \*), że jak żyje, nie widziała tak szlachetnego i miłego chłopaczka.

Selim spałby onej nocy snem bohaterów, którzy zasłużyli na sławę za czyn rycerski, ale o północy zbudził go przeraźliwy krzyk. Jednemu z niewolni-

---

\*) Rodzaj zupy.

ków jego ojca hyjena wygryzła połowę policzka. Młodzi z pomiędzy niewolników, nie mający jeszcze doświadczenia, przerazili się tym wypadkiem. Motto uspakajał ich temi filozoficznemi słowy: hyjena jest zwierzęciem tchórzliwem, które uciekłoby na widok dziecka w biały dzień, i rzuca się tylko na ludzi śpiących, lub na trupy.

Karawana, posuwając się dalej bez żadnych przygód, dotarła do kraju uahehów. Jestto pokolenie złodziei, mieszkających na południu wielkich jałowych równin Ugogo.

Pierwszego wieczoru po przybyciu do Ohehe, zanim ułożono się do snu, *Kirangozi Kamisa*, na rozkaz swego pana, niby herold starożytny, wygłosił następujące słowa:

— Wy, synowie arabów, i wy wszyscy, ludzie z Zanzibaru, słuchajcie uważnie. Jesteście u uahehów. Znajdujecie się w kraju złodziei i włóczęgów nocnych. Bądźcie ostrożni i baczni, moi przyjaciele. Spijcie czujnie i miejcie zawsze fuzję pod ręką. Gdy spotkacie uaheha, wałęsającego się w nocy po waszym obozie, wycelujcie i zabijcie go. Rozumiecie?

— Rozumiemy! — odpowiedziało sześćset głosów.

— Dobrze, *Kirangozi Kingaru*, niewolnik *Kamisa ben Abdallaha*, skończył mówić.

Przez dwa dni wędrowali po kraju uhehów bez żadnej złej przygody. Wieczorem trzeciego dnia Amir kazał postawić swój namiot opodal krzaków i cierni, jakimi w Afryce, gdzie się tylko da, opasują obozy. Przez otwór w tej barykadzie jego ludzie mogli



łatwiej wchodzić i wychodzić, znosić drzewo na ogień i czerpać wodę w pobliskiej sadzawce, nie przechodząc przez całą długość obozu.

Na trzecim przystanku, na jakie dwie godziny przed wschodem słońca, kiedy sen bywa najmocniejszym, Simba, który w nocy drzemał tylko, jako dobry i wierny sługa, poczuwający się do odpowiedzialności za bezpieczeństwo swego pana, został obudzony szelestem gałązki, którą ktoś ułamał. Nie poruszył on się i oddychał tak równo, jak przedtem, bacznie wsłuchując się. Po niejakej chwili, wprawne jego ucho dosłyszało kroki ludzkie, z cicha lecz ciężko stępujące po ziemi obok niego. Przez nieuwagę, nie zamknięto otworu w barykadzie z krzaków, będącego naprzeciw drzwi namiotu Amira: w tę to stronę Simba zwrócił wzrok. Przy świetle gwiazd, które w Afryce mają blask niezwykły, dostrzegł on coś, co mogło być postacią ludzką; ta postać ludzka trzymała w jednej ręce jakiś przedmiot formy wydłużonej, może tarczę, w drugiej zaś długi kij, na końcu którego widniało coś jakby błękitnawy odblask słabego światelka. W Simbie obudziło się podejrzenie, że ten kij jest lancą. Powiedział sobie, że tą postacią ludzką jest włóczęga nocny. Nikt ze swoich nie stałby tak długo w tym otworze i nie posuwałby się ukradkiem.

Napozór Simba wciąż zaniedbywał swój obowiązek i nie zwracał na to uwagi, że niebezpieczeństwo grozi wszystkim, co się znajdują w namiocie jego pana. Ale gdyby intruz mógł być widzieć poprzez cienie nocne duże i czujne oczy leżącego człowieka,

którego niemal dotykał nogą, zawahałby się, czy się zbliżyć choćby o jeden krok do otwartych drzwi.

Cicho było dookoła; owa postać pochyliła się więc i zaczęła pełzać ku namiotowi, w którym spali Selim i jego ojciec, nie przeczuwając grożącego niebezpieczeństwa. Simba nie odzywał się, ale bacznie śledził pełzającego człowieka, dopóki tenże nie znikł do połowy we drzwiach namiotu. Wtedy podniósł głowę, potem wyprostował się i odetchnął głęboko, jakby po ciężkiej pracy. Następnie schylił się szybko, złapał za nogi nocnego złodzieja, z okrzykiem tryumfu wywinął nim kilka razy dookoła swej głowy i uderzył nim o kamień, poczem przerzucił go przez płot.

W jednej chwili ocknęło się całe obozowisko; tu i owdzie zabłysło światło. Przyczyna tego popłochu rozgłosiła się i cała ciżba ciekawych wyległa, żeby zobaczyć zwłoki tego, co padł ofiarą swego zamiłowania w kradzieży lub morderstwie. Amir wyszedł także z namiotu i z łatwością poznał w tym nędzniku człowieka z pokolenia uabehów. Miał on tarczę podłużną, lancę o szerokim ostrzu i topór. Te narzędzia zdradzały dostatecznie jego zamiary.

— Dziecię moje—rzekł Amir do Selima.—Simba ocalił ci życie. Twoja głowa znajdowała się tuż przy drzwiach—gdybyś się obudził, byłoby już po tobie. Cóż masz do powiedzenia Simbie?

Chłopczyk zwrócił duże błyszczące oczy ku twarzy Simby, tchnącej uczciwą dumą i żywym przywią-

zaniem; zmierzył okiem jego olbrzymie członki, ogromne ręce i szeroką pierś; i zamiast odpowiedzieć na pytanie ojca, sam zadał mu z kolei pytanie, które go mocno zadziwiło.

— Simba jest człowiekiem roslym i silnym; ale kogo wolisz, syna swego — Selima, czy niewolnika swego—Simbę?

— Co za pytanie, moje dziecko drogie! Alboż nie jesteś synem moim, synem mojej ukochanej Aminy? Czyś się kiedy zawiódł na mojej miłości?

— Nigdy; nie, nigdy, drogi ojcze; ale Simba ocalił ci syna, bo gdyby nie on, byłbym zginął. Czy Simba powetował ci pieniądze, które dałeś za niego, gdy był dzieckiem? Czy jest wolnym nakoniec?

— Simba jest dobry; ale gdybym cię był stracił, straciłbym wszystko. Tak, Simba jest wolny; odąd nie będzie niewolnikiem Amira ben Osmana.

— Simbo!—zawołał Selim — mój dobry Simbo! słyszysz, co powiedział mój ojciec? Jesteś człowiekiem, przestałeś być niewolnikiem.

Zdawało się zrazu, że Simba nie ocenia doniosłości tych słów; ale gdy mu je powtórzono, uśmiech, wyrażający dumę, rozjaśnił mu oblicze; z głową wzniesioną do góry i rozdętymi nozdrzami, rzekł:

— Niewolnik! to brzydkie słowo. Ale Simba, z pokolenia uahumasów z Urundi, w głębi duszy nie był nigdy nie był niewolnikiem; dlatego w pierwszej chwili zadziwił go ten wyraz. Simba dawno mógł być wolny, gdyby chciał; ale on kochał swego pana i sy-

na swego pana i dla tego był ich sługą. Będąc ich sługą, pamiętał jednak zawsze, że jest człowiekiem. Simba jest wdzięcznym Amirowi i jego synowi, Selimowi. Ile razy pomyśli o tem, że jest wolny, z radością przypomni sobie, że jest ich sługą.

Mówiąc te słowa, ukląkł i ucałował rękę ojca, a potem syna.

— Ach, Simbo! Mój przyjacielu! — wykrzyknął Selim—będę cię nazywał przyjacielem. Będiesz mię tykał i ja ciebie także, tak samo, jak tykam ojca mego, a ojciec mnie. Jak ty jesteś wdzięczny, tak i Selim ma serce, które żywo czuje.

— Dalej dzieci, do łóżka, dośpijmy nocy—przerwał ojciec. — Niech straż będzie, czujna i na najłżejszą wskazówkę niebezpieczeństwa, natychmiast uderzyć w bębny!

Noc spokojnie przeszła i o zwykłej godzinie rozległa się pobudka.

W chwili, kiedy karawany miały wyruszyć z obozowiska, dostrzegł ktoś gromadę uahehów, która krążyła nieopodal, udając obojętność. Byli oni tak samo uzbrojeni, jak ten, któremu Simba wymierzył tak doraźną sprawiedliwość. Gdy się zbliżyli do środkowego wejścia, ich bystre oczy dojrzały trupa towarzysza. Podbiegli doń, przyglądali mu się z oznakami wielkiego zadziwienia i pytali za co i w jaki sposób doprowadzono go do tego stanu.

— Ach, moi bracia—rzekł Motto, który śledził zbliska ich ruchy, niektórzy—ludzie są źli, bardzo źli i szaleni w dodatku. Któż mógł namówić tego człowie-

ka, żeby się skusił na okradzenie karawany, złożone z sześciuset ludzi uzbrojonych? To był chyba samj zły duch. Widzicie tego oto olbrzyma z tym dużym toporem u pasa i z tym długim rogiem z kości słoniowej, przewieszonym przez ramię? Otóż ten olbrzym spostrzegł tego złodzieja w namiocie Amira ben Osmana, wziął go za nogi i roztrzaskał mu głowę o kamień.

— Eja! Eja!—powtarzali uahehowie z zadziwieniem.—To był pewno zły duch we własnej osobie, ale wszyscy złodzieje muszą wyginąć, więc jeśli, jak powiadasz, ten człowiek został zaskoczony w obozie, wśród nocy, to zasłużył na taki koniec.

— Czy istotnie tak myślicie, moi bracia? Tem lepiej—rzekł Motto.—Ale posłuchajcie, co wam powiem. Gdyby nawet wiatr dostał się do naszego obozu, żeby kraść, ten olbrzym wiedziałby o tem. On chyba nigdy nie sypia i nie wypoczywa. W nocy uczułby którego z was nawet z bardzo wielkiej odległości.

— Eja! Eja! Eja! To djabeł we własnej osobie...

Mrucząc coś niewyraźnie, poumykali, zbici z terminu.

Kilka następnych dni posuwała się karawana pośród wcale nieciekawych widoków, gdyż zachodnia część kraju Uhehe jest smutna i jednostajna. Jak okiem sięgnąć, wszędzie rozciąga się tylko równina, pokryta trawą krótką, wyschniętą, gdzieś upstrzostną nędznymi krzakami ciernistymi; albo też rzad-

Z ziemi niewolników.

5

Dodatek do Nr 13 „Wędrowca“.

ka, znudzone oczy wędrowca napotykały pojedynczy baobab. Uhehowie, uagogowie południowi, pomieszani z kilku koczującymi rodzinami uakimbusów, nie napastowali ogromnej karawany, to też pochód stawał się strasznie monotony. Ale, gdy po przebyciu rozległej płaszczyny, jeszcze bardziej wyschłej od poprzednich, spostrzeżono długi szereg wzgórków skalistych i białawych, ludność karawanowa zaczęła szeptać pomiędzy sobą. Za temi pagórkami leżą ziemie licznej rasy uarorisów — mówili — sąto w ogóle pasterze—i jeśli im przyjdzie chętka zaczepić nas, to nie będą uważali ani na ilość, ani na siły swych wrogów.

Dziesięć dni upłynęło od wyruszenia z Simbamueni, kiedy, przebywszy pagórki, weszli taborcy do kraju uarorisów, złożonego z szeregu dolin zadrzewionych, nagich płaskowzgórz i równin, pokrytych roślinami.

Ci wszyscy, co znali Motta, zadziwieni byli jego podobieństwem do pasterzy i wieśniaków, którzy stojąc gromadami wzdłuż drogi, podziwiali bogactwo karawan arabskich i robili naiwne spostrzeżenia nad wszystkim, co było nowem dla nich.

Uarisowie nie okazywali jednak chęci napastowania karawany; bawiły ich twarze niektórych arabsów, bielsze od innych. Selim był z początku trochę zmieszany tem, że mu się przyglądano z głośnemi uwagami. Tak wieśniacy jak i pasterze dosyć chętnie wymieniali przedmioty, żądane przez arabsów, za ozdoby szklane i różne wyroby amerykańskie. Mle-

ka, masła i jaj, można było dostać w obfitości; młodzi arabowie ucztowali więc, wynagradzając sobie wędrówkę po gorących, suchych i nieurodzajnych zachodnich stronach kraju Uhehe. Taborcy nasi nie widzieli jeszcze tak strasznej broni, jak u tych dzikich. Ich luki były większe i cięższe, a strzały dłuższe, i dla zadawania sroższych ran, drobniej nacinane; oprócz ogromnej lancy, o szerokim ostrzu, wyglądającej jak miecz rzymski, osadzonej na długim kiju, każdy z nich miał pół tuzina oszczepów, siekierę wojenną i nóż tak szeroki i długi, jak pałasz.

Szóstego dnia po wkroczeniu do Urori, karawany arabskie dotarły do dużej wsi, otoczonej częstokolem, a zwanej Kuikuru, co znaczy: stolica. Wieś ta składa się z jakich ośmiuset chat, zabezpieczonych wysoką polisadą z bardzo twardego drzewa czerwonego. Z jednej strony wsi płynęła dosyć duża struga, z drugiej zaś znajdował się o jakie tysiąc metrów las, złożony z pięknych drzew. Tam-to arabowie rozłożyli się obozem.

Nazwa Kuikuru czyli stolica, właściwą była dla tej wsi — a raczej miasta, z powodu znacznej rozległości i wielkiego znaczenia. Prócz Simbamueni, było najludniejsze miasto ze wszystkich, jakie wędrowcy napotkali, do onej chwili, w Afryce. Nieopodal lasu, tysiące sztuk bydła pasły się pod nadzorem pasterzy czujnych i dobrze uzbrojonych. Taborcom sprawiało prawdziwą przyjemność słuchać ryku krów i dużych osłów miejscowych, oraz beku baranów i kóz. Oddawna już nie mieli tej uciechy, gdyż w Afryce

mało jest bydła. Miło im też było widzieć ciągnące się bez końca pola dobrze uprawione, na których rosły: kukurydza, maniok, sorgo, trzcina cukrowa, banany, przeróżne warzywa i melony.

Zaczęto od staranniejszego niż zwykle otoczenia obozu gęstym płotem z cierni i chrustu. Po południu, o dosyć późnej godzinie, naczelnicy arabscy zgromadzili się na naradę, w jakiby sposób zawiązać przyjazne stosunki z groźnymi mieszkańcami wsi Kuikuru.

Kamis, przewodnik karawany, przemówił do nich w te słowa:

— Przyjaciele moi, jesteśmy nakoniec w Urori. Zapewne wypadnie nam tu postępować inaczej, niż dotychczas. Lękam się, że król zażąda haraczu. Zwołałem was tu, żeby wam zalecić oględność i wielką ostrożność w stosunkach z krajowcami. Trzeba będzie złożyć dużą daninę, bo to król bogaty i potężny: gdybyśmy mu dali mało tkanin, gotówby ich nie przyjąć.

— Kamisie—rzekł sułtan ben Ali—dobrześ zrobił, żeś nas uprzedził o tem. Jak myślisz, na ilu łokciach tkaniny poprzestałby ten człowiek? Stać nas na hojny dar, ale nie możemy szafować zbyt wiele tkaninami, bo nam nie zbywa ani jeden *doti* \*).

— Nie wiem, ile będzie wymagał, ale w każdym razie przystąpmy do rzeczy ostrożnie. Przypuszczam, że wystarczy sześć *doti*; dwa *doti* tkaniny z Joho dla

---

\*) Przeszło cztery metry.



króla; dwa *doti* materji bawełnianej w pasy dla jego żony; jeden *doti* materji bawełnianej z Moskatu, z brzegiem czerwono-żółtym dla starszego syna; jeden *doti* dobrej materji bawełnianej błękitnej (Kani) dla drugiego z rządu.

— Doskonała myśl—rzekł sułtan ben Ali.—Amirze, ty masz inteligentnego niewolnika, Motta, który jest podobno Mrori \*); niechaj on i drugi zaufany, człowiek, zaniosą materje królowi, wraz z oświadczeniem przyjaźni, żebyśmy mogli przejść przez kraj spokojnie i w zgodzie ze wszystkimi.

Stosownie do postanowienia Rady, Motto udał się w drogę z kirangozi \*\*) Kamisa, znającym wszystkie narzecza południowych krain Afryki środkowej. Do czasu ich powrotu, Kamis przyjmował swych gości, o ile mógł najuprzejmiej.

W godzinę, Motto i kirangozi byli już z powrotem. Poszli wprost do głównego namiotu, uklękli przed drzwiami i rzekli do arabów: Pokój z wami! Na to arabowie odpowiedzieli jednogłośnie: I z wami niechaj będzie pokój.

— Cóż, Motto?—przemówił Kamis.—Jakto, odnoście podarek? Nie powiodło wam się?

— Oto co król kazał mi dosłownie powtórzyć:

---

\*) Urori, nazwa kraju; Mrori, nazwa mieszkańca tego kraju; uarori, taż nazwa w liczbie mnogiej.

Drugi przykład: uhehe jest nazwa kraju; mieszkańiec tego kraju zowie się uhehe, a mieszkańcy—uahehe.

\*\*) Przewodnik.

Pocoście przybyli do mego kraju? Alboż nie wiecie, że jest krew pomiędzy uarorisami a dziećmi arabów? Mostana, wielki wódz, którego okrutni kupcy zabili, był moim przyjacielem. Czy ten lichy podarek, który przynieśliście, może zatrzeć w mej pamięci jego śmierć? Odejdźcie, niewolnicy, i powiedzcie swym panom, że jeśli mi nie przyniosą pięćdziesięciu pak materji, pięćdziesięciu fuzyj i dwudziestu beczulek prochu, to mogą się zawrócić.—Oto jakie słowa król Olimali kazał mi powtórzyć moim panom.

Głęboka cisza nastąpiła po tem oświadczeniu króla kraju Kuikuru. Arabowie instynktownie spoglądali jeden na drugiego z zadziwieniem i trwogą.

Szeik Mohamed, najśmielszy ze wszystkich, pierwszy przerwał milczenie.

— Czyście się dobrze przyjrzeni wsi króla Olimali?—zapytał Motta.

— Przyjrzałem się, panie.

— Czy mocna? Mów, Motto, bo zależy mi wiele na twojem zdaniu.

— Mocna, panie; aż nadto mocna, żebyśmy mogli uderzyć na nią z takim wojskiem, jak nasze. Jeśli uarorisowie wystąpią ze swej wsi, żeby nas napastować, to nie wezmą tego obozu, dopóki nasi ludzie w nim będą.

— Dobrze mówisz, Motto.

Mohamed zwróciwszy się do Kamisa, rzekł:

— Czyś już postanowił, co wypada uczynić?

— Nie mogę nic postanowić sam przez się, kiedy idzie o oddanie całego mienia naszego chci-

wemu poganinowi. Czy ten przekłety wyobraża sobie, że materja, fuzje i proch rosną w dżunglach afrykańskich? To rzecz ważna i musimy wyteńczyć wszystkie siły umysłu, zanim poweźmiem jakie postanowienie co do warunków Olimali. Mówcie, przyjaciele moi, słucham ciekawie.

— Czy myślisz, Motto, że możnaby go nakłonić do przyjęcia połowy tego, co żąda? — odezwał się Amir.

— Nie, panie—nie przypuszczam. Mnie się zdaje, że Olimali chce wojny, nie pokoju. Gdyby sądził, że zechcesz mu posłać pięćdziesiąt pak materji, to zażądałby zaraz pięćdziesięciu więcej. Wyszedłszy od króla, przysłuchiwałem się wszystkiemu, co mówiono dokoła: wszyscy prawili tylko o wojnie. Ja mam dobre uszy.

— Chce wojny!—wykrzyknął Mohamed. — Dobrze, wystąpimy z wojną, i wówczas z rozkoszą przebiję mu pierś moim mieczem z Szyrazu.

— Nie gorączkuj się, Mohamedzie, mój przyjacielu—powiedział sułtan ben Ali.—Kto zbyt wiele na swój miecz liczy, temu szczęście rzadko służy. Mojem zdaniem, można wyjść z tego krytycznego położenia nietylko drogą wojny, chociażbyśmy mieli jeszcze więcej ludzi i fuzyj. Działajmy ostrożnie w chwili niebezpieczeństwa.

— Sułtan ben Ali ma słuszną — odezwał się szeik Tani. Spróbujmy przedewszystkiem środków pokojowych; niechaj przyjdzie do wojny tylko w ostateczności: Mamy niewolników, kobiety i dzieci w na-

szym namiocie, nie licząc cennych towarów. Rozważmy należycie to wszystko i działajmy bez pośpiechu.

— Tani dobrze mówi, mądrze mówi—powiedział Kamis — radziłbym więc posłać drogiej materji na czterdzieści sukien, zwyczajnej także na czterdzieści, jedną lub dwie lichej fuzyj i pół baryłki prochu. Niechaj Motto i kirangozi zanoszą te dary, gdyż oni będą umieli przemawiać do króla z należnem uszanowaniem.

— Ja tam już nie pójdę—rzekł Motto.—To, com widział we wsi jest ważne-to, co słyszałem na własne uszy, jest także ważne — proszę więc mego pana, żeby mi pozwolił zostać.

— Mniejsza o to—powiedział Kamis — wyprawę pierwszego lepszego, byleby umiał podchlebiać się i przekonywać. Niechaj kirangozi wybierze kogo zechce i niech poniesie materje.

Z łatwością znaleziono człowieka, który, nie wiedząc, że mu grozi niebezpieczeństwo, chętnie podjął się tego zadania, chociaż tak odważny skądinąd Motto cofnął się przed niem.

W tej samej chwili, kiedy kirangozi wraz z towarzyszem wyszli z obozu, Motto miał sposobność przekonać się, że roztropnie postąpił. Ludność wioskowa z pośpiechem zaczęła zapędzać bydło do domu, chociaż było jeszcze daleko do zwykłej pory. Nie wspomniał jednak o tem nikomu, żeby nie wywołać niepotrzebnego popłochu w obozie.

Z najwyższem przejęciem śledził ruchy Kirangozi'ego i jego towarzysza. Skoro doszli do wrót, nie

wpuszczono ich i po chwili zobaczył, że wracają do obozu.

Gdy kirangozi mijał Motta, ten zapytał go: Pokój czy wojna?

— Wojna!

Nowinę tę, która nie zadziwiła go wcale, poszedł oznajmić Simbie, którego bardzo zadziwiła.

— Wojna, mówisz Motto. Twoje obawy były więc uzasadnione. Wszystko to jest następstwem onej wojny Kizezy z Mostaną, nieprawda?

— Z pewnością. Czy uwierzysz temu? Było tam kilku nieponiów, którzy mi się dziwnie przyglądali, dlatego nie chciałem pójść tam powtórnie, bo gdyby się upewnili w tem, że to ja jestem, nie zobaczylibyście już nigdy swego przyjaciela, Motta.

Przez część nocy arabowie naradzali się, nie mogąc dojść do porozumienia. Postawiono wkoło obozu strażę, a zadanie to powierzone zostało szejkowi Tani'emu.

---

## ROZDZIAŁ IV.

Napad na Kuikuru — Rycerskie czyny Simby. — Śmierć Kamisa — Amir przeszyty strzałą. — Selim dostaje się do niewoli. — Tifoum Byah. — Bohaterska odwaga Selima. — Abdallah oświadcza, że nigdy nie będzie niewolnikiem. — Podział łupów. — Odwrót Ferodji.

---

Należy przyznać, że gdy się ta wieść rozgłosiła, w obozie zapanowała trwoga. Gdyby ci biedacy mieli naczelnika z usposobieniem stanowczem, z władzą nieograniczoną, to mógłby on kilku słowy ożywić w nich odwagę.

Kamis ben Abdallah, był odważny, niktby mu tego nie mógł zaprzeczyć, ale jego odwaga była gwałtowna, niepohamowana. Był to odwaga serca szlachetnego, lecz dzikiego. Zamało widział bitew, żeby z uśmiechem wysłuchać opowiedzi Olimali'ego

Przez brak doświadczenia wojennego nie wiedział, że jakiegokolwiek byłyby siły Olimali'ego, mógł je zawsze odeprzeć. Był zdolny sam poświęcić życie, ale nie miał wymowy potrzebnej, żeby podnieść wszystkie inne dusze do poziomu własnej duszy. Był to typ świetnej rasy ale musimy przyznać, że doznawał niejakiego zgnębienia i obawy, chociaż oblicze jego wyrażało pewność siebie, a postawa—stanowczość.

Inni naczelnicy arabscy byli tak samo usposobieni. Amir, odważny jak lew, nie mógł jednak liczyć na swych ludzi, jak na siebie samego. Gdyby w szeregach walczących stanęło chociażby stu arabów, wynik bitwy nie byłby wątpliwy, ale wszystkiego było dwunastu arabów i sześciuset negrów. Jak długo ci negrzy stawiać będą opór, nie rozpierschając się?

O wschodzie słońca nastąpiła druga, na którą naczelnicy arabscy sprowadzili swych synów.

Po długich rozprawach uchwalono, że jedenastu arabów z pomiędzy dwunastu pójdzie napaść wieś, a jeden pozostanie ze stu negrami, żeby wzmocnić obóz i zapewnić odwrót walczącym, w razie niepowodzenia. Ci pięciuset napastników, podzieleni na dwie gromady, mieli się rzucić jednocześnie na dwoje wrót. Ci, którymby się powiodło pierwszymi, zadęliby w rogi, żeby uwiadomić innych. Pozostając w obozie, można było stawić opór cztery razy większym siłom od tych, jakimi mógł rozporządzać Olimali. Ten plan byłby najpewniejszy, ale nie dał się uskutecznić z powodu, że brakowało żywności.

— Starszyzna mówiła już i dobrze mówiła. Ale ja był w Urori i znam zwyczaje uarorisów. Chociaż nam się uda wziąć Kuikuru, nie będziemy mogli posunąć się dalej w głąb kraju. Skoro tylko zwyciężymy, wypadnie puścić się natychmiast drogą, co prowadzi do Unjanjembe. Nie chcę przypominać, żeś was ostrzegł co do drogi Urori: wyrzuty byłyby już zbyt ciężkie; ale będę się starał ocalić wszystkich. Trzeba zmienić drogę jeszcze dziś wieczór, bo zanim dwa dni upłyną, zbiegi podburzą cały kraj.

Po śniadaniu, które zajęło pół godziny czasu, karawana wyszła z obozu. Zostawiono tylko sułtana ben Ali'ego, żeby kazał wykopać rów i zabezpieczyć twierdzę.

Simba i Motto także odbyli naradę. Idąc u boku Amira, porozumiewali się oni z sobą spojrzeniami i ruchami głowy, które nie wróżyły nic dobrego.

Najgłębsza cisza panowała dokoła wsi. Żywej duszy nie było widać i pies nawet nie zaszczekał. Słońce rzucało gorące blaski na czyste błękitne bezchmurnego nieba. Ale posuwające się dwa oddziały nie myślały wcale o tem, że niebo jest piękne, dzień jasny, a słońce palące.

Na jakie trzysta metrów od wsi, oddział Amira rozłączył się z ludźmi Kamisa, i trzymając się zdala od wsi, dążył ku wrotom południowym. Dotarwszy tam, dano hasło i oba oddziały zaczęły strzelać, a strzelając, posuwały się szybko.

We wsi nie było żadnego ruchu; zdawała się wymarła—ale gdy arabowie zbliżyli się na pięćdzie-



siąt metrów, wyleciały z niej chmary strzał i usłyszano przeraźliwe wycie. Wielu napastników padło od strzał, lecz, zachęceni okrzykami swych wodzów, rzucali się naprzód.

Po kilku wystrzałach, arabowie dotarli do zewnętrznej palisady i wystawiając poprzez pale fuzje, strzelali do ludzi Olimali'ego, którzy—należy przyznać—okazali więcej zadziwienia, niż przestachu. W tejże chwili odezwały się rogi w dwóch miejscach: poważniejsze i przeciąglejsze dźwięki wyszły z wnętrza wsi, drugie, ostrzejsze i krótsze—z wrót południowych. To ostatnie hasło dał Motto; kto dał pierwsze, nie miano czasu odgadywać.

Amir posuwał się z nieprzepartą gwałtownością ku wrotom południowym. Olbrzymi Simba jednym cięciem siekiery przerąbał je od góry do dołu, pchnął silnie i wyważył, a potem przekroczył je wraz z panem swym i Selimem, który strzelał i nabijał fuzję z nadzwyczajną szybkością.

Towarzysze Amira, podnieceni jego męstwem i zdumiewającą siłą Simby, stali się odważni jak lwy i prześcigali się w okrzykach i junactwie. Nie mogąc przejść dosyć prędko przez wrota, zajęte przez samych oblegających, wspinali się na palisady, jak małpy. Niani'ego cuda zręczności usprawiedliwiały jego przydomek.

Abdallah, Mussud i Iza, którzy byli tam ze swymi ojcami, przeszedłszy za Selimem przez wrota, przeciskali się z trudem przez tłum oblegających.

Simba wyłamał tak szybko wrota, że nie wszy-

scy zbiegowie zdążyli dostać się do drugiego ogrodu osady królewskiej. Było ich około pięćdziesięciu, pod rozkazami starszego syna królewskiego; odwrócenie plecami od palisady, stawiali mężnie czoło niebezpieczeństwu, z ciężką dzidą w ręku.

Co się tyczy Simby, uległ on zupełnemu przestoczeniu: nie byłto już niewolnik; nie był to pokorny sługa Amira i Selima: porywał ich za sobą zapalem, któremu się oprzeć nie zdołali. Przemawiała przez niego dzika krew urundisów; wydawał ryki, a za każdym rykiem fuzja jego, przemieniona w maczugę, obalała jednego wroga. Amir wpatrywał się weń z podziwem, ale i sam nie był bezczynny; przywoławszy swych żołnierzy, wywijał tak zręcznie palaszem o dwóch ostrzach, że Simba podziwiał go tak samo, jak on Simbę.

Pozostali przy życiu uarorisowie, widząc, że przegrali sprawę, rozpaczliwie się rzucili na nieprzyjaciół, używając ciężkich owych dzid ze wściekłym rozmachem. Naczelnik uarorisów znalazł się nieopodal Selima, który nabijał fuzję i strzelał z taką zimną krwią i tak dokładnie, że zachwycałby żołnierzy swego ojca, gdyby mieli czas przyglądać mu się. Właśnie nabijał broń, kiedy nastąpiła owa rozpaczliwa próba uarorisów. Ich wódz rzucił się nań z lancą podniesioną, żeby w niego ugodzić. Na szczęście, stał w pobliżu Motto. W chwili, kiedy Selim oczekiwał ciosu, którego nie mógł uniknąć, ujrzał, że wódz pada twarzą naprzód, z rękami wyciągniętymi.

Kula Motta roztrzaskała mu głowę.

Uarorisowie, zgnębieni śmiercią wodza, próbowali uciec, ale wszyscy legli—co do jednego.

Zachęcony powodzeniem Amira, Kamis dostał się także do pierwszego zakola. Mieli oni jeszcze przed sobą ciężkie zadanie przedostania się za palisadę; byłoby im się to pewnie udało, gdyby nie to, że nowy wróg pojawił się na polu bitwy.

Arabowie nie wiedzieli, że o kilka mil na zachód od wsi, znajduje się liczny obóz uatutasów, których wodza wysłał Katalambula, brat Mostany, z oświadczeniem hołdu przyjaciółom jego zmarłego brata.

Korpus uatutasów składał się z tysiąca ludzi. Skoro tylko karawany arabskie dały hasło, Olimali wyprawił wysłanników do Ferodji, naczelnika bandy, z oznajmieniem swych zamiarów i prośbą, żeby był czujny i baczny na jego sygnały, gdy się rzuci na obóz arabski. Ale ponieważ zaskoczyła go napaść arabów, dał hasło prędzej, aniżeli byłoto jego zamiarem.— To, że arabowie z taką łatwością dostali się za pierwsze ogrodzenie, wchodziło w plan Olimali'ego. Ale podstęp ten przyplacili życiem—jego syn i znaczna część wojowników.

Podczas kiedy arabowie, zajęci byli zdobywaniem drugiej palisady, mężnie bronionej, większość uatutasów, w odpowiedzi na hasło uarorisów, podniosła się i wyszła z pól zbożowych, w których się kryła, na zachód od wsi i obozowiska.

Dotarli oni do częstokołu zewnętrznego właśnie w chwili, kiedy arabowie atakowali wewnętrzny,

i wtedy dopiero spostrzegł ich wróg, gdy został wzięty we dwa ognie.

Negrowie karawanowi, zrazu tak odważni, ulegli panice i wszyscy zaczęli biec ku wrotom, krzyżąc z przerażenia; dzicy zaś zagłuszali ich krzyki wrzaskliwem naigrawaniem się. Ale uatutasy zamykali szczelnie wrota, lub przynajmniej barykadowali je. Wydostać się, było istnem niepodobieństwem. Z jednej i z drugiej strony groziła śmierć przybyszom. Ich waleczni wodzowie, jeden po drugim, padali trupem. Kamis ben Abdallah został przeszyty dwunastoma strzałami. Młody Kamis, ten, którego ożywiała tak szlachetna duma, padł na zwłoki ojca swego, pod ciosami tych, dzikich, którym okazywał taką wzgardę.

Mussud, Tani, Amram pożegnali życie niemniej odważnie; znaczna część tych, co im towarzyszyli, legła także; inni rzucali broń, wołając: Aman! Aman! \*) Wtedy uatutasowie przestali mordować, żeby brać w niewolę, tych co wołali: Łaski!

Żołnierzy Amira, Szeika Mohameda i Amdana spotkał równie smutny koniec. Mohamedowi przeszła kark strzala, ciśnięta z tyłu—wydał więc wielki krzyk. Towarzysze jego, obróciwszy się, żeby zobaczyć, kto mu zadał ten cios, spostrzegli z przerażeniem nowego wroga. Motto zaczął krzyczeć: Uatutasy! uatutasy! Olimali wydał nas jemu! Usłyszawszy te słowa, Simba szybko zbliżył się do Amira, chcąc

---

\*) Łaski! Łaski!

go skłonić do wspólnej ucieczki, i dał mu tarczę, żeby zasłonił swój strój, w któryby godzono. Motto także skrył Selima dwiema tarczami i doradził Abdallahowi i Mussudowi tę samą ostrożność.

— Uciec—rzekł Amir z zadziwieniem—uciec! Ach Simbo, mój przyjacielu, trzebaby nam skrzydeł, żeby uciec. Czy nie widzisz, że wrota są zamknięte.

— Wrota są zamknięte, panie nasz, widzę to dobrze; ale ramię Simby silne; będę je umiał wyłamać.

— Nie, Simbo, nie mogę uciec, zarzniętoby mnie zaraz, jak wołu. Ja tu muszę uleść memu losowi. Ach, słyszysz? Patrz, oto dzicy wkroczyli? Kamis nie żyje! Ratuj mego syna, Selima, przez wzgląd na jego matkę! Chodź, dziecię, uściśnij mię, zanim się rozstaniemy nazawsze. Pamiętaj tylko, mój synu, że się zobaczymy w raju.

Ścisnął jeszcze syna w objęciach, kiedy strzała, rzucona z wewnętrznej palisady, przerwała mu mowę.

Padł, i Selim wraz z nim.

— Simbo, Motto, wierni słudzy moi! Gdzie jesteście? Ratujcie Selima, mego najdroższego Selima! Byłyto ostatnie jego słowa.

Simba i Motto, zobaczywszy że ich pan wydał ostatnie tchnienie, zasłonili mu twarz z poszanowaniem i zanieśli go na ubocze. Potem zmusili Selima, żeby się położył przy trupie ojca. Gdy się chciał podnieść, Motto rzekł: Leż, młody nasz panie.

Musisz leżeć. Ojciec twój kazał nam cię ocalić i ocalimy cię, ale musisz robić to, czego się domagamy. Pomnij o swej matce, pomnij na szczęśliwe dni, co masz przed sobą. Nie podnoś się; zaprowadzi cię ktoś do wsi Katalambula i zobaczymy się tam. Abdallahu, Mussudzie, Izo, chodźcie prędko i połóżcie się obok Selima. Jakto! wszyscy wodzowie polegli! Cóż to za smutny dzień dla arabów Zanzibarskich!

Simba i Motto położyli się, niewypuszczając z rąk dzid i tarcz.

— Uatutasy byli rzeczywiście we wsi, świecąc swój tryumf rykami. Ferodja kazał skrepować niewolników, poczem pośpieszył ze wszystkimi prawie ludźmi swymi napaść na obóz, gdzie Sułtan, ben Ali, stawiał opór atakującym.

Podczas kiedy kilku uatutasów wiązało jeńców, Simba i Motto zerwali się i godząc lancami w prawo i w lewo, utorowali sobie drogę do wrót, zanim dzicy ochłonęli z zadziwienia. Wydostawszy się za częstokół, znikli w lesie, zostawiając za sobą, zdaleka, pogoń.

Uatutasy przystąpili do oglądania rannych, zwłaszcza arabów, których wygląd wielce ich zadziwiał. Gromadka, złożona z Amira, Selima i jego druhów najbardziej zwracała ich uwagę bogatemi strojami. Zaczęli ogałacać trupy; ale jakież było ich zdumienie, kiedy Iza podniósł się i złożył ręce błagalnie.

Podejrzewając, że inni także udają nieżywych,

schwycili Selima, który dźwignął się. Abdallah i Mussud również wstali. Biedne dzieci spuszczały oczy, jak ludzie, schwytani na niecnym uczynku. Dzicy, rozwścieczeni, że zostali wystrychnięci na dudków, zerwali płaszcz z Amira. Na nieszczęście, nie żył on.

Niektórzy chcieli natychmiast pozabijać młodzieniaszków; inni zaś, a było ich więcej, mówili: dlaczego zabijać, kiedy można z nich mieć niewolników?

Gdy Selim, wraz z innymi, został ogołocony z bogatego stroju i kiedy go zmuszono, jako niewolnika, żeby pokazał język, zęby, mięśnie rąk i nóg, nie mogąc znieść dłużej takich zniewag, rzucił się z płaczem na zwłoki ojca i prosił Boga, żeby mu także zesłał śmierć. Abdallah i Mussud, przestraszeni, płacząc pocichu, dali się skrepować i wprowadzić bez oporu.

Wtedy stała się rzecz oburzająca. Ponieważ kaci uważali, że się Selim zawolno podnosi, dwu żołnierzy uderzyło go drzewcem lanc. Z bólu i wstydu—zemdłał.

Żeby go ocucić, Tifoum Byah \*), naczelnik oddziału, który strzegł niewolników, świsnął mu bitem nad uszami.

— Dumny arabie, podnieś się! Tifoum Byah nie ma zwyczaju powtarzać dwa razy jednego. Wstań, jeśli nie chcesz zapoznać się z tym biczem, którym

---

\*) Zły Tifoum.

twa przekłeta rasa zadaje katusze swoim niewolnikom. Do Utucha jest daleko: niejedno jeszcze zobaczysz, zanim tam dojdziemy. Podnieś się! Nie chcesz? Tu, ukochane dziecię Aminy, syn dostojnego Amira, wydał przeraźliwy krzyk. Bicz uderzył go gwałtownie i zostawił sine pręgi na delikatnem ciele.

Gdy Tifoum uznał karę za dostateczną, kazał go podnieść i podtrzymać, podczas kiedy miał być krępowany. Następnie, pochyliwszy się, żeby mu patrzeć w twarz, powiedział: Pamiętaj moje słowa, dziecię z bladej rasy. Będziesz niewolnikiem Tifouma; będziesz uprawiał jego pola; będziesz dlań nosił wodę i drzewo. Będziesz pielęgnował jego dzieci; będziesz pasł jego trzody. Będę dręczył twe serce. Słyszysz, blada twarzy?

Ciało Selima było zmęczone i omdlewające, ale dusza pozostała silna i dumna. Spojrzenie, rzucone na Tifouma, wyrażało taką wzgardę, że się sam Tifoum zmieszał i mszcząc się, jak przystało tchórzowi i nędznikowi, powalił Selima uderzeniem pięści na zwłoki ojca. Zaniesiono go bezprzytomnego na miejsce, gdzie inni jeńcy cisnęli się jeden na drugiego, jak trzoda spłoszonych owiec.

Noc nadchodziła, a Ferodja nie powrócił jeszcze. Strzały rozlegały się całe popołudnie aż do zachodu słońca. Ferodja wrócił z większą częścią swych ludzi. Obóz trzymał się jeszcze, ale wojownicy Olimali'ego i Ferodji mieli go wziąć zaraz nazajutrz rano, połączonemi siłami.

Tymczasem zostawił Ferodja swych ludzi na



czatach dookoła obozu, żeby obleżeni, korzystając z ciemności, nie umknęli z większą częścią cennych łupów. Straty utatusów były znaczne. Sultán ben-Ali bronił się z bohaterską odwagą.

Uarorisowie ze wsi Kuikuru przygotowali wielką ucztę dla wojowników Ferodji. Zapiłno im było zaspokoić swą żarłoczność, żeby myśleć o niewolnikach. Po biesiadzie zaś, byli zbyt ociężali, żeby się ruszyć z miejsca. Ale gdy Tifoum, o tyle unieżony względem Ferodji, o ile był srogi dla swych podwładnych, wspomniął mu o osobliwych jeńcach, „bardzo białych“, którzy udawali nieżyjących; Ferodja zażądał, żeby ich sprowadził, chcąc się nimi pobawić wraz z Olimalą.

Biedni chłopcy zapomnieli na chwilę o swych cierpieniach, gdyż sen ich ogarnął; ale on obudził ich raptownie, oblewając zimną wodą i zaprowadził przed wodza.

Ferodja wykladał właśnie Olimali'emu, jaką ilość skarbów będą mieli do podziału nazajutrz rano, kiedy wprowadzono młodych niewolników. Iza, który był prawie tak czarny, jak murzyn, uznany został za niegodnego uwagi wodza. Przy dymiącem świetle pochodni, trzech mali arabowie zdawali się jeszcze bledsi, niż zwykle. Ferodja zadrżał, na ich widok; miał on zawrót głowy, bo wypił za dużo *Pombe...*

Ochłonawszy po chwilce z wrażenia, rzekł, wybuchając śmiechem:

— Aa, przypominam sobie, to ci mali arabowie, o których mówiłeś mi, Tifoumie. Wiesz, Omali, to *pombe* jest bardzo mocne — rzekł pocichu do wodza Urori—kręci mi się trochę w głowie.

Przyjrząwszy się uważnie jeńcom, powiedział do siebie; „Jacy to dziwni ludzie ci arabowie... Zupelnie biali! Ich skóra jest tak biała, jak skorupa od jajka; ale dlaczego ten największy jest okryty ranami?

— Tifoumie—odezwał się Ferojja głośno—co to temu dużemu chłopcu? Te rany nie są zadane strzałami.

— Wodzu mój—odparł Tifoum, zginając się aż do ziemi — ten chłopak jest uparty, jak osieł. Gdy mi się przypomniały okrucieństwa ludzi z jego rasy względem naszych czarnych braci, uczułem, że krew wre w mych żyłach; ale kiedy go kazał skrepować, jak innych jeńców, i był zuchwały, kazałem oćwiczyć go biczem.

— No, no Tifoumie! On tylko to zrobił, co by uczynili na jego miejscu nasi młodzi uatutasy. Nie podnoś już ręki na niego, będzie odtąd moim niewolnikiem. Już nawpół nieżywy. — Hej! — zawołał na Selima — napij się, wleje to trochę życia w twe biedne ciało.

Selim potrząsnął głową, uśmiechnął się wzgardliwie i spojrział na opoja z pogardliwą obojętnością.

Wódz przyglądał mu się chwilę w milczeniu, podając wciąż kubek z *pombe*; nareszcie rzekł: Masz słusność, Tifoumie; żaden mały Mtuta nie odwa-

żyłby się odmówić kubka *pombe*, podanego przez wodza, ani patrzeć takimi oczami na swego przyszęłego pana. Ale ja go zwalczę, albo zabiję. Jak Kalulu, synowiec Katalambuli, zrobi wielkie oczy, gdy go zobaczy! Musi on być w tym samym wieku, co Kalulu; ale Kalulu jest większy i silniejszy. Wątpię jednak, żeby się równał odwagą temu dziecku, chociaż jest tak dumny, jak gdyby już był królem natutasów. Kalulu postąpiłby inaczej na jego miejscu. Przedewszystkiem przyjąłby *pombe*, a potem zabiłby mnie przy pierwszej sposobności. O, Kalulu, to prawdziwy Mtuta! Cóżto, jeszcze trzymam kubek! Kiedy ten nie chce pić, to może tamci zechcą? — zapytał Abdullah. — Cóż? Nie? Odmawiacie także? A ty, mały—rzekł do Mussuda.—I ty odmawiasz? Dziwne dzieci! Czy ty mówisz ich językiem, Tifoumie?

— Trochę.

— Zapytaj największego, dlaczego nie chce przyjąć kubka *pombe* z ręki Ferodji, wodza wojowników natutasów.

Tifoum powtórzył jego pytanie Selimowi.

— Powiedz swemu panu—odrzekł Selim—że nie mogę nie przyjąć z jego ręki, dlatego, że mię uważa za niewolnika. Mówiąc te słowa, umyślnie nie podniósł nawet oczu na tego, komu odpowiadał. Powiedz mu—dodał jeszcze—że nie jestem jego niewolnikiem i że nigdy nie będę słuchał jego rozkazów, chyba pod przymusem.

Gdy Tifoum przetłumaczył tę odpowiedź, Ferodja wybuchnął znowu głośnym śmiechem.

— To zarozumialec! Każno mu tańczyć.

— Tańczyć!—wykrzyknął Selim—tańczyć! Kiedy mi serce pęka, kiedy trup mego ojca leży tu oto, wystawiony na wszelkie obelgi, tańczyć pod waszemi wrotami!... Wolalbym umrzeć.

— To każ mu śpiewać!—rzekł znowu Ferodja, zanosząc się ze śmiechu.

— Śpiewać!—rzekł Selim.—O Allahu! jakże długo trwać będą te męczarnie? Nie będę śpiewał.

— Doskonale! to on nie chce nic robić! Jak tylko wygoją mu się twoje znaki, dostanie także chłostę odemnie. Tym razem oczy jego ciskały błyskawice ze złości. Gdzie twój bicz, Tifoumie?—  
Dodał.

— Oto jest, wodzu.

— Podaj mi go!—Podniósł rękę i z całej siły uderzył Selima w plecy; potem zawołał:—Precz!— i kazał rozwiązać pęta Abdallahowi i Mussudowi.

Następnie wydał rozkaz, żeby postawiono przed nim dwu chłopaczków i zażądał, by Abdallah tańczył, a Mussud śpiewał. Obaj odmówili.

Abdallah stał chwilę z głową spuszczoną, odrzuty, tem co słyszał, i nie mogąc tego zrozumieć, że można żądać od niego, syna Mohameda, by tańczył przed mordercą swego ojca. Co się tyczy Mussuda, rzucił on rozszalałe wejrzzenia to na Abdalaha, to na Ferodję.

— Zapytaj go — rzekł Abdallah drżącym gło-

sem—zapytaj Ferodji, czy rozumie dobrze, czego żąda odemnie.

— Dlaczego mam się pytać? Alboż ci nie mówiłem? Chce, żebyś ty tańczył, a ten drugi niewolnik śpiewał.

— Drugi niewolnik! — krzyknął Abdallah, którego głos stał się pewnym w jednej chwili. — Niewolnik! Kłamco! Mojego brata nazywasz niewolnikiem? A ja, czym niewolnik?

— Co on mówi? — zawołał Ferodja grzmiącym głosem.

— Powiada, że nie jest niewolnikiem i nazywa mnie kłamcą. Oni wszyscy uparci są, jak osły. To rasa osłów — odpowiedział Tifoum. Sami mają tysiące niewolników w Zanzibarze, a mimo to, zdają się nie domyślać nawet, że rezultat wojny uczynił ich niewolnikami.

— Powiedz im Tifoumie, że są niewolnikami; że jego brat jest niewolnikiem; że ja ich panem; że muszą szanować moje rozkazy, bo inaczej spotka ich kara! Ferodja to powiada!

Gdy Tifoum powtórzył tę groźbę, Abdallah dumnie wznosił głowę do góry i odparł:

— Jesteśmy arabami, synami arabów z Maskatu. Mój ojciec, Mohamed, był beduinem wolnym, a ja jego syn, Abdallah. Każde dziecko naszej rasy jest wolniejsze, niż wicher na pustyni; my więc nie możemy być niewolnikami. Ferodja skłamał.

— Będę go chłostał do krwi, póki nie przyzna, że jest niewolnikiem—wykrzyknął Ferodja.

— Może mnie zachłostać na śmierć, ale nie zdoła uczynić ze mnie niewolnika. Alboż nie zabił mego ojca? Czy nie znieważył mnie, stawiając przed sobą, obnażonego? Cóż może mi więcej zrobić? Jestto człowiek silny, nazywasz go naczelnikiem waszym, ma batóg w ręku, i powiada, że się nim będzie posługiwał: jam dziecko jeszcze, ale nie może ze mnie zrobić niewolnika. Patrz, zbliżam się, mógłby mię dosięgnąć ręką, obracam się do niego plecami! Nie będę płakał, chociażby mi rozdzierał ciało w kawały.

Szlachetny chłopiec przysunął się do Ferodji i patrzył mu w oczy przez chwilę; potem, zwolna obrócił ku niemu plecy i czekał uderzenia z głową spuszczoną i rękami skrzyżowanemi.

Ferodja chlubił się tem, że jest naczelnikiem i wojownikiem Mtuta, lecz w gruncie było tylko dziki. Nie miał wyobrażenia o tem, co nazywamy wspaniałomyślnością względem zwyciężonych. Mógł dosięgnąć batem istotę słabą i bezbronną; samo nadużycie siły, zadanie bólu, stanowiło pokusę. Jest to popęd człowieka dzikiego, zarówno, jak i dzikiego zwierzęcia. Skoro tylko Tifoum przetłumaczył mu słowa Abdallaha i powiedział, dlaczego chłopiec obraca się ku niemu plecami, podniósł rękę i uderzył gwałtownie.

Widok zadawanych męczarni podniecał go jeszcze bardziej; jednakże zamach jego osłabł; wściekłość ustała. Zanim się zaspokoił, coś nowego wzbudziło w nim niepokój, pomieszanie, a tem *coś* była

wytrwałość stoiczna i milczenie jego ofiary. Gdy przestał bić, młody arab obrócił się i spojrział mu w oczy; a wejrzenie jego było tak pewne, jak przedtem i postawa równie bohaterska. Ze wzgardliwym uśmiechem zapytał zdziwionego dzikusa: Czy teraz jestem bardziej niewolnikiem twoim, aniżeli przedtem?

— Oddal się, szaleńcze, bom gotów jeszcze gorzej dać ci się we znaki. Ty, Tifoumie, zabierz ich i traktuj odtąd jako niewolników. Gdy się puścimy w drogę, każ im dźwigać ładunki. Męcz ich na wszelkie sposoby. Niewolnicy są nato, żeby cierpieć. Alboż moje słowa nic nie znaczą? Czy dzieci przy piersi będą drwiły ze mnie wobec mojego ludu?

Rzekłszy te słowa, Ferodja odrzucił batóg i pocieszył się w doznanej porażce, ogromnym kubkiem wyśmienitego *pombe*. Gdy go wychylił, wszelki ślad złości znikł z jego twarzy.

Pierwsze wiadomości, jakie doszły Ferodję i Olimali'ego, gdy przyszli do siebie po orgji, nie były wcale zadawalające. Sułtan i jego wojownicy, korzystając z cieni nocnych, umknęli z kilku tylko sztukami tkaniny. Nie można było myśleć o dogonieniu zbiegów, tak lekko obciążonych, zwłaszcza, że musieli tak biec, jak się biegnie, ratując życie. Zanimby ich doścignięto, wpadliby do jakiej okolicy kraju, gdzie arabowie mają stronników. Dwaj naczelnicy, uśmierzywszy gniew tysiącami przekleństw, zaczęli rozważać tę sprawę z większym spokojem

i z zimną krwią. Stopniowo przyszli oni do przekonania, że nie mają powodu narzekać, że nawet mogą radować się z takiego obrotu rzeczy, że nic lepszego nie mogliby żądać — i wyszli stamtąd wielce zadowoleni. Mieli zresztą czem obetrzeć łzy. Zwycięstwo przyniosło im przeszło pięćdziesiąt tys. dol: prócz towarów i przeróżnych narzędzi.

Ferodja i Olimali, tak naiwnie objawiali radość z nagłego zbogacenia się, jak dzieci, któreby dostały sutą kolendę. Ci naczelnicy pokolenia, ci dzikusy, zaczęli śmiać się do rozpuku i nadawać sobie nawzajem przyjazne przydomki, jeden śmieszniejszy od drugiego. Gdy zaufani ludzie przenieśli do wsi skarby z obozu, dwu naczelnikom trudno było uwierzyć, że rzeczywiście stali się posiadaczami tylu pięknych i dobrych rzeczy. Dopiero wtenczas przestali wątpić, gdy wetknęli nos w każde pudełko i wymacali wszystkie bogate materje. Palisada o mało nie runęła, takie mnóstwo mężczyzn, kobiet i dzieci przyglądało się temu ciekawemu widowisku. Usiłowali wciskać swe szerokie twarze pomiędzy pale, żeby widzieć zbliska. Uciecha ich była tak wielka, że objawiali ją różnemi he! ha! i wykrzykami, które wyglądały na napady kaszlu.

Łupy podzielili między siebie jaknajskrupulatniej. Ferodja wziął jedną połowę każdego gatunku towarów, Olimali drugą. Gdy Ferodja obliczył to wszystko na pamięć, przypomocy dziesięciu innych ulubionych naczelników, żeby się przekonać, ile czego posiada, umiał to wyrazić tylko w ten



sposób: Mam sto razy sto *doti* i sześćdziesiąt razy sto *doti* tkanin rozmaitych gatunków. My przetłuczmy to, jak następuje: szesnaście tysięcy *doti*, licząc trochę więcej, niż cztery metry na *doti* — co czyni przeszło sześćdziesiąt cztery tys. metrów.

Kazał swym ludziom ustawić się szeregiem. Pozostało mu już tylko dziewięćuset wojowników z tysiąca, których zabrał z sobą. Każdemu z nich dwaj naczelnicy dali sześć *doti* (przeszło 24 metry) rozmaitych materyj. Pozostało dla Ferodji szesnaście tys. sześćset. Dla zaokrąglenia liczby, wziął te sześćset *doti* dla siebie, swoich naczelników i czarodziejów; dziesięć tys. zaś, perły i inne przedmioty zachował dla króla Katalambuli i jego domniemalnego spadkobiercy, księcia Kalulu.

Gdy czarodzieje dokonali już, na cześć zwycięstwa, swych obrządków dzikich, barbarzyńskich, Olimali i Ferodja rozstali się, po czułych uściskach. Przy wielkiej wrzawie rogów i bębnow, wędrowcy poszli rozłożyć się obozem w lesie, przerzynającym drogę południowo-zachodnią.

---

## ROZDZIAŁ V.

Simba i Motto robią przystanek w lesie, nocną porą. — Motto obmyśla plan uratowania Selima. — Simba i Motto zaprowadzeni do Katalambuli, jako niewolnicy. — Kalulu poznaje Motta. — Król żeni Motta i Simbę. — Uroczystość weselna.

---

Simba i Motto umieli tak samo znosić trudy jak uatutasy i mogli ich daleko zaprowadzić, gdyby ci ścigali ich uporczywie. Zresztą ciemności nocne miały niedługo ułatwić im ncieczkę.

Jednakże bardzo długo szli bez przerwy, podnosząc niekiedy oczy ku konstelacji krzyża południowego. Rzuciła ona jaskrawy blask, wskazując im wyraźnie drogę, którą powinni iść odtąd. Był to kierunek południowo-zachodni.

O północy, zatrzymali się w największej gęstwinie lasu, rozniecili dwa ogniska i przygotowali,

sobie dwa posłania z traw, liści i gałązek. Wtedy odetchnęli swobodniej, rysy ich stały się spokojniejsze, oczy straciły gorączkowy połysk.

Poważnym swym i głębokim głosem powiedział Simba nawpół do siebie, nawpół do Motta: Jakiż to smutny dzień dla nas! Nic nie zostało z tej bogatej karawany; wojsko, wodzowie, wszystko wyginęło. O mój Boże! nie dalej, jak wczorajszej nocy, leżąc pod drzwiami ich namiotu, patrzyłem na mego pana i jego przyjaciela, Kamisa, i mówiłem sobie, że nie zdarzyło mi się widzieć dwu mężczyzn piękniejszych i szlachetniejszych. Ach, szejkowie arabscy, naczelnicy zanzibarscy, gdzie wy jesteście? Niestety, zobaczę jeszcze kiedy mego pana?—Motto, jak myślisz, gdzie jest teraz Amir?

— Spi.

— Dałby to Bóg? Co ty przez to rozumiesz, Motto?

— Czyś już zapomniał słowa twego szlachetnego pana? Alboż nie powtarzał nam często, że człowiek nie może umrzeć. Ciało jego może zgnić na ziemi i rozpaść się w proch, ale życie, które tkwi w nim, nie może zgasnąć. Przypominam sobie, że się śmiała cichaczem, kilka pierwszych razy, kiedy nam mówił nasz pan o duszy, o tej rzeczy, której nie można ani zobaczyć, ani się dotknąć, lżejszej od powietrza — słowem, według niego, najważniejszej cząstki człowieka. Słyszając, że wszyscy arabowie i nazareńczycy zanzibarscy powtarzają to samo, musiałem uwierzyć. O, jakże wierzę w du

szę, teraz—kiedy ciało naszego pana leży tu rozciągnięte i kiedy straszna rana znalazła drogę do jego serca. Ach, z jaką czcią będę przechowywał jego słowa! Tak, wierzę mocno, że dusza Amira unosi się nad nami i widzi nas.

— Smutek mię zaślepił—rzekł Simba—teraz przypominam sobie to wszystko. Nie jestże to wielką pociechą mój Motto, że pan nasz nie umarł i że zobaczymy go jeszcze kiedyś.

— Wielka to pociecha. Dla nas zresztą nie może on umrzeć, bo dopóki życia starczy, będziem go nosić w sercach i rozmawiać o nim.

— Ty masz wierną pamięć, Motto. Ale jak myślisz, który jest szczęśliwszy—czy Amir po śmierci, czy Selim w niewoli?

— Wznawiasz mój smutek, przypominając, co to biedne dziecko musi cierpieć. Gdybym nie miał nadziei, że kiedyś będę mu użyteczny, nigdybym go nie odstąpił. Amir jest szczęśliwy w raju, ale syn jego, Selim, będzie bardzo nieszczęśliwy na ziemi.

— I ja to samo myślałem—powiedział Simba.—Dzielny chłopiec! Jakiż on był piękny tego dnia, kiedy zapytał ojca, czy Simba zasłużył na wolność. Jakaż słodycz miał w oczach! Jakże był tkliwy, jak wdzięczny względem mnie! Ach Selimie, władco ciała i duszy Simby, biada tym z pomiędzy dzikich uatatasów, którzyby cię dręczyli!

— Oni nie wyrządzą żadnej krzywdy Selimowi, ani tamtym młodym arabom—rzekł Motto.—Zachowają ich jako osobliwości. Chybaby który z tych

dzikich widział, jak arabowie chwytają niewolników, w takim razie, oby Bóg zmiłował się nad temi biednymi dziećmi!

— Motto—wykrzyknął Simba, zrywając się— czy chcesz, żebym oszalał? Mówże! Nasz Selim, to dziecię tak drogie, tak czule kochane, miałby się stać niewolnikiem? Odpowiedz!

— Tak, niewolnikiem; wszyscy staną się niewolnikami i traktować ich będą jak psy.

— Nie usłuchaliśmy ostatniej woli Amira, kiedyśmy uciekli z obozu uatutasów. On nam polecił czuwać nad Selimem. Ja tam wracam! — I Simba, chcąc się natychmiast udać w drogę, zaczął zbierać z ziemi fuzję i oszczepy swoje.

— Czyś oszalał? Nieby to nie pomogło Selimowi, gdybyśmy wrócili do uatutasów. Dokończmy to, cośmy zaczęli. Musimy pójść do wsi Katalambuli i zobaczyć się z Kalulu. On jeden może nas uratować i Selima wraz z nami.

— Prawda, masz słuszność—rzekł Simba—spijmy teraz, a o świcie wybierzemy się do Kalulu.

Legł pomiędzy dwoma ogniskami, ale długo nie mógł usnąć.

Szli piętnaście dni to gęstym lasem, to otwartym polem, gdy im się zdawało, że, bez niebezpieczeństwa, mogą wstąpić do jakiej wsi, żeby zapytać, gdzie leży wieś Katalambuli.

Szesnastego dnia dotarli do rozległej równiny,

Z ziemi niewolników.

7

Dodatek do Nr. 15 „Wędrowca“.

gęsto zaludnionej i urodzajnej. Pomiędzy wysokimi zbożami i polami, zasianymi prosem, widniały ciemno-brunatne chaty. Około południa, znaleźli się nad brzegiem wielkiej rzeki, którą ludność miejscowa nazywała Liemba. Rzeka ta płynęła w kierunku północno-zachodnim. Powiedziano im, że wieś Katalambuli jest na przeciwnym brzegu.

Jeden z krajowców przewiózł ich pirogą; Simba, nie mając nic innego, podarował mu za to dwie strzały. Płynęli kilka minut prawym brzegiem rzeki, poprzez przepyszne pola ze zbożem, poczem ukazała im się wieś.

Wieś ta była tak mocno obwarowana, jak wieś Olimali'ego; chaty królewskie o płaskim dachu zwane *tembe*, opasywały obszerny plac, na którym chowało się bydło królewskie, kozy i dwa czy trzy osły. Prawdę mówiąc, zwierzęta te były hodowane raczej ze względu na ich osobliwość, aniżeli dla użytku. Tam-to mieszkał Katalambula. Nie miał on syna.

Gdy Simba i Motto doszli do drzwi, niebawem otoczyła ich ciekawa gawiedź. Olbrzymi wzrost i szerokie bary Simby—zwracały największą uwagę.

— Pozdrawiamy was! — powiedział Simba do zgromadzonych.

— I my was pozdrawiamy, przybysze. Skąd przychodzicie?

— Myśmy wędrowcy—rzekł Motto—słyszeliśmy o królu Katalambuli i zapragnęliśmy zobaczyć króla uatutasów.

— Wasze słowa są dobre, przybysze. Czyście wy uarorisowie?

Pytanie to zadał im tylko co przybyły naczelnik.—Nie jesteście tak ubrani jak uarorisowie i nie macie utatuowanych czół i policzków.

— Jam Mrori—odpowiedział Motto—ale mój towarzysz jest obcym; przybywa z dalekiej ziemi.

Naczelnik spojrział na nich podejrzliwie i rzekł: Więc to uarorisowie mają teraz fuzje? Skąd wzięliście tak piękne ubiory?

— Udało nam się szczęśliwie polowanie; zabiliśmy słonia i sprzedawszy kły, kupiliśmy tkaniny i dwie fuzje.

— Gdzież spotkaliście słonie?

— Na granicy, w pobliżu Urori.

— A z arabami gdzieście się spotkali?

— W Ututa, o dwa dni drogi od Urori.

— Czy pytaliście się, dokąd idą.

— Szli do Uwemba.

— Możecie nam powiedzieć, skąd przybywali?

— Z Ubena.

— Cudzoziemcy — rzekł naczelnik — jesteście kłamcami. Arabowie nie byli w tej okolicy od bardzo dawna. Jesteście naszymi niewolnikami i pójdziecie z nami do króla.

Na dany przezeń znak, rozbrojono ich.

Po chwili, znaleźli się na wewnętrznym placu. Był tam stary sykomor, a dokoła niego rodzaj tarasu z suchego błota, niby okrągła sofa. Taras ten był pokryty skórami kozłat i kóz, na których sie-

dział starzec siwowłosy. Z uszanowania, jakie mu wszyscy okazywali, jeńcy poznali, że jestto król.

Król miał na głowie zaslonę z tkaniny śnieżnej białości i przyodziany był w obszerną suknię karmazynową, zrobioną z kołdry. Piękny ten starzec zdawał się bawić tem, co mu opowiadał duży, może szesnastoletni chłopak. Gdy orszak Simby i Motta wszedł na podwórze, starzec podniósł ciekawie oczy i zapytał, czy zaszło co nowego.

— Sułtanie, panie mój — rzekł ów naczelnik, który przytrzymał dwu jeńców — oto dwaj ludzie, którzy budzą we mnie podejrzenie. Na wszystkie zapytania moje odpowiedzieli kłamstwami. Dlatego przyprowadziliśmy ich do ciebie, królu.

— Cudzoziemcy, powiedzcie prawdę. Kto jesteście? Skąd przybywacie?

Zaraz w pierwszej chwili bystre oko Motta padło na onego chłopca; zdawało mu się, że to jest ten, kogo szuka; ten, który mu niegdyś poprzysiągł przyjaźń.

— Wielki królu — powiedział — wyznaję, że kłamałem, ale tobie powiem prawdę. Jestem Mrori, schwytany zamłodu przez arabów zanzibarskich. Po upływie wielu lat, kiedym już był dojrzałym mężczyzną, towarzyszyłem do Unjanjembe naczelnikowi arabskiemu, imieniem Kizeza. Zaledwieśmy tam przybyli, wytoczyliśmy wojnę uarorisom i...

— Kizeza! — wykrzyknął chłopiec i zapalczywie, jak młode lwiatko, przyskoczył do Motta. — Wojna przeciw uarorisom! dodał z błyskawicą gniewu w oku.



— Tak, młody naczelniku—pokornie odpowiedział Motto—i towarzyszyłem Kizezie w tej wojnie. Po długim pochodzie przybyliśmy do wsi, która przylega do Ututa i rządzona jest przez...

— Przez kogo? Powiedz mi jego imię. Prędko, prędko!

— Mostana—odrzekł Motto.

— Mostana! — wykrzyknął chłopak, a imię to wszyscy obecni powtórzyli.

— Tak, Mostana; takie miał imię — rzekł znowu Motto, nie zważając na groźne spojrzenia i szemranie gniewne. Wieś wzięto w jednej chwili, pomimo waleczności Mostany. Aleśmy pomścili wielkie straty w ludziach: prawie wszyscy wojownicy Mostany legli, innych zaś, arabowie, zwyczajem swoim, wzięli do niewoli.

— Prawda—rzekł król—to jest zwyczajem tych okrutnych ludzi, gdy wiodą wojnę; ale ja...

— Czy wszystkich ujęto? — zapytał chłopiec z ciekawością.

— Prócz jednego.

— Jak on się nazywa?

— Kalulu — odpowiedział Motto, podniesionym nieco głosem.

Znowu powstał szmer; tym razem spowodowało go zadziwienie. Motto, udając, że tego nie uważa, mówił dalej:

— Tak, Kalulu, syn Mostany, trzymał się boku swego ojca. Skoro tylko spostrzegł go Kizeza, obiecał pięćdziesiąt sztuk materji temu, co go ujmie

żywcem. Gdym to usłyszał, litość opanowała me serce. Pamiętajcie, że ja Mrori. Kochałem bardzo arabów, ale nie mógł zabijać ludzi mojej krwi na ich skinienie. Przykro mi było patrzeć na to, że tak dzielnego chłopca, jak syn Mostany, gotów Kizeza wziąć w niewolę. Dlatego, za pierwszym słowem Kizezy schwyciłem tarczę, poskoczyłem do chłopca i szepnąłem mu, żeby poszedł za mną. Zapewne mniemał, że się po to zbliżam, żeby go zabić; cisnął więc we mnie oszczep, który przeszył mi tarczę i rękę.

Opis tego czynu rycerskiego przyjęto okrzykami uwielbienia. Młodzieniec przystąpił do Motty z tkliwym spojrzeniem, ale Motto udawał, że tego nie widzi.

Opowiedział on szczegółowo, jako Kalulu uciekł, jako się połączył z nim w lesie, jako on—Motto—przywrócił mu wolność! W końcu dodał, że młody książę oznajmił mu, iż się uda do swego stryja, wielkiego króla Ututa i że jeśli się kiedy spotkamy, to będzie on moim przyjacielem.

— To ja jestem Kalulu — wykrzyknął młody książę, rzucając się na szyję Motty.—Nie poznajesz mnie? Jam Kalulu, a tyś przyjaciel mój, Motto! Dotrzymam obietnicy i król podziękuje ci.

Pociągnął Motta do króla.

Usłyszawszy te słowa, naczelnicy i starszyzna zaczęli klaskać w ręce i oddawali pokłony Mottowi. Król wziął go za prawą rękę i rzekł:

— Kalulu opowiadał mi to wszystko. Nie spo-

dziewałem się zobaczyć kiedykolwiek człowieka, który był tak dobry dla niego; alem sobie przyrzekł, że będę dla niego przyjacielem, jeśli ktoś z moich spotka go kiedy i przyprowadzi do mnie. Powiedziałem sobie, że mu oddam jedną z moich córek za żonę i spełnię każde jego życzenie, bo Kalulu jest mi tak drogi, jak rodzony syn. Mów, Motto — powiedz, co mogę uczynić dla ciebie.

Motto, któremu podano krzesło na znak uszanowania, opowiedział napad arabów na Kuikuru wdanie się Ferodji i porażkę napastników. Na wieść o powodzeniu Ferodji, obecni zaczęli wydawać okrzyki radości. Gdy Motto mógł nakoniec dać się usłyszeć, mówił dalej:

— O Kalulu, jeśli to, com uczynił dla ciebie, warte jest nagrody, jeśli szczerze obiecywałeś być moim przyjacielem, to przemów za mną do wielkiego króla natutasów. Niechaj zwróci wolność mojemu młodemu panu, Selimowi, i trzem innym młodzieniaszkom. Niechaj im pozwoli wrócić do ojczyzny, do tych, co ich oplakują.

— Kalulu dał ci już słowo, Motto. On jest przyjacielem twoich przyjaciół i wrogiem twoich wrogów. Król słyszy moje słowa, on ci wyświadczy tę łaskę przez pamięć na to, coś uczynił dla mnie. Mów, wielki królu—rzekł Kalulu, zbliżając się doń o jeden krok.

— Ach, Kalulu—odpowiedział król—nie wiesz, czego się domagasz; ale uczynię wszystko, co będzie w mej mocy. Mogę się wstawić do Ferodji za nimi

ale rozkazać mu nie mam prawa. Ci młodzi arabowie są niewolnikami Ferodji, nie moimi. Lecz jeśli zechce zrobić zamianę, to dam mu dwie niewolnice za każdego z tych chłopców. Będziesz zadowolony ze mnie, Kalulu?

— Odpowiem ci na to, jak on powróci. W każdym razie, zdaje mi się, że pozwalasz Ferodji wywierać zbyt wielki wpływ. On mię nie lubi, bo zazdrości mi twych względów. Gdybym był królem uatutasów, dałbym mu dobrą naukę.

— Sza... dziecię! Nie bądź tak porywczy w słowach. Ferodja jest prawowitym naczelnikiem wielkich przestrzeni kraju. Czy chciałbyś, żebym go pozbawił tego, co zdobył dzidą swą i łukiem?

— Nie on sam, dzidą i mieczem pobił arabów. Na tysiąc wojowników, których ma z sobą, ośmiuset należy do ciebie, pochodzi z twego kraju. Czy pozwolisz mu wybrać przypadającą mu część łupu? Powinieneś raczej sam postanowić, co jemu przypadnie, a co ci się spodoba, sobie zostawić.

— Dziecię, dziecię—Ferodja jest wodzem wojennym uatutasów. W żadnej jeszcze bitwie nie został pobity. Dostarczyłem mu ludzi, to prawda; zawsze jednak jemu zawdzięczam większą część korzyści. Jak ty śmiesz, dzieciaku, mówić w podobny sposób o Ferodji? Bądź cierpliwy i jak powróci, poproszę go o tych dwu niewolników dla ciebie. Ale gdyby nie obowiązki wdzięczności względem tego człowieka, radziłbym mu raczej spalić ich żywcem. Idźże teraz, zajmij się tymi przybyszami; poczęstuj

ich, a gdy się nasycą i wypoczną, daj każdemu z nich dom. Moja córka, Lamoli, wyjdzie za Motta, a ten duży ożeni się z jedną z moich niewolnic.

Ton mowy króla stawał się coraz posępniejszy, gdyż był on już stary i prędko się męczył. Kalulu, nie chcąc nadużyć jego cierpliwości, skinął na Simbę i Motta, odszedł z nimi, a naczelnicy mieli odprowadzić króla do jego *tembe*.

Gdy Kalulu przyszedł z gośćmi do swojej siedziby, uściskał ponownie Motta, i obiecał dołożyć wszelkich starań, żeby uzyskać wolność dla młodych arabów. Szczęście-to dla nich, żeś moim przyjacielem, bo gdyby nie to, wątpię, żebym mógł kiedykolwiek wybaczyć arabom śmierć mego ojca. Król także nie wybaczyłby, gdyż uważał Mostanę za brata swego. Ci, z naszego pokolenia, którzy chodzili w dalekie strony polować na słonie i zabijać je, zawsze za powrotem opowiadali nowe rzeczy o okrucieństwie arabów. Jeżeli Ferođa będzie się upierał przy tem, żeby ich zatrzymać w niewoli, to stryj mój gotów także im uledez. Gdyby nie ty, ich cierpienia sprawiałyby mu przyjemność i mnie także.

— O Kalulu— odezwał się znowu Motto— ty nie znasz Selima. On nigdy nie obszedł się źle z człowiekiem, tak samo, jak jego ojciec. Simba i ja chlubiłiśmy się tem, żeśmy jego niewolnikami; z dumą nazywaliśmy Selima naszym młodym panem. Selim jest w twoim wieku. Tyś wyższy od niego i chudszy, aniżeli on był. Biedny chłopiec, jakież on

przybędzie tu wynędzniały! Ale jakżeś ty urósł, Kalulu!... nie możesz mieć więcej, jak szesnaście lat...

— Nie wiem, ile mam lat—odparł młodzieniec ze śmiechem.—Byłem mały, kiedym cię widział, bo inaczej nie złapałbyś mię. Ale muszę spełnić rozkaz królewski...

Wybiegł z chaty.

Kalulu miał tak silne i piękne kształty, jakie starożytni rzeźbiarze nadawali Apollinowi. W tych pokoleniach Afryki środkowej napotyka się najpiękniejsze i najczystsze typy kształtów ludzkich. Kalulu przewyższał wszystkich innych urodą; najlepiej też ciskał groty, napinał łuki, celował i strzelał na znaczną odległość.

Jedna tylko twarz zostawiła wiele do życzenia: było negr, który nie miał tak ciemnej skóry jak inni, lecz tylko brunatną. Wargi jego były grube, ale nie potworne; nos nie był płaski wprawdzie, ale trudnoby go porównać z greckim lub nawet z rzymskim, gdyż nie był prawidłowy. Oprócz tych dwu rysów, piękność Kalulu była bez zarzutu. Uszu nie zeszpecono mu i za całą ozdobę miał w nich perły z Sungomazzi \*). Włosy—choć wlniste, spadały mu na ramiona, podzielone na ładne warkocze, ozdobione perełkami czerwonymi, żółtymi i białymi. Na czole miał trzy białe pióra strusie, osadzone w djademie, który zarazem podtrzymywał

---

\*) Te perły, wielkości jaja gołębiego, są z porcelan malowanej, lub ze szkła kolorowego.

pióra i włosy. Miał też naszyjnik spleciony, obrączki z kości słoniowej w górze ramion, bransoletki z kości słoniowej, a na kostkach u nóg szerokie obręcze z pereł.

Gdy Kalulu powrócił, trzymał za rękę kuzynkę swoją, Lamoli, przeznaczoną na żonę Motty. Nastąpiło przedstawienie wzajemne bez zwłoki i żadnych ceremonij. Kuzynka Lamoli podobała się Motto'wi. Nie odznaczała się wprawdzie pięknnością, ale nie była ani brzydka ani stara i miała wszystkie zęby. Zresztą Motto nie był wybrednym. Zdawało mu się też wielkim zaszczytem, pojąć za żonę córkę królewską. Prawił przytem komplementa, których Lamoli słuchała, otwierając szeroko usta do uśmiechu.

Kalulu zapytał następnie Simbę, jakiego rodzaju kobiety lubi.

— Wybierz za mnie—odpowiedział olbrzym.

Młody książę pobiegł gdzieś ze śmiechem i w kilka minut wrócił z oblubienicą, dokoła której w Europie, a nawet i w Nowym-Jorku, zbiegaliby się ludzie i którą nazwaliby zaraz „olbrzymką afrykańską“.

Zobaczywszy ich razem, chłopak nie mógł poskromić swej radości: śmiał się, tańczył, klaskał w ręce i ułożył doraźnie epitalanium, które można przetłumaczyć wyrażeniem: „*dobrali się, jak w korcu maku*“. Olbrzymi przyjmowali jego osobliwe komplementa z należytą wdzięcznością.

Kalulu nie oszczędzał swej kuzynki, Lamoli,

tak samo, jak przedtem nie oszczędzał olbrzymki afrykańskiej. Hymn przezeń śpiewany dawał do zrozumienia, że ta młoda osoba myślała, iż umrze starą panną, więc Motto dobrze zrobił, iż przyszedł prosić ją o rękę. Radził jej przy tej radosnej okoliczności uśmiechnąć się „od ucha do ucha”. Do-  
mniemalny spadkobierca Katalambuli miał, jak widzimy, duży zasób werwy satyrycznej, co było ważnym przedmiotem do rozmyślań dla jego przyszłych dworaków.

Dla uzupełnienia uroczystości, przyszło ośm doboszów, dwu skoczków a raczej kuglarzy i pięćdziesiąt młodych par, które utworzyły koło. Skoro Kalulu skończył improwizować, czarodziej (także kuglarz) zaintonował śpiew weselny. Śpiewając, wykonywał zarazem szalony taniec. Małe bębny towarzyszyły solom, duże zaś, niby huk piorunów—chórom. Czarodziej także mówił o obawie Lamoli, że nie znajdzie męża; o jej radości, gdy się Motto pojawił; o usłudze, oddanej przez dzielnego Mrori synowcowi króla; o wspaniałej nagrodzie, jaką otrzymał tego dnia i o niezamąconem szczęściu, czekającym tę parę, tak dobraną. Simba, osobistość podrzędna w tej chwili, musiał się obejść bez epitalanium oficjalnego, ale jemu także przypadła część wrzawy i to spora, gdyż było jej dosyć dla dwu.

Śpiewy i tańce trwały cały dzień i całą noc, aż do wschodu słońca. Ta jedna tylko zmiana zaszła, że zamiast setki śpiewaków, było ich w końcu tysiąc. Kalulu aż ochrypl z krzyku.

---



## ROZDZIAŁ VI.

Cierpienia Selima, Abdallaha i Mussuda. — Śmierć Izy. — Ucieczka Selima. — Selim zabija lwa, a potem antylopę. — Selimowi grozi śmierć z głodu i pragnienia.

Karawana Ferodji była prawie cały miesiąc w powrotnej drodze do kraju natutasów. Prowadziła ona czterech niewolników arabskich, z których trzech było białych i około trzechset niewolników czarnych, ujętych w bitwie pod Kuikuru. Skoro tylko rozeszłyby się wieść, że jest tak znaczna ilość niewolników, z pewnością pojawiliby się handlujący niewolnikami z Unjanjembe i Kilua. Kto wie nawet, czy nie przybyliby z Tette nad Zambezem, jeżeliby Ferodja miał jeszcze cierpliwość czekać. Byłoby więc w jego interesie posuwać się naprzód powoli, żeby ta wiadomość rozpowszechniła się; zre-

szta, w ten sposób, dałby też czas wyleczyć się z ran swym ludziom.

Dlatego dniówki, zaczęte o szóstej rano, ciągnęły się tylko do dwunastej. Taborcy przebywali teraz kraj zaludniony i bogaty, w którym wszyscy naczelnicy byli przyjaciółmi Ferodji i jego ludzi. Ale gdy dotarli do terytorjum, oddzielającego Urori od Ututa, krainy lasów i drapieżnych zwierząt, pozostawały jeszcze trzy długie pochody, czyli dziewięćdziesiąt mil.

Selim zarówno jak jego towarzysze prócz tego, że go przygnębiał upał, musiał dźwigać ciężkie ładunki, które mu raniły barki. Przez trzy pierwsze dni zostawiono go całkiem nago, gdyż przedewszystkiem zostali oni ogołoceni ze wspaniałych strojów. Zwycięscem nie brakowało wprawdzie materij, ale zdawało im się, że ich mają zamało, żeby je trwonić i rozdawać niewolnikom. Bo i któż są w gruncie rzeczy niewolnicy? To bydło. Ludzie zbyt często mniemają, że oni mogą żyć, jak bydło i traktują ich odpowiednio. Ci trzechset niewolników byli więc okuci; należy tu objaśnić, że mnóstwo kajdan znaleziono u arabów. Każdy dorosły niewolnik miał obręcz żelazną na szyi. Co się tyczy dzieci—Selima, Abdallaba, Mussuda, Izy, tego małego figlarza Niani'ego i innych murzynków, byli oni przewiązani powrozem w pasie, o sześć stóp jeden od drugiego, najwięksi na czele. Dorosli niewolnicy byli podzieleni na piętnaście gromad, po dwudziestu ludzi. Każda gromada zostawała pod nadzorem podnachel-

nika albo człowieka zaufanego. Dzieci tworzyły osobną gromadę pod wodzą Tifouma Byaha.

Gdy który z tych ludzi potrzebował sobie umyć twarz, cała gromada, wraz ze swym nadzorcą zbaczała z drogi dla jego dogodności. Jeśli z jakiejbądź przyczyny, jeden z jeńców był zmuszony zatrzymać się, to wszyscy inni musieli zatrzymać się także i ten biedak znosił od nich różne udręczenia, dopóki się nie przyłączyli znowu do karawany. W każdej gromadzie chłopców, zawsze znajduje się jeden, który co chwila czegoś potrzebuje. Jest on przyczyną do udręczeń dla swych towarzyszy. Nadzorca niecierpliwi się, gdy się to ciągle powtarza, a jego rozdrażnienie daje się niebawem czuć całemu gronu.

W drużynie chłopców Iza wciąż chciał się zatrzymywać. Wszystkie inne dzieci musiały pokutować za to, zwłaszcza też Selim, gdyż Iza szedł na czele jego szeregu.

Kilka razy Tifoum zbił Selima; nie zadawał sobie bowiem trudu dochodzić kto jest przyczyną ciągłych przystanków, które go rozjątrzały. Dwa czy trzy razy Niani chciał mu powiedzieć, że się myli. Nakoniec, pewnego dnia, kiedy Selim doznał jeszcze okrutniejszego obejścia, niż zazwyczaj, Niani powiedział Tifoumowi, że się dopuścił pomyłki, gdyż to Iza był winien. Tifoum naprawił zaraz swój błąd na plecach Izy. Gdy Selim odbierał razy, Iza nigdy nie okazywał mu wielkiego współczucia, ale kiedy

sam został ukarany, długo krzyczał, jęczał i groził nawet Niani'emu zemstą, za to, że go wydał.

Piątego dnia, wieczorem, po przybyciu do obozowiska, Niani, który umiał zarówno kochać, jak i nienawidzić, powiedział głośno do Selima, przy pierwszej sposobności, że uszczęśliwiłby go, gdyby przyjął jego ubranie. Selim odmówił, oświadczając, że go nie chce odbierać towarzyszowi.

— O panie nasz, Selimie — rzekł Niani — jam tylko biedny murzynek, na mnie nikt nie będzie zwracał uwagi. Dawno już przyszła mi ta myśl do głowy, ale nie śmiałem dotąd prosić, żebyś przyjął moją odzież, bo jest brudna.

— Lepiej mieć brudną, niż chodzić nago, przyjmuję ją z wdzięcznością, kiedy mówisz, że ci nie potrzebna. Nie chciałbyś choć cząstki zatrzymać dla siebie?

— Ani kawałka! — odrzekł Niani stanowczo. — Ja nie potrzebuję, nigdy nie potrzebowałem odzieży. Zresztą ten ubiór od ciebie, panie nasz, dostałem onego wieczoru, kiedym obalił Izę i kiedy chciał mię za to wrzucić w ogień.

Właśnie kiedy Selim miał sobie obwinać ciało tym zużytym perkalem, spostrzegł, że jego przyjaciele — Abdallah i Mussud, spoglądają nań zazdrośnym okiem. Ponieważ mieli skórę tak białą, jak on, nagość ich uderzała bardziej w kraju, gdzie wszyscy są czarni. Nie mówiąc ani słowa, zmierzył perkal okiem, podzielił go w jednej chwili na trzy równe części i podarłszy bez najlżejszego wahania,

dał jeden kawał Abdallahowi, drugi Mussudowi, trzeci zaś dla siebie zachował. Obaj chłopcy podnieśli się, zarumienieni z radości i Abdallah rzekł do Selima:

— Serce twoje jest słodkie i szlachetne. Ten kawałek perkalu nie ma sześciu stóp szerokości, ale go przyjmuję z większą wdzięcznością, aniżeli wszystkie ubiory, haftowane złotem, które otrzymałem od mego ojca, Mohameda—oby go Bóg miał w swej opiece! Serce tak czyste, jak twoje, może być pewne, że Allah ześle mu nagrodę.

— Mógłbyś i mnie dać kawałek—powiedział Iza żalonym głosem.

— Jak możesz to mówić, panie nasz, Izo! — rzekł Niani. Skóra twoja tak czarna, jak moja; wierzaj mi. Moznaby myśleć, żeś ubrany.

— Upamiętaj się, Niani, bo ci roztrzaskam kości!—zawołał Iza ze złością.

— Lepiej nie roztrzaskuj mi nic, Izo; jestem niewolnikiem Ferodji, więc jeśli mię zabijesz, to z kolei Ferodja zabije ciebie.

— Dobrze, dobrze—nie dręcz mnie. Już mi obrzydło życie; jestem chory na duszy i ciele.

— Bardzo cierpisz, Izo?—zapytał Selim.

— O bardzo. Głowa mię tak boli, jak gdyby miała pęknąć i w krzyżu mam straszne cierpienia. To nie jest skutek plag tego dzikiego psa, Tifonma, to coś innego. Zdaje mi się, żeś zapadł na jaką ważną chorobę. Tu biedny Iza, który w samej rze-

czy okrutnie cierpiał, począł jęczeć.—Ja nie dojdę do kraju tych przeklętych uatutasów, zanadto jestem chory—rzekł.

Iza miał ospę. Nazajutrz rano nie mógł już chodzić. Gdy się położył, żeby nie wstać więcej, Tifoum był tak nieludzki, że zmuszał go batogiem do chodzenia. Selim nie mógł ścierpieć takiego okrucieństwa. Uniesiony szlachetnem oburzeniem, zapomniał, z kim ma do czynienia, cisnął swój ładunek na głowę Tifoumowi, a potem, korzystając z tego, że nagła napaść pozbawiła go przytomności, wyrwał mu z rąk batóg i zaczął go bić z całych sił. Tifoum, ochłonawszy z zadziwienia, rzucił się nań, powalił go na ziemię i bił go, bił, póki nie zdjął go strach, czy nie zabatożył dziecka na śmierć.

Przeciąwszy sznur, którym Selim był przywiązany do towarzyszków, kazał przynieść wody i oblał mu głowę, żeby go ocucić z omdlenia. Wtedy Tifoum dowiedział, że umiał skorzystać z codziennych przykładów srogości handlarzy niewolnikami. Trzęsąc się ze złości, kazał sobie podać taki naszyjnik drewniany o dwu widłach, trochę oddalonych od siebie, jakiego handlarze ludźmi zwykli używać na krnąbrnych niewolników. Gdy drzewo jeszcze zielone, naszyjnik może ważyć trzydzieści funtów, a gdy suche—dwadzieścia. Obręcz, przyniesiona Tifoumowi, była z drzewa jeszcze zielonego.

Szyję biednego Selima, odzyskującego dopiero przytomność, wzięto pomiędzy widły, których końce zostały przymocowane za pomocą sznura. Rę-

kojęść wideł, długa na dziesięć stóp, gruba i ciężka, wisiała z tyłu. Ażebym żaden strażnik nie potrzebował nosić tej rękojęści, Tifoum położył koniec jego na ramieniu Abdallaha i przywiązał go postronkiem. Rzuciwszy wzgardliwe spojrzenie na ciało Izy, dał potem znak Selimowi, żeby szedł za nim. Był on odtąd na czele szeregu. W kilka sekund karawana znikła już z oczu; a Iza wydał ostatnie tchnienie, niemając przy sobie nikogo, coby go pocieszył przyjaznym słowem, coby go oplakiwał i oddał mu ostatnią przysługę.

Iluż innych niewolników, chorych i opuszczonych tak samo, jak on, umarło w ciągu tej przeprawy na drodze, bez ratunku i pociechy!

Dwudziestego dnia, mały Mussud zachorował z kolei. Zatrwożyło to jego brata Abdallaha i przyjaciela Selima. Prosilili, żeby im pozwolono dźwigać za niego ładunek, przywiązawszy do rękojęści naszyjnika, ale Tifoum odmówił nielitościwie i dostrzegłszy w oczach Selima przeblęsk oburzenia, zaczął go okładać batogiem.

Chłopiec nie odezwał się, nie jęknął ani razu stał się prawie nieczuły na męki cielesne; ale serce jego oburzało się i krwawiło.

Pewnego dnia, kiedy słońce paliło i taka cisza panowała, że ją przerywał tylko głuchy odgłos marszerujących, albo jęk biednego Mussuda, (Tifoum poszedł wyrzucić swój zły humor na pozostałych w tyle); w głowie Selima zrodziła się nagle myśl, że dlatego jest surowiej karcony od innych, iż się nie

stosuje do nauk religijnych, jakie niegdyś odbierał; odkąd był w niewoli bowiem, zapomniał o Bogu swych ojców, których Amir tak uroczyście polecił mu przechowywać w pamięci. Sumienie uspakajało go jednak, bo sercem nie zobojętniał względem Boga, tylko nie śmiał zbliżyć się do Niego modlitwą, dopóki nie dopełni ablucyj. Postanowił przy pierwszej sposobności uczynić to przygotowanie do modlitwy.

Mussud błagał kilka razy Tifouma, żeby zezwolił na przystanek, lecz ten udawał, że nie słyszy. Nakoniec zgodził się nań, raczej dlatego, żeby zapalić fajkę, aniżeli przez wzgląd na chorego chłopca.

Zaledwie Tifoum odwrócił się, Selim wziął w ręce pyłu, co pokrywał drogę, potarł nim nogi, ręce, lica i kadrub, jak gdyby się mył wodą. Następnie, zwróciwszy twarz w stronę Mekki, począł się modlić.

Gdy przesłał Bogu gorącą modlitwę, gdy polecił się Jego dobrotliwości i miłosierdziu, padł na kolana, a powstawszy z klęczek, nie czuł już znużenia i duszę miał pokrzepioną.

Rzekł wtedy do Allaha:

— Mój przyjacielu, czuję się orzeźwionym i wzmocnionym, i przyszła mi dobra myśl do głowy.

— Widziałem, żeś się modlił—odrzekł Allah— i ja także pragnąłem się modlić, ale mam serce, gorącą przepelnione. Jestem raczej skłonny przekląć



wszystkich i siebie, a potem umrzeć. Biedny Mus-sud... jego dni są policzone... lękam się bardzo... Jeśli umrze, będzie mi to zupełnie obojętne, co się ze mną stanie.

— Ależ mój przyjacielu, koran powiada: Gdy cię trwoga ogarnia, módl się do swego Boga, a On cię wysłucha. Ucho Jego otwarte jest dla modlitw uciśnionych.

— Wiem o tem; ale nie jestem w stanie modlić się teraz; czuję z przerażeniem, żem gotów przeklinać Boga, który pozwala tak obchodzić się z Jego wiernymi, jak się z nami obchodzą. Nie mogę znieść tej myśli, że mój brat zostanie porzucony na drodze, żeby umarł sam jeden; bo jeśli nie będzie mógł iść, to mnie nie pozwolą zostać z nim. Ale jakaż to dobra myśl przyszła ci do głowy?

— Postanowiłem uciec dzisiejszej nocy i zapuścić się w głąb lasu. Wolę umrzeć w lasach, aniżeli wieść tak nędzne życie. Uciekniesz ze mną?

— A mój brat?

— Weźmiemy go z sobą. Gdy będziemy sami, zdala od naszych wrogów, otoczmy go opieką. Postawimy sobie piękną chatkę, nad ładnym strumykiem; będziemy tam spokojni i bezpieczni. Podczas kiedy będziesz pielęgnował brata, ja pójdę z dzidą do lasu po dzikie owoce i miód. Sza!... Tifoum nadchodzi. Podnieś brata i staraj się, żeby wytrzymał jako tako do wieczora.

Dano straszny sygnał do wyruszenia w pochód.

Każdy z chłopców, zarzucił jak mógł najlepiej ładunek swój na plecy.

Wypoczynek ten przyniósł ulgę Mussudowi.

Karawana wyruszyła.

Okolo południa wędrowcy stanęli w miejscu, gdzie miał nastąpić przystanek. Uatutasy, wiedząc, że im nie grozi żaden nieprzyjaciel w tym punkcie, nie otoczyli obozowiska palisadą.

Powiązane z sobą dzieci, były nierozdzielne. Abdallah znajdował się obok Selima—podczas kiedy spożywali pieczoną kukurydzę, albo dziki jęczmień, nawpół rozgotowany. Zazwyczaj, Mussud trzymał się także boku Selima; ale uatutasy, którzy bali się ospy, wygnali go za obręb obozu.

Noc zastała jeszcze Selima i Abdallaha obok siebie. W obozie, wojownicy, siedząc wkoło ognisk, rozprawiali o rozmaitych rzeczach. Poza obozem panowała noc, głęboka noc, której ciszę przerywały tylko niespokojne wycia hyjen.

— Cóż, Abdallahu—rzekł Selim, gdy się ściemniło—czas już, żebyś co postanowił.

— Drogi Selimie, nie mogę się na to zdecydować, żeby tu zostawić brata. Biedny Mussud nie dożyje ranka. Tak był chory dziś wieczór, że jestem pełen obawy; głowa mu pałała i zdawał się nie poznawać mnie. Jeśli ty uciekniesz, to zostanę sam jeden. Iza nie żyje, Mussud umiera, ty odchodzisz, tak—ja sam pozostanę.

— Chociaż nie chcesz pójść ze mną, ja pójdę,

Abdallahu; jestem zmęczony tem życiem i pragnę umrzeć. Nie, śmierć nie przestrasza mnie. Nikt nie powie, że Selim, syn Amira, skończył życie jak osieł na drodze, pod razami Tifouma, jak ten biedny Iza. Jeśli mam umrzeć, niechaj przynajmniej umrę, jak arab; niechaj tylko mój Bóg widzi konanie moje i lituje się nad mojami mękami. Poproszę cię o jedną łaskę, Abdallahu; jeśli Mussud dożyje jutra, powiedz mu, że Selim uciekł i uściskaj go odemnie. I my także uściskajmy się, bo gdy się obudzisz jutro, Selim będzie już daleko. Powrozy u obręczy, którą noszę na szyi, obłuźniły się bardzo, więc w jednej chwili będę wolny.

— Dziękuję ci, mój Selimie, żeś pomyślał o moim bracie w takiej chwili. Życzę ci spokoju i błogosławieństwa Boskiego. Jeśli przeżyję trudy tej przeprawy, będę często myślał o tobie i modląc się, nieraz szeptać będę imię twoje. Gdy będziesz sam jeden, w drodze do swej ojczyzny, spoglądaj na tę gromadę siedmiu gwiazd i mów sobie: „Adallah myśli o mnie“. Niechaj cię Bóg prowadzi; skoro się znajdziesz pomiędzy swymi, ponieś mojej matce zapewnienie miłości jej dziecięcia. Zanim usnę, żeby nabrać sił do jutrzejszych trudów, uściskam cię, jako najdroższego przyjaciela. Wierzaj mi, że mam pewność, iż cię Bóg ocali.

Legli obaj—Abdallah, żeby się pokrzepić snem, a Selim, żeby rozmyślać o swem przedsięwzięciu. Naraz przypomniał sobie ostatnie słowa Simby i Motta i zadziwiło go to, że nie stanęły mu prę-

dziej na pamięci, gdyż znosiłby cierpliwiej i mężniej cierpienia.—Niema jednak nic straconego; mając takich przyjaciół, nie jestem samotnym na świecie, pomyślał, i ułożył plan następujący: wprost z obozu miał podążyć na południe, przesiedzieć jeden dzień w lasach, potem zbliżyć się do jakiej wsi uatutasów i czekać tam, dopóki mu kto nie wskaże siedziby Katalambuli. Na chwilę opanowała go straszna myśl zabicia Tifouma jego własną dzidą; ale odrzucił ją czempredzej, jako niegodną araba, a w szczególności syna Amira.

Wszyscy byli pogrążeni w głębokim śnie. Ogniska zwolna pogasty; zostały tylko popioły.

Selim prosił Boga o cierpliwość i siły; w jednej chwili postronki, ściągające obręcz, rozluźniły się, wydobyl z niej głowę, był wolny! Wolny? Jeszcze nie.

Podniósł się ostrożnie i bez wahania, bez najmniejszego szelestu, doszedł do jednego z drzew, wybrał parę pocisków, fuzję, pulwersak i patronasz. poczem oddalił się równie ostrożnie, jak przy-szedł.

Zdawało mu się, że cały wiek upłynął od onej chwili, do tej, kiedy mógł sobie powiedzieć, że jest wolny. Od drzewa do drzewa przemykał się tajemniczo, a im więcej drzew minął, tembardziej zwiększała się dlań możliwość powodzenia.

Nakoniec był wolny! W jednej chwili uczucie odzyskanej wolności przeobraziło go niejako. Wzru-

szenie, pomieszane z radością, wzdymało mu pierś. Kroki jego stały się pewniejsze; szedł z głową, wzniesioną do góry.

Coś parło go naprzód. Odrazu zapomniał o znużeniu i czuł gwałtowną potrzebę ruchu.

Posuwał się wciąż mrocznym lasem. Zdawało się, że ciemności nie rozproszą się nigdy, ale Selim nie narzekał na to: im dłużej będzie ciemno, tem dłużej wrogowie spać będą—mówił sobie.

Gdy zaświtało, był on już bardzo daleko od obozowiska natutasów.

Zrazu szare światło poranne, ułatwiając mu kierowanie się, zostawiało jednak lasowi całą tajemniczość i wszędzie panował rozkoszny chłód; słońce zaczęło zwolna oświetlać górną część gałęzi, a po niedługiej chwili cisnęło złociste strzały aż w głąb gęstwin.

Okolo południa, idąc wciąż lasem, znalazł się Selim nad cichą sadzawką. Żółte lilje wodne, niby kielichy złote, wychylały się z powierzchni wód, a szerokie liście pływały po niej leniwie i spokojnie.

Jakiż był wyśmienity smak tej wody! Jakże to miejsce było orzeźwiająjące i spokojne! Jaka głęboka cisza panowała w tej porze południowej! Zbieg nasz doznawał coraz większego ukojenia.

W pewnem oddaleniu spostrzegł on ogromny baobab, w korze którego był duży otwór. Zajrzawszy do niego przez ciekawość, zobaczył Selim, że drzewo to jest wydrążone. Wnętrze jego tworzyło

zupelny pokoik. Upewniwszy się, że nie jestto legowisko żadnego zwierzęcia, wsunął się tam i ułożył do snu.

Umknął przed wrogami swymi! Był wolny!

Ciemności słały się jeszcze, kiedy ocknął się ze snu. Spał może osiem lub dziesięć godzin, ale nie mógł zmiarkować, jak długo. Zrazu trudno mu było rozbudzić się i przypomnieć sobie wszystko, co zaszło. Od tak dawna już nie spał tak spokojnie i głęboko! Nakoniec powróciła mu pamięć: serce przepelniło się radością i wdzięcznością względem Boga, który wyrwał go z rąk katów.

— A więc to prawda, nie będzie już dźwigał na szyi tej okropnej obręczy, która mu raniła ciało i pozbawiała snu; nie zobaczy już nikczemnego Tifouma, na którego wspomnienie przechodziły go dreszcze trwogi i odrazy; nie będzie już słyszał jego ohydnych bluźnierstw; nie będzie się lękał bato-ga, z którym się ten potwór nie rozstaje.

Młody zbieg, uniesiony radością, upatrywał wdzięk nawet w tej ciemnej nocy.

— Synu Amira—mówił sobie—zbierz siły, matka cię oczekuje; twoi przyjaciele zanzibarscy liczą na ciebie. Odwagi, serce moje! nie masz się już czego lękać.

Dźwignął się i spróbował wyrzeć na świat. Czy zwierzę zobaczył nagle, czy też ta niewyraźna pętać, przesuwająca się w cieniu, jest tylko wytworem jego wyobraźni? Kroki! Kroki ukradkowe

i jakby tłumione... Człowiek nie chodziłby tak na czworakach. Co to jest?—pomyślał nagle, z gwałtownem biciem serca.

Jakiś osobliwy, straszny śmiech rozległ się po lesie. Miał on w sobie coś szyderczego i dzikiego. Selim zadrżał od stóp do głów, tak go zmieszał ten śmiech wstrętny i tak przeraźliwy, że musiał budzić trwogę nawet w mieszkańcach leśnych.

— Już wiem, co to jest—powiedział sobie Selim po chwili. Motto mówił mi o tem. To tylko hyena; musi być zgłodniała, a czuje zdobycz. Zaczekaj, moja piękna, jeszcze ci się nie dostanę... Selim nie boi się twoich szczęk. On zobaczy Zanzi-bar; wszystkie hyeny, ile ich jest na świecie, nie przeszkodzą temu. Boże mój!—wykrzyknął nagle. Szyderczemu śmiechowi hyeny odpowiedział ryk tak potężny, tak bliski, że ogłuszył Selima.

— To lew!—powiedział sobie, ochłonawszy z zaskiwienia. Często marzył o tem, żeby zobaczyć lwa i usłyszeć jego ryk, ale tym razem życzeniu jego stało się aż nadto zadosyć.—Zostań, gdzie jesteś, dopóki się nie rozwidni—rzekł Selim. Wtedy, kochany przyjacielu, będę cię mógł widzieć, ale teraz nie ruszę się z miejsca.

Głosy zbliżały się tymczasem. Selim myślał już tylko o tem, żeby zrobić dobry użytek z fuzji. Miał zresztą dobre stanowisko; otwór wydrążonego drzewa był zaciasny, żeby lew mógł się w nim zmieścić. Szukaj, szukaj! Pomyślał Selim, słysząc, że

się zbliża; jeśli chcesz zjeść dziś obiad, to poprzestań na tej hyenie, co się tak przeraźliwie śmieje.

Lew doszedł do drzewa i niespokojnie przechadzał się w tę i w ową stronę. Niepokój jego wyraził się drugim rykiem. Selim schwycił fuzję i mocno ścisnął ją w rękę. Po długim namyśle, lew zdecydował się skoczyć do otworu, którym Selim wszedł, i uczeplił się szponami. Selim zląkł się, ale nie stracił przytomności umysłu; oparł lufę fuzji o głowę lwa i wypalił. Lew, zabity odrazu, zatoczył się ciężko u stóp drzewa.

Selim, zauważywszy, że byłoby niebezpiecznie opuścić schronienie, postanowił zostać w niem do rana. Długo nadstawiał ucha przy otworze drzewa, potem zszedł w głąb swej nory i udało mu się usnąć nanowo.

Obudziwszy się, we dwie godziny po wschodzie słońca, przedewszystkiem wyrzwał przez okno. Lew leżał rozciągnięty pod drzewem.

— Masz to, czegoś chciałem... Nie słuchałeś mię... spotkała cię słuszna kara...

Wskutek dosyć naturalnego kojarzenia się myśli, widok lwa zwrócił myśl Selima ku Tifoumowi— Ach! — westchnął — gdybym ja i jego miał tu na strzał fuzji.

— Jakież to piękne stworzenie—pomyślał, nie mogąc się wstrzymać od podziwiania wspaniałego zwierzęcia. Szkoda, że dla prawowiernych mięso jest nieczyste. Zaczyna mi silnie dokuczać głód;



biada zwierzęciu, co mi pierwsze wpadnie pod rękę, jeśli będzie miało racice \*).

Selim zarzucił patrontasz i fuzję na ramię, przyjrzał się uważnie słońcu i obrawszy kierunek drogi, puścił się nią rzeźkim krokiem. Idąc, rozglądał się baczenie, w nadziei, że zobaczy zwierzyne. Strasznie był głodny. Od trzydziestu sześciu godzin nic nie jadł; zabierając się w drogę, nie wziął nic z porcyj swych towarzyszków, gdyż wiedział z doświadczenia, że gdy niewolnik zgubi swe zapasy, albo je zje odrazu, to innych nie dostanie.

Trzydziestosześć godzinny post dla chłopca, w tym wieku, kiedy rośnie, jest zadługi. Selimowi dawało się to gwałtownie czuć. W okolicy, którą przebywał, nie było ani brzoskwiń, ani śliwek dzikich, ani wroniego oka. Las ten składał się z drzew, doskonałych na budowlę; ale cóż mogło z tego przyjść Selimowi? Gdyby, zamiast żyć w pieszczotach w Zanzibarze, wcześniej był poznał życie leśne, poradziłby sobie, gdyż wiele roślin, po których stapał, miało korzenie jadalne. Ale jemu nie przychodziło to na myśl i gdy schylał głowę ku ziemi, to nie dlatego, żeby szukać korzonków, ale że chwilowo odstępowała go odwaga.

Przed samym zachodem słońca spostrzegł małą antylopę, która ukucnęła za krzakami, o jakie pięć-

---

\*) Wtedy jest czyste i prawowierni mogą jeść jego mięso.

dziesiąt kroków. Wycelował i strzelił. Zwierzę dawszy kilka konwulsyjnych skoków, padło na bok. Rzucił się na swą zdobycz i schwytał ją właśnie w chwili, kiedy raniona antylopa miała się podnieść. Niemając noża, ściągnął z niej skórę strzałą i cisnął wnętrzności hyenom. Z resztą zapasu wdrapał się na konar wielkiego drzewa, na którym zamierzał przenocować.

Nazbierał naprędce uschłych liści i gałęzi, poniosł je na konar, przy pomocy szczypty prochu rozniecił ogień, (wprawdzie z trudnością) i umieścił nad nim mięso antylopy. Ale tak był zgłodniały, że mięso to zaledwie zobaczyło ogień i zagrzało się raczej, aniżeli upiekło.

Gdyby Selim był doświadczonym wędrowcem, pokrajałby ciało antylopy na cienkie paski i suszyłby je zwolna. W taki sposób zaopatrzyłby się w pożywienie na kilka dni; ale przez nieświadomość włożył wszystko na ogień, myśląc, jak wszyscy ludzie zgłodnieli, że zje wszystko odrazu; zanim jednak spożył połowę udźca, już był nasycony. Czując się znużonym, zgasił ogień, zmiotł popiół i zaledwie ostygło miejsce po ogniu, położył się na niem z podwiniętymi nogami i usnął.

Nazajutrz rano, zjadłszy drugą połowę udźca, resztę pozostałości zwierzęcia zawinął, zsunął się z drzewa i udał w dalszą drogę.

Wieczorem, po długim pochodzie, wspiał się znowu na drzewo; chociaż był bardzo głodny, zada-

wał sobie przymus, żeby jeść, gdyż mięso antylopy zaczynało się psuć.

Następnego dnia, musiał je wyrzucić ze wstrętem i naczczo rozpoczął wędrówkę. Szedł cały rano i dopiero w południe wypoczął. Popołudniu próbował jeszcze iść kilka godzin, ale był tak osłabiony głodem, że musiał zatrzymać się i usnął, nie posiliwszy się niczem.

Następnego dnia zeszedł z drzewa i puścił się odważnie w drogę. W lesie panowała niczem nie zamącona cisza. Nie napotkał ani jednego zwierzęcia i widział tylko kilku sępów, co krążyły nad jego głową. Włókł się z trudem długie godziny, dopóki słońce nie znikło z horyzontu. Nie znalazł ani kropli wody przez cały dzień, dręczyło go więc straszne pragnienie.

Słońce znowu weszło. Głód i pragnienie tak się dały we znaki zbiegowi, że odwaga zaczynała w nim słabnąć. Ach, gdybyż mógł wiedzieć, że zbożowe pola uatutasów były o kilka godzin pochodu; gdyby był wiedział, że o milę na północ ścieżki, którą szedł, trafilby na drogę, którą przed dwoma dniami, posuwała się karawana Ferodji! Ale zaprzepaszczony, zagrzebany niejako w bezgranicznym lesie, biedny chłopiec nie odgadywał, że będąc tak bliskim śmierci, był tak blisko ocalenia. Gdyby zdołał sięgnąć wzrokiem za otaczające go drzewa, byłby uratowany, gdyż mógłby się kierować ku upragnionemu celowi. Ale drzewa znajdowały się tak bli-

sko, że tylko od czasu do czasu, dojrzał skrawek nieba.

Jakże jest ciężko dążyć z mozołem do kresu tego, co się zdaje nie mieć końca. Zgłodniały, spragniony, chory, myślał Selim, że ten las nie ma granic. Ze dwadzieścia razy próbował iść dalej, ale za każdym razem musiał się zatrzymać, z powodu wyczerpania sił i w końcu padł zemdlony na ziemię. Biedny chłopczek! Drogo przyplacał to, że ojcu jego przyszła fantazja wzbogacić się wymianianiem tkanin i pereł na istoty ludzkie!

---

## ROZDZIAŁ VII.

Tryumfalne wejście Ferodji.—Król obdarza Kalulu Abdallahem.  
Abdallah spotyka się z Simbą i Motto.—Odnalezienie Selima.—  
Przyjaźń Kalulu dla Selima.

---

Dwudziestego dziewiątego dnia po bitwie pod Kuikuru, Ferodja wkroczył tryumfalnie do wsi Katalambuli. Poprzedniej nocy gońcy przybyli do siedziby króla, żeby mu oznajmić, że się zbliża zwycięski wódz. Dlatego-to nazajutrz, w południowej godzinie, gdy spostrzeżono ze wsi tumany kurzu na prawym brzegu rzeki, kobiety zaczęły szukać dobrych miejsc, żeby się przyjrzeć widowisku. Rozległy się krzyki radości i śpiewy tryumfalne, na które wojownicy-uatutasy odpowiedzieli z przeciwległego brzegu tak głośnem hurra, że możnaby je usłyszeć z wielkiego jeziora, do którego wpada Liemba.

Z ziemi niewolników.

9

Dodatek do Nr. 18 „Wędrowca“.

Na długi czas, zanim Ferodja opuścił łany zboża i wszedł tryumfalnie, we wrotach do wsi tłoczyło się mnóstwo mężczyzn, kobiet i dzieci, którzy przybyli z okolicznych urodzajnych równin. Wszyscy oni mieli krewnych w tej wyprawie wojennej i wyrażali radość wybuchami zapału, graniczącego z szałem. Dwa tysiące głosów wyło słynne: *lu! lu! lu!* Potem nastąpiła przeraźliwa wrzawa śmiechu i oklasków z towarzyszeniem ogólnego tupania.

Ferodja umyślnie zbliżał się powoli, zapowiadając swo przybycie biciem w bębny, które naśladowały huk piorunów. Ucywilizowany monarcha nie odegrałby lepiej od Ferodji roli tryumfatora. Jakaż miał postawę, jak niezrównanym był aktorem! Wszystko w nim zasługiwało na uwagę: chód majestacyjny i nogi, obciążone conajmniej stoma obręczkami z błyszczącego mosiądzu. Nic bardziej królewskiego, jak jego opieranie z niechcenia rąk, obciążonych bransoletami z kości słoniowej, na ramionach dwu młodych wojowników, dumnych z tego zaszczytu. Miał on osobliwy jakiś sposób potrząsania głową, zdobną w warkocze. Był-to uosobiony majestat tryumfu!

Oto porządek tego obchodu: przed Ferodją postępowało szeregiem dwustu wojowników, z ogromnemi pękami piór strusich na głowie, które za każdym krokiem chwiały się i falowały. Każdy z nich wchodził uroczyście na czworokątny plac, otoczony chatami królewskimi, poczem stawali szeregiem na jednym z jego boków. Następnie szedł Ferodja,

wsparty na swych dwu młodych wojownikach. Za nim kroczyło znowu dwusty innych wojowników, w czemś podobnem do czapek kosmatych, zakrywających im twarz do połowy. Ta włochata czapka była zrobiona z czarnej i gęstej grzywy zebry, zdartej z szyi zwierzęcia wraz ze skórą. Z tak przystrojoną głową, ci ludzie mieli bardziej wojenny wygląd, aniżeli husarze angielscy w kołpakach z niedźwiedziej skóry. Byli to jeńcy dorośli, którzy defilowali po dwudziestu, obarczeni łupami, zabranami arabom. Za nimi szły dzieci, na czele których znajdował się Abdallah, zwracający powszechną uwagę białą skórą.

Pięciuset wojowników w fantazyjnych kostiumach, stanowiło straż tylnią.

Ci wojownicy, których było dziewięciuset, otaczali plac; jeńcy, złożywszy swe ładunki, zostali ustawieni wkoło drzewa królewskiego.

Katalambula siedział na swej ławce z ziemi, którą przykrywały na tę uroczystość skóry lwie i lamparcie. Trzymał on w ręku krótką laseczkę, z przyczepionym ogonem żyrafy; poruszał nią zniechęcenia, opędzając muchy z twarzy. Kalulu, jakoteż starszyna i radcy pokolenia, stali przy jego boku.

Ferodja, z dzidą w ręku, znajdował się sam jeden w środku koła niewolników, tuż przy łupach, zabranych arabom. Miał on wspaniałą postawę i tchnął dumą zwycięskiego wodza. Przyodziany był w suknię karmazynową, wykrojoną z kołdry; wlokła się ona po ziemi i była związana na lewem

ramieniu, zostawiając prawe całkiem wolne. Wśród ogólnej ciszy usłyszano słodki głos Katalambuli, który rzekł:

— Ferodjo, oczekiwaliśmy ciebie. Doszła nas wieść o twem wielkiem zwycięstwie. Wiemy, że ty i twoi uatutasy, pobiliście kupców arabskich. Mów, nasze uszy są otwarte.

Ferodja opowiedział swe posłannictwo do Olimali'ego, przybycie arabów, obleganie Kuiktru, wdanie się uatutasów i porażkę arabów. Tłum przerywał mu często okrzykami: Eyah! eyah! to na znak radości, to uwielbienia dla mówcy.

Gdy Ferodja umilkł, Katalambula zabrał głos: O Ferodjo, wielki wodzu i waleczny wojowniku—rzekł—tyś moją prawą ręką, tyś prawdziwy lew na wojnie. Któreż z okolicznych pokoleń nie uczuło twej dzidy! Rezgłosiłeś imię twego króla, aż na krańcach ziemi. Niechaj lud słucha, starszyzna niechaj otwiera uszy. Któryż król posiada wojownika równego Ferodji! On wychodzi ze wsi z próżnymi rękami, a powraca do niej z pełnymi. Czy dzieci nasze nie były głodne, gdy się oddalał? Patrzcie, już nie płaczą; ich żołądek pełny. Ja sam byłem ubogi; a teraz, któryż król może porównać swoje bogactwo z mojem? Zaprawdę, jesteś wielki i dobry, Ferodjo. Katalambula zadowolony z ciebie. Skończyłem.

Tu, król wstał z miejsca, żeby się przyjrzeć niewolnikom; Ferodja zaś, idąc obok niego, zwracał



jego uwagę na tych, co się odznaczyli jakim szczególnym przymiotem.

Doszedłszy do Abdallaha, nie mógł się wstrzymać od okazania naiwnego podziwu i uciechy wobec tak niezwykłego okazu.

— Doprawdy—rzekł—ci arabowie są osobliwi. Jakto! wszyscy są biali!

Dotknął się Abdallaha końcem palca, z pewnem wahaniem; zachęcony przez Ferodję, odważył się nawet położyć rękę na jego ramieniu.

— Skóra bardzo miękka—rzekł—potem zauważył, że włosy młodego araba podobne są do szerści koźlej, a w końcu kazał mu otworzyć usta i obejrzał zęby. Raz jeszcze powiedział, że to bardzo szczególna istota i zapytał Ferodji, co zamysła z nią zrobić.

— To co mi król rozkaże—odrzekł tenże z uniżonością.

— Kiedy tak, to go daruję Kalulu; ale zdawało mi się, że miało ich być trzech, czy czterech?

— Białych było tylko trzech. Jeden, najmniejszy, umarł w drodze; największy uciekł może pięć dni temu.

— Dlaczego uciekł?

— To był szalenciec. Nigdy nie widział osła, tak upartego. Żeby nie słuchać, wołał pójść na pewną śmierć do lasów, bo żyć w nich w żaden sposób nie może. Szkoda go; jego energja wystarczyłaby na dwu wójowników i byłby z niego doskonały niewolnik.

— O kim mówisz, Ferodjo? — zapytał Kalulu.

— Cicho—rzekł łagodnie król—nie mieszaj się do spraw dojrzałych ludzi. Pomyśl lepiej nad tem, jaki Ferodja dobry dla ciebie. Daje ci tego małego jeńca białego za towarzysza. Weź go, przetnij mu pęta i naucz go być wojownikiem.

— Nie, niechaj mi Ferodja odpowie—rzekł Kalulu nalegająco. Później zajmę się białym niewolnikiem. Kto-to był ten, co uciekł?

— Kiedy ci o to chodzi—odezwał się Ferodja z uśmiechem—to ci powiem. Był-to młody arab, w twoim wieku prawie, syn naczelnika; pewien jestem, że go skłoniło do ucieczki złe obchodzenie się Tifouma.

— Tifoum Byahl—wykrzyknął Kalulu. O w takim razie, nie dziwię się, że uciekł. Tifoum ma twardą rękę. Ale ja się z tobą zobaczę jeszcze, stryju; teraz muszę się zająć białym niewolnikiem i dać mu jeść.

Zwrócił się do Abdallaha i przeciął ostrzem swej dzidy postronek, którym tenże był przewiązany w pasie. Potem skinął nań, żeby za nim poszedł i skierował się ku chacie swojej.

Przybywszy tam, oglądał Abdallaha długo i ciekawie, od stóp do głów. Następnie kazał mu stanąć tuż za sobą plecami i przesuwając rękę nad jego głowę, starał się zmierzyć, który z nich większy. Abdallah otwierał szeroko oczy, nie mogąc pojąć, o co mu chodzi. Zaspokoiwszy swą ciekawość, Ka-

lulu przemówił doń z uśmiechem w języku Kituta <sup>1)</sup>. Gdy Abdallah objaśnił go znakami, że nic nie rozumie, Kalulu wpadł na myśl, że przedewszystkiem powinien go nakarmić. Wybiegł więc zaraz i powrócił z niewolnicą, która niosła pieczone *Kabob* <sup>2)</sup>, ryż, pombe z miodem i gęstą zupę. Jednym palcem wskazał potem na jedzenie, a drugim na usta swoje. Zgłodniały chłopiec zrozumiał odrazu tę pantominę. Spojrzał nań z wdzięcznością i bez ceremonji wziął się do dzieła.

Kalulu wyszedł znowu i powrócił z dwoma towarzyszami, których widok wprowadził Abdallaha w takie zdumienie, że aż przestał jeść.

— Simba, Motto! — zawołał — Skądęście się tu wzięli?

— Abdallah! Biedne dziecię!

Abdallah zerwał się, zarzucił ramiona na szyję Simby a potem Motta i z twarzą, zalaną łzami radości, ścisnął ich z całych sił.

Kalulu przyglądał im się z lubością; pocziwy uśmiech rozjaśniał jego oblicze.

— A więc nie jestem osamotniony! Mam jeszcze przyjaciół!... — rzekł Abdallah wśród łkań. — Myślałem, że mię już wszyscy opuścili.

— Nie, nie płacz, Abdallahu — powiedział Sim-

---

<sup>1)</sup> Ki, postawione przed tuta, oznacza język urori, oraz wszystkie djalekty tej części Afryki.

<sup>2)</sup> Kawalczki mięsa.

ba.—Allah jest dobry. Powiedz mi, synu Mohameda, gdzie są Selim, Mussud i Iza?

— Ach Simbo, nieszczęście wciąż nas ściga, odkąd stąpiliśmy na ziemię Urori.—Opowiedziawszy mu śmierć Izy, ucieczkę Selima i śmierć swego brata, która nastąpiła nazajutrz po ucieczce Selima, zakończył w te słowa:—Musiał wyruszyć podczas kiedy spałem, bo nazajutrz rano już go nie było koło mnie. Zapewne wziął z sobą fuzję i pociski, gdyż jeden z uatutasów narobił wiele wrzawy, że mu ktoś skradł właśnie jedno i drugie.

— Uciek!—rzekli Simba i Motto, spoglądając na siebie z niepokojem.—Selim umknął! Czy ci nie powiedział, Abdallahu, w którą stronę skieruje się?

— Zdaje mi się, że miał wrócić do Zanzibaru; jeśli się nie mylę, wspominał także o Motto i Katalambuli...

— Tak, tak... Pewno sobie przypomniał, cośmy mu powiedzieli—rzekł Motto.—Kiedy go tu niema, to musi być jeszcze w lesie. Nie mówił ci, Abdallahu, czy się chce zwrócić zrazu ku północy, czy ku południowi?

— Ku południowi.

— O ile dni drogi znajduje się stąd miejsce, z którego Selim wyruszył?

— Myśmy tu przyszli w sześć, czy też siedem dni, nie pamiętam tego dokładnie.

Przez cały ten czas wzrok Kalulu przenosił się z jednego na drugiego. Widząc obawę i smutek na

twarzach swych przyjaciół, zapytał Motto o co idzie. Motto objaśnił go.

— Cóż poczniecie?

— Nie wiem; przede wszystkim naradzę się z Simbą.

Kalulu obiecał im w każdym razie pomoc.

Po naradzie z Simbą i Abdallahem, Motto powiedział Kalulu, że ich obowiązkiem jest wybrać się na poszukiwanie swego młodego pana, który może teraz umiera z głodu w lesie (nie wiedział, jak dalece to przypuszczenie było trafne) albo też inne jakie pokolenie uatutasów wzięło go w niewolę.

Kalulu z góry wiedział, że powezmą takie postanowienie. Oświadczył on, że jeśli pomoc jego okaże się potrzebną, to gotów uczynić wszystko, co się tylko da, żeby odnaleść Selima. Gdy Motto przetłumaczył Simbie tę obietnicę w jego języku, Simba rzekł: — Powiedz młodemu naczelnikowi, że jeśli może uzyskać pięćdziesięciu ludzi od Katalambuli, to pod pozorem, że słonie ukazały się w lesie, możemy natychmiast wyruszyć. Gdy się rozproszym po lesie, to albo znajdziemy Selima, albo poweźmiemy o nim wiadomości, albo też wyrwiemy go z rąk tych, co go może wzięli w niewolę.

Kalulu odpowiedział, że niezwłocznie weźmie się do dzieła i mówiąc te słowa, wyszedł z chaty.

W pół godziny potem wrócił z wiadomością, że stosownie do żądania Simby i Motta, pięćdziesięciu ludzi stoi przed wrotami. Spieszmy, Motto! pilno mi odznaczyć się także, bo inaczej, imię Ferodji

przechodzić będzie z ust do ust, a o Kalulu nikt się nie dowie. Zresztą, chcę zobaczyć twego młodego pana; chce się przekonać, czy jest tak dobry, jak powiadasz.

Podczas kiedy mówił, Simba i Motto wzięli swe fuzje i Kalulu poszedł za nimi, poleciwszy przedtem, żeby miano staranie o Abdallahu.

Kalulu był bardzo dumny z tego, że pokaże przyjacielom swych wojowników. Miał przekonanie, że przy ich pomocy, młody arab zostanie odnalezionym. Wraz z dwoma przyjaciółmi, stanął na czele wyprawy, która szybkim krokiem puściła się tą samą drogą, jaką Ferodja przybył.

Wybrawszy się przed południem, szli aż do wieczora; nazajutrz, na jakie dwie godziny przed świtem, znowu byli już w drodze.

Około południa, spostrzegli przed sobą las, który tworzył ciemną linię na horyzoncie, w zachodniej stronie. Zanim dotarli do niego, natrafili na wieś, której łany zboża były o jaką milę od drogi, w kierunku południowym. Simba rzekł, że się powinni rozłączyć z sobą w tem miejscu i zwracać baczne oko na wszelkie możliwe wskazówki.

Gdy się dostali do wsi, mieszkańcy jej, poznawszy przybranego syna królewskiego, przejęci wielką radością, oddali wędrowcom wszystkie swoje zapasy.

Naczelnik wsi bardzo nadskakiwał młodemu Kalulu, usiadł obok niego i skwapliwie udzielił mu wszelkich wiadomości miejscowych. Opowiedział mu

np. że tegoż ranka, jeden z jego ludzi, szukając dzi-  
kiego miodu, znalazł fuzję.

— Fuzję!—zawołał Motto.

Kalulu powtórzył jego okrzyk.

— Tak, fuzję—i był w niej proch zaczarowany  
i kula także, bo gdy ten, co znalazł fuzję, chciał się  
z nią pobawić—bum! wystrzeliła; on zaś o mało nie  
oszalał z przestachu.

— Dobrze, dobrze! To bardzo zabawne!—rzekł  
Motto, usiłując poskromić swą niecierpliwość; ale czy  
on nie znalazł nic, prócz fuzji?

— Nic, mój bracie. Alboż to nie dosyć znaleźć  
fuzję w lesie, gdzie jeszcze nigdy nie widziano  
fuzji?

— Ależ, bracie — powiedział Motto niecierpli-  
wie—przecież ta fuzja nie przyszła sama.

— Dobry-Duch położył ją tam dla mnie. Przed  
kilku dniami straciłem ojca; kiedym go włożył do  
dołu i zasypał ziemią, zebrałem wszystko, co posia-  
dał, ułożyłem z tego stos i podziękowałem Dobremu-  
Duchowi, że się okazał tak łaskawym. Prosiłem  
go, żeby mię uczynił bogatym i silnym. Wysłuchał  
mię i on-to zesłał mi tę fuzję.

— Wodzu, umilknij!—rzekł Kalulu, podnosząc  
rękę—rozkazuje ci to spadkobierca Katalambuli. Czy  
znane ci miejsce, w którym ten człowiek znalazł  
fuzję?

— Panie, twój niewolnik jest niemy, gdy Ka-  
lulu mówi. Nie znam tego miejsca, ale ten oto mu-  
si je znać.

Człowiek ów, zapytany, czy znalazł co więcej prócz fuzji, odparł, że nie szukał niczego więcej, bo mu było zbyt pilno zanieść znalezione swemu panu. Rozkazano mu wtedy zaprowadzić Kalulu i jego ludzi do miejsca, gdzie znalazł skarb.

We dwie godziny przybyli do stóp drzewa, w największej gęstwinie lasu. Uliszczenie było tam tak gęste, że wcale nie przepuszczało promieni słonecznych.

Gdy człowiek ten wskazał dokładnie miejsce, żołnierze zostali ustawieni szeregiem, o pięćdziesiąt kroków jeden od drugiego, jak strzelcy i otrzymali rozkaz posuwać się ku wschodowi. Mieli oni bacznie uważać na najdrobniejsze wskazówki.

Dwieście metrów drogi uszli w głębokiem milczeniu; nagle jeden z nich wydał krzyk, którym zwrócił na siebie powszechną uwagę. Widziano zdaleka, jak z różnemi gestami, oznaczającemi zadziwienie, wskazywał jakiś przedmiot, leżący na ziemi. Simba nadbiegł jeden z pierwszych i podskoczył z radości, poznawszy z oddalenia swego młodego pana. Motto przyleciał z szybkością błyskawicy, Kalulu podążył za nim. Cała banda zgromadziła się, a przewodnik jej osłupiał na widok właściciela fuzji, którą znalazł rano.

Selim był więc odnaleziony, ale w jakim stanie! Simba, olbrzym Simba zaczął drzeć cały i nie mogąc przemówić, ukląkł przy nim. Fizjonomja Kalulu wyrażała najgłębsze współczucie; Motto, z rękami skrzyżowanymi, przyglądał się biednemu Selimowi



z żalnością. Inni także okazywali politowanie i zarazem zdziwienie.

Znalazca fuzji wyrażał zdumienie tak zabawnymi ruchami i zapytaniami, że w każdej innej okoliczności pobudziłby obecnych do serdecznego śmiechu.

Selim nie dawał żadnego znaku życia.

Wsunąwszy jedną ze swych rąk w rękę chłopca, drugą położył Simba na jego piersi; Motto i Kalulu śledzili jego ruchy z gorączkową ciekawością.

— Nie umarł—zawołał nagle; mój młody pan, Selim, żyje!—i dodał z głębi serca: Chwała Bogu!

— Ale nie pożyje długo, jeśli go nie zabierzemy stąd, żeby go pielęgnować i wzmocnić—odezwał się Motto, zdjęty żywym niepokojem. Widzisz Simbo, jak on schudł? Biedaczek, ma tylko skórę i kości! Ach, patrzno, Simbo, cóż-to za nędznik dopuścił się tego? Patrz, jakie ma rany na biednych ramionach? Ach, i na plecach także.

Olbrzym, z sercem poświęconem i tkliwem, odparł:—Motto, powiedz mi, kto-to mógł zrobić? Czy człowiek? O, nie! Człowiek nie miałby serca zadać takie rany mojemu Selimowi, bo ten chłopaczek jest zadobry, żeby zasłużył na takie obejście. To jakiś dziki dopuścił się tego. Ja wydrę serce z piersi temu nędznikowi! Ale zanieśmy go prędko do wsi. Motto, i powiedz Kalulu, niechaj każe przysposobić na nasze przybycie kleiku z kaszy, ugotowanej na mleku kozim.

Motto zdjął z siebie część odzieży i rozpostarł

ją na ziemi; następnie wraz z Simbą, z największą ostrożnością położyli na niej Selima. Z oczu Simby spływały duże łzy.

— Ach, ten łotr! — mruzczał przez zaciśnięte zęby; jeśli uratujemy Selima, to on mi powie, kto go doprowadził do tego stanu; jeśli umrze, dowiem się od Abdallaha; a wtedy może być pewny... i zaciskał pięści.

Simba, Motto i dwu ludzi, wskazanych przez Kalulu, wzięli za cztery rogi nosze, na których leżał Selim, i puścili się z powrotem do wsi.

Za poradą Motta a na rozkaz Kalulu, eskortę ustawiono w taki sposób, żeby ciekawych nie dopuszczała zbyt blisko.

Zaniesiono Selima do pustej chaty.

Motto otworzył usta choremu, a Simba wlał w nie kilka kropel kleiku. Skutek był prawie natychmiastowy, chociaż Simbie, opanowanemu niecierpliwością, czas dłużył się bardzo. Otwarte usta zamknęły się same i można było widzieć lekkie poruszenie w gardle. Usta rozchyliły się znowu; tym razem Simba wlał w nie kilka kropel więcej. Kalulu, klęcząc w głowach Selima, znakiem wskazał Simbie, że pot wystąpił na czoło, przedtem tak suche. Motto położył rękę na jego piersi i oznajmił, że serce bije mocniej i prędeej.

Selim westchnął głęboko i otworzył powieki.

— Jakie oczy! — wykrzyknął Kalulu z zadziwieniem — jakie duże i piękne!

— Cicho! — rzekł Simba.

Selim szeptał coś. Simba pochyliwszy się, ze łzami w oczach powiedział: Biedny chłopiec! powtarza słowa, które mi matka żegnała męża i jego... Potem głośno zapytał: Selimie, młody mój panie, czy mnie poznajesz.

Selim zwrócił ku niemu wzrok, w którym zaczęła przebijać przytomność.

— Ach, Simba! czy to ty? — zapytał słabym głosem.

— Tak, to ja... twój niewolnik Simba. Bogu niech będzie chwała za Jego dobroć! Mój pan poznaje swego niewolnika.

— Gdzie ja jestem? Miałem taki straszny sen. Śniło mi się, że umierałem z głodu i pragnienia. Ale już nie widzę tego okropnego lasu. Znajduję się w jakimś domu... Simba jest przy mnie. Jakim sposobem stało się to, Simbo?

— A Motta nie poznaje nasz pan? — rzekł Motta, podnosząc się.

— I ty, Motta, tutaj? Ach, kiedy tak, to szczęśliwy, bo nie jestem opuszczony; a śniło mi się, że mnie wszyscy opuścili.

— Nie panie, nie jesteś opuszczony — powiedział Simba — ale przełknij jeszcze trochę kleiku. To jest zdrowe i wzmocni cię odrazu.

Selim odzyskawszy trochę sił, poprosił Simbę, żeby mu opowiedział, co się to stało.

Gdy Simba skończył mówić, Kalulu ukląkł naprzeciw Selima. Simba przedstawił go jako przybranego syna królewskiego, opowiedział, jak on był

dobry dla Motta i dodał, że dzięki temu młodemu wodzowi udało się odkryć go w lesie.

Selim podniósł wychudłą rękę, porwał z żywą wdzięcznością dłoń Kalulu i poprosił Motta, żeby mu powiedział, jak jest wdzięczny za jego dobroć.

Kalulu z zapalem odrzekł:

— Niechaj syn naczelnika arabskiego je, śpi i wzmacnia się. Niechaj ani głód, ani pragnienie przystępu doń nie mają. Kalulu jest jego bratem. Ulecz się, bracie mój, odzyskaj siły i nie bój się odtąd żadnej złej przygody.

Selim, ze łzami wdzięczności, odpowiedział: Głos Kalulu brzmi w moich uszach, jak ożywcze wody źródła w uszach spragnionego. Obawa moja i nieufność znikają tak samo, jak ciemności nocne i mgła rozpraszają się wobec pierwszych promieni słońca.

— Głos twój napędza serce moje radością — rzekł znowu Kalulu. Ja ciebie nauczę tego, co Duch Niebieski nauczył dzieci uatutasów, a ty mnie — tego, co Duch Niebieski nauczył blade dzieci arabsów. Ale powiedz mi, bracie mój, dlaczego masz plecy pokryte ranami?

— Kalulu, mój bracie, słowa twoje przywróciły mi siły. Nie uważaj na rany mego ciała; słowa twoje są balsamem, który je goi. Już nie czuję bólu.

— Powiedz mi imię człowieka, który ci zadał te rany. Czy-to Ferodja?

— Nie, tego człowieka nazywają Tifoum Byah

— Tifoum Byah! Ja temu złośliwemu psu każę; zorać plecy batogiem!

— Nie rób tego, proszę cię. Daj mu pokój uczyn to dla mnie, Kalulu. Posępne dni już minęły.

— Zobaczymy...—odrzekł Kalulu.—Teraz zostawimy cię samego, żebyś się wyspał i wypoczął. Pozostaniemy dwa dni w tej wsi, dopóki nie będziesz dosyć silny, żeby cię przeniesiono do Katalambuli. Dziwi mię to, że cię tak bardzo kocham; ale Motto był dobry dla mnie i gdy mi powiedział, żeś jego panem, umiłowałem cię odrazu. Teraz, kiedy cię zobaczył, oddałem ci serce. Uatutasy umięją i kochać i nienawidzić!

Zwracając się do swych wojowników, zgromadzonych w chacie, rzekł:

— Wyjdźmy; Motto i Simba będą czuwali nad nim.

### ROZDZIAŁ VIII.

Obrzęd „pobratymstwa”.—Selimowi grozi niebezpieczeństwo.—  
Simba go ocala.—Kalulu stawia czoło Ferołdji.—Sztuczki hipo-  
potama.—Walka z krokodylem.—Powrót do wsi.

Trzeciego dnia Selim był już dosyć zdrów, że-  
by się puszczono w drogę do wsi Katalambuli. Gdy-  
by Kalulu nie był zapewnił go o swej przyjaźni,  
należy wątpić, by Selim zechciał zobaczyć się  
jeszcze z Ferołdją i z uniżonym Tifoumem. Ale Ka-  
lulu i on mieli się połączyć na całe życie obrzędem,  
zwanym „pobratymstwo“, który miał się odbyć  
w przeddzień ich przybycia do wsi.

Gromadka nasza, wędrując bez pośpiechu, zna-  
lazła się piątego dnia na brzegach Liemby, we wsi,  
zwanej Kizari, o osiem mil od stolicy Katalambuli.

Tego-to dnia odbyła się ceremonja, która mia-

ła pobratać Selima z Kalulu. Gdy oświadczyli uroczyście, że chcą zostać braćmi, Simba zrobił im lekkie nacięcie na prawem ramieniu, każdy z nich wypił kilka kropel krwi drugiego, i uściskali się. Potem nastąpiła wymiana podarków, podczas której mężczyźni, kobiety i dzieci — krzyczeli i klaskali w ręce; młodzi zaczęli tańczyć.

Jako bratu Kalulu, nic już nie miało grozić Selimowi od Ferodji i Tifouma; nikt w tem pokoleniu nie odważyłby się podnieść nań rękę.

Nazajutrz, około południa, przybyli do stolicy. Selim wywołał silne wrażenie; Kalulu wziął go zaraz do swej własnej chaty wraz z Simbą i Mottem. Selim, z wielką radością, zastał tam Abdallaha, który już przyszedł do siebie po przecierpianych katuszach i trudach.

Po jakimś czasie, Simba i Motto zostawili dwu chłopców sam na sam i udali się do swojej chaty, a Kalulu, poleciwszy, żeby zaspokojono wszelkie potrzeby Selima, poszedł opowiedzieć królowi, co zaszło.

Zaledwie mali arabowie pozostali sami, straszny jakiś zgiełk powstał u drzwi. Byłyto kroki liczne, spieszne i, jak się zdawało, tłumione. Natychmiast prawie ukazała się ohydna postać Tifouma Byah, z orszakiem, uzbrojonym we włócznie i maczugi.

— Oh! oh! he! he! — zawołał, spoglądając złowrogo. Wszakto mój zbieg! Ha, ha! pełzający szakalu, wpadłeś w sidła! Chodź, blada twarzy; musisz

ić za mną. Posunął się o dwa kroki i położył swą prawą rękę na ramieniu Selima.

— Ja! Miałbym pójść za tobą!

— Chodź, bez gadania. Rozkazuje ci to Ferodja, wódz.

— Ależ jam teraz brat Kalulu — rzekł Selim, usiłując wyzwolić się — nie jestem już niewolnikiem... Nigdy nim zresztą nie byłem.

— Ty jesteś bratem Kalulu? Odkądże?

— Od wczoraj. Jeśli mię nie puścisz, to cię Kalulu ukarze za to, żeś wszedł do jego chaty.

— Zobaczymy. Żołnierze, zanieście go przed Ferodję.

Selim daremnie się bronił: zaniecono go przed Ferodję, który siedział pod drzewem na dziedzińcu.

— Oto zbieg — powiedział Tifoum do Ferodji, opierając ciężko rękę na ramieniu Selima.

— Ty, psie z bladą twarzą! — zawołał rozsierdzony Ferodja. Dla czegoś uciekł? Czy myślałeś, że cię nie znajdę? Mówże!

— Jam nie pies — odparł Selim zapalczywie, bo go rozjątrzyła myśl, że gotów popaść powtórnie w tak ciężką niewolę. Nie jestem psem; toś ty pies.

— Eyah! Eyah! Słyszycie! Niewolnik znieważa Ferodję, wodza! — zawołał basujący Tifoum. Szaleńcze, wiesz ty, co mówisz?

— Cicho, nędzniku! — wykrzyknął Selim, który wpadał w coraz większą zapalczywość. Nic sobie z was nie robię! Pogardzam wami! Dla mnie je-



steście tylko błotem. Zrób, co ci się spodoba, wielki wodzu; mały arab nie ugnie się przed tobą.

Ferodja i Tifoum oniemieli, tak ich zdumiała jego gwałtowność i śmiałość. W końcu Ferodja przerwał milczenie, mówiąc gniewnie:

— Tifoumie, słyszysz? Połóż tego upartego osła na brzuchu i obij mu porządnie plecy. Bij go, bij, co siłą!

Tego było nadto. Zaledwie Ferodja wydał ten rozkaz, duch oporu, w tym prawdziwym beduinie, zbudził się w jednej chwili, jakby pod wpływem elektryczności. Ramię jego potrzebowało uderzyć; ręka, której siłę stokrotnie wzmogła nienawiść, z szybkością błyskawicy spadła na twarz Tifouma, który zachwiał się, jakby pod uderzeniem maczugi. Selim wyskoczył z koła, co go otaczało, roześmiał się wzgardliwie nad uchem Ferodji i jak strzała, pomknął ku chacie królewskiej, a biegnąc, wołał: Kalulu, Simbo, ratujcie, ratujcie!

Przed samym progiem królewskim uczuł, że go chwyta gwałtownie czyjaś ręka; obrócił się: było znowu Tifoum. Opanowany wściekłością, poleciał on, jak na skrzydłach, i powalił chłopca na ziemię, żeby wykonywać na nim srogi wyrok Ferodji. Selim odszedł od przytomności... Naraz usłyszał krzyk i ryk wściekły i w tejże chwili Tifoum wypuścił go z ręki.

Nakoniec, Simba znalazł się twarz w twarz z potworem, który bił syna Amirowego. Selim nie zdążył zawołać, że wybacz Tifoumowi. W mgnie-

niu oka ujrzał, jak ciało jego zakołowało w powietrzu, a następnie padło pomiędzy żołnierzy, biegnących na pomoc. Niby kula armatnia, wpadł on pomiędzy tę gromadę ludzi i kilku z nich runęło.

Gdy Ferodja zobaczył, że olbrzym Simba występuje do walki, zmiarkował zaraz, że Tifoumowi grozi niebezpieczeństwo; schwycił więc dzidę i pobiegł na pole bitwy. Zobaczywszy, co Simba zrobił, nie wierzył prawie oczom swoim, i ze zdumienia, zapomniał posłużyć się bronią.

W tej chwili, trzy nowe osoby wystąpiły na widownię: Motto, który przez ciekawość pobiegł za Ferodją, udając obojętną i bardzo zabawną minę, król i Kalulu.

Katalambula—stary i niedołężny, umiał jednak w razie potrzeby okazać godność i stanowczość królewską. Zbliżywszy się, stanął przed Ferodją i Simbą, z włócznią w rękę, w poważnej postawie.

— Co to znaczy, Ferodjo? — zapytał spokojnie i chłodno.

— To znaczy, że wyprowadziłem Tifouma po tego niewolnika; że niewolnik uciekł w kierunku twojej chaty; że Tifoum ścigał go i spotkał tego oto człowieka (wskazywał na Simbę) on zaś cisnął go, jakby kłodę drzewa, pomiędzy moich żołnierzy, którzy podnoszą się oto z ziemi.

— Doprawdy? Ktoś ty?—zapytał król Simby. Aa, przypominam sobie.. Jesteś przyjacielem tego przybysza, który ocalił Kalulu. Tyś bardzo silny!

Obrzuciwszy go okiem, wyrażającym podziw,

zwrócił się król do żołnierzy i zapytał, czy który poniósł ciężką ranę. Żaden nie uszedł cało, a Tifoum pokryty był ranami i sińcami. Wszyscy spoglądali na Simbę z przerażeniem.

Ferodja zbliżył się o kilka kroków, jak gdyby chciał schwycić Selima. Znalazł się twarz w twarz z Kalulu, który skoczył pomiędzy Ferodję a jego przyjaciela. Łuk Kalulu był napięty, strzała na pogotowiu, oczy rzucały groźne spojrzenia na Ferodję.

— Precz, Ferodjo, bo inaczej przysięgam na grób Mostany, mego ojca, że cię ta strzała ugodzi w samą pierś.

— Cóż-to znówu... Mało ci jednego białego niewolnika... Chcesz mi ukraść i drugiego? Jam go zdobył włócznią i łukiem we wsi Olimali'ego... Usun mi się z drogi!

— Precz — powiadam; ten, którego nazywasz swoim niewolnikiem, jest odtąd bratem moim. Odbyliśmy obrzęd krwi. Kto jego napastuje, napastuje i mnie, a jam synem królewskim!

— Kiedy jest twoim bratem, to go sobie zatrzymaj, ale daj mi wzamian tamtego białego niewolnika.

— Darowałeś go mojemu ojcu, a ojciec mnie go dał. Zamało mam też białych niewolników, żeby ci ustąpić jednego. Posiadam zresztą jednego tylko, bo drugi jest bratem moim.

— Katalambula! — wykrzyknął Ferodja — Jesteś niesprawiedliwy. Białych niewolników nie napotyka się codzień. Mam prawo do jednego z tych dwu.

Nie możemy gwałcić praw „Pobratymstwa“— odrzekł król łagodnie. — Kiedy Kalulu uczynił tego chłopca bratem swoim zrobił zeń tem samym Mtutę; a wszyscy natutasy są wolni. Darowałeś mi tamtego, jam go znów dał Kalulu; a wiesz dobrze, Ferodjo, że odebranie podarku sprzeciwia się tutejszym zwyczajom. Weź w ich miejsce trzech niewolników moich, uabenów i niechaj będzie zgoda pomiędzy tobą i Kalulu.

— Nie, nie i nie!—ryknął Ferodja. Jesteś niesprawiedliwym względem człowieka, który bił się za ciebie, z takim powodzeniem i przyniósł ci tak wielkie bogactwa. Odchodzę stąd natychmiast; a ty— rzekł do Kalulu, znacząco potrząsając głową — miej się na baczności! Nie od dzisiaj wiem jak się obcina szpony orlętom i poskramia młode lwy. Ferodja jest królem w swoim pokoleniu.

— Ferodjo — odezwał się Kalulu ze wzgardliwym uśmiechem—nie lękam się ciebie. Wiem, żeś zły człowiek i gdyby nie poszanowanie dla mego ojca, tobym ci nie dał wyjść stąd...

— Cicho, dziecię!—zawołał Katalambula—nie pogorszaj stanu rzeczy dotkliwemi słowy. A ty, Ferodjo, nie zważaj na to, co on mówi. Wszak-to jeszcze dziecko. Toś ty niesprawiedliwy, nie ja. Nie dostałeś czwartej części wszystkiego, coś mi przyniósł? Czyi żołnierze bili się w Kuikuru? Kto ich tam wyprawil? Czy nie ja? Wróć do swego pokolenia, jeśli to uważasz za potrzebne. Pokój z tobą.

Ferodja oddalił się, pogroziwszy raz jeszcze

Kalulu, za co ten odplacił mu się z lichwą. Tchnący wściekłą nienawiścią i żądzą zemsty, opuścił on w godzinę potem wieś z poczem żołnierzy, z niewolnikami i przypadającą mu częścią łupów. W drodze, wywierał swój gniew, bez żadnego powodu, na niewinnych niewolnikach, a zły humor na Tifoumie, który szedł markotny i zawstydzony.

Katalambula miał nieco żalu do Kalulu. Ale chłopiec ten, tak porywczy względem Ferodji, o którego był zazdrosny, umiał ujmować sobie starca. Chociaż stryj marszczył czoło, synowiec rzucił mu się na szyję i odprowadził go do chaty.

— Stryju mój, ojczy!—wykrzyknął Kalulu—dla czego nie odezwiesz się z przyjaznem słówkiem do do mego białego brata? Przyjrzyj się jego oczom; czy ci nie przypominają oczu antylopy, lękającej się strzelca? Przemówże do niego. Jak ten ohydny Tifoum śmiał go bić! Żałuję, że go nie przeszył strzałą. To jest zły człowiek, wart swego imienia \*). Uciałby mi chętnie głowę, gdyby mu Ferodja rozkazał.

— Więc ty jesteś nowym bratem Kalulu, blade dziecię?—zapytał król, zatrzymując się przy Selimie.

— Kalulu był bardzo dobry dla mnie—odrzekł tenże, spoglądając z wdzięcznością na przyjaciela. Nazwał mię swoim bratem.

---

\*) Byah znaczy—zły.

— Tak — powiedział król — Kalulu poczciwy chłopiec... poczciwy chłopiec; kocha starego stryja; tak, kocha go bardzo! Zdaje mi się, że ma tkliwe serce dla tych, którym sprzyja; ale jest porywczy, bardzo porywczy, jeśli mu kto wejdzie w drogę. Bądź ostrożny, bo gotów cię kiedy zabić i zjeść... dodał z życzliwym uśmiechem i poszedł do swej chaty. Selim schronił się także pod dachem.

Kalulu nie puścił jednak stryja, dopóki mu ten nie obiecał tkaniny na przyodzianie Selima i Abdallaha, którzy byli prawie nadzy.

— Dobrze, dobrze—powiedział poczciwy człowiek—zrób, co ci się spodoba. Daj mu cztery *doli* \*) (16 metrów) i niech się obwinie od stóp do głów.

— Tyś dobry, bardzo dobry, ojczel! — wykrzykiwał Kalulu, skacząc dokoła starca.

— Tak, tak—jestem dobry, zwłaszcza, kiedy robię to, co ty chcesz — odparł król. Zostaw mię teraz samego; jestem zmęczony i senny—dodał.

— Co ja w tem przynoszę? — zapytał Kalulu Selima i Abdallaha.

— W tej skórze kozłej?

— Tak.

— Nie możemy zgadnąć.

— Oto materja na odzież dla was. Ponieważ w waszym kraju jest zwyczaj obwijania sobie całego ciała, nie chcę, żebyście się wstydzieli, żeście prawie nadzy.—Mówiące to, rozkładał zawiniątko.

---

\*) 2 metry tkaniny.

— Ach, jakże ja się będę pysznił tem ubraniem... nie poznam siebie w niem! — zawołał i z widoczną wprawą obwinął się jedną shukkach, potem drugą udrapował na ramionach, głowę zaś przykrył lekką tkaniną śnieżnej białości. Śmiał się, przybierał różne postawy, żeby się jaknajlepiej przedstawić; przyczem oczy świeciły mu się z radości.

— Doskonale ci w tem, Abdallahu! — zawołał Simba. Jeszcze ładniej wyglądasz w tym stroju negrów zauzibarskich, niż w żakietce ze złotemi galonami i w haftowanej koszuli. Tobie także bardzo do twarzy, Selimie; zdaje mi się, że cię odnajduję powtórnie. W Ututa są piękne tkaniny — ktoby-to myślał?

— Teraz, kiedy mój pan i młody Abdallah, nie potrzebują się już wstydzic swej nagości, będą szczęśliwi i weseli—odezwał się Motto. Odtąd wciąż będę szukał i ratował młodych naczelników, zagrożonych niebezpieczeństwem. To dobry zawód. Powiódł mi się z Kalulu.

— Kiedyśmy wszyscy szczęśliwi i zadowoleni—rzekł Kalulu—może weźmiemy pirogę i popłyniemy Liembą, żeby chwytac krokodyle i hipopotamy. Trzeba będzie także zapolowac w tych dniach, na słonie. Cóż wy powiecie na to?

— Ja powiem, że będę bardzo zadowolony—odrzekł Selim.

— I ja także—powiedział Abdallah.

— Kiedy tak, to już rzecz postanowiona. A Simba? A Motto?

Simba i Motto odpowiedzieli skinieniem głowy, które miało znaczyć: Jak można pytać o to!

Nazajutrz o świcie, drużyna ta, do której przybyło dwu żołnierzy, niosących wiosła do pirogi, podążyła ku rzece. Simba i Motto mieli z sobą fuzje. Kalulu niósł, prócz włóczni, fuzję którą mu darował Selim onego dnia, kiedy zostali braćmi; Selim i Abdallah mieli także fuzje, zapożyczone w arsenale króla, z jego przyzwoleniem.

Przybywszy do rzeki, zastali tam mnóstwo ciekawych, którzy przyszli zobaczyć, jak będzie wsiadał do pirogi, młody wódz z dwoma białymi niewolnikami, jak ich nazywano. Niektórzy dziwili się, że Kalulu tak śpieszy ze sprawieniem przyjemności niewolnikom swoim, ale nie mówili nic, gdyż było ogólne mniemanie, że ich zabiera z sobą po to, żeby nieśli jego fuzje. Kilku uatutasów poprosiło Kalulu, żeby ich wziął do pirogi; ale odmówił stanowczym ruchem, tłumacząc się, że ma dosyć ludzi.

Skoro tylko Kalulu, Selim i Abdallah zasiedli w tyle pirogi, Simba, Motto i dwaj żołnierze zaczęli wiosłować. W mgnieniu oka piroga znalazła się się na środku rzeki; jeden ze sterników śpiewał dla regulowania ruchów swych towarzyszy; władali oni tak zręcznie pagajami, że niezadługo wieś znikła im z oczu.

Jakaż-to różnica pomiędzy tą przeprawą, tak łatwą i przyjemną, a tak mozolnym pochodem karawany! Dwaj mali arabowie mimowoli robili porównanie, a terażniejszą przyjemność wzmagało wspo-



mnienie przebytych cierpień. Nie potrzebowali nic robić, tylko otwierać oczy i patrzeć. Wszystko ich czarowało: ciemne nurty rzeki, piana, którą bryzgał przód łodzi, ciągnące się wzdłuż brzegów lasy sitowia i trzciny, wśród których było słyhać zanurzającego się ciężko krokodyla, któremu przerwali sen; wielkie drzewa, które szybko mijali; a w szczególności ogromne sykomory, dające tak rokoszny cień ptakom i dzikim zwierzętom. Ukazywały im się wsie, otoczone palisami, z poza których sterczały stożkowate dachy ciemnych chat i pola ze zbożem, drgające i chwiejące się od ciepłego powiewu wiatru południowego. Chwilami odsłaniał się szerszy widok wzdłuż dolin i za każdym zakrętem rzeki niespodzianie dawały się spostrzegać nowe horyzonty.

— Jakaż-to rokoszna chwila — mówił sobie Selim. Chciałbym, żeby mogła trwać do dnia, w którym zobaczę matkę i dom zanzibarski!

— Jakiż-to szczęśliwy dzień! — myślał Abdallah:— Oby przyniósł wszystkim ludziom taką radość, jak mnie. Oby jutrzejszy był równie radosny; oby dni następowały po sobie, jeden podobny do drugiego, dopóki me oczy nie ujrzą modrych fal oceanu indyjskiego.

Chłopcy zamienili z sobą spojrzenie i zrozumieli się. Ciche łzy spływały im na lica; ale były-to słodkie łzy: wycisnęło je szczęście.

Na dwie godziny przed południem, łódź przybiła do jakiejś wyspy; wyszukawszy na niej przyjemny kącik, grono myśliwych zamierzało wypocząć

godzinkę i posilić się śniadaniem, złożonem głównie z suszonego mięsa i ryby wędzonej. Naraz, zerwali się, przerażeni i pobiegli, czempredzej do wybrzeża; o kilka kroków dał się słyszeć chrapliwy i przeciągły ryk, i po chwili oczom ich przedstawiło się stado hipopotamów, pluskających się w chłodnej i głębokiej wodzie, na środku małej przystani, którą utworzył raptowny zakręt rzeki na krańcu wyspy.

— Wybornie zawołał Kalulu—jeden, dwa, trzy pięć hipopotamów! Ubawimy się! Czy umiesz pływać mój biały bracie?

— Umiem—odrzekł Selim.—Dla czego.

— Bo gdybyś nie umiał, to byłoby lepiej, żebyś pozostał tutaj, a Abdallah?

— O i ja potrafię—odparł tenże.

— A więc wsiadajmy prędko do pirogi; ale nie czekajcie... lepiej, żebyście zdjęli z siebie część odzieży... Może nam wypadnie pływać, bo hipopotam rzuca się czasem na pirogę, a wtedy trzeba umykać. Jeśli się nam to wydarzy, zanurzcie się zaraz w głąb rzeki i płyńcie w stronę wyspy. Hipopotam z zupełną łatwością rozpląta człowieka, gdy go złapie! Nasze posuwają się teraz oto w górę rzeki; poczekamy na nie i gdy nas miną, wyjdziemy z zasadzki. Będziecie w samą porę... rozumiecie?

— Doskonale!—odpowiedzieli obaj—Motto i Simba skłonili głowy na znak, że także pojmują, o co chodzi.

Wszyscy wsiedli w pirogę. Simba i Motto wzięli do rąk wiosła; żołnierze zaś, władając zręcznie ha-

kiem, przygotowywali swą broń, żeby ją rzucić za najbliższego hipopotoma.

Ich haki były podobne do używanych przez wielorybników. tylko grubiej obrobione i tepsze.

Długi kawał drzewa służył mu za rękojeść. Drzewo to było ścisłe i świeciło się wskutek długiego używania; widocznie służyło przedtem do mielenia mąki zboża. Od pierwszego wejrzenia można było poznać, że jest twarde i ciężkie. Żelazo było mocne, ząbkowane, dobrze naostrzone i dobrze wypolerowane. U trzonka wisiał długi postrouek, zrobiony z kory baobaba.

Podczas kiedy żołnierze kończyli spokojnie swe przygotowania, Kalulu zrobił znak dwu młodym arabom żeby patrzyli poprzez wąski płot z trzcin, zasłaniający pirogę przed oczami hipopotamów. Zwierzęta, nie podejrzewając niebezpieczeństwa, posuwały się zwolna, na wprost miejsca, gdzie się znajdowali myśliwi.

Jakieżto były wspaniałe stworzenia! Jakie miały szyje! Jaką straszną siłę zapowiadały! Najpiękniejszy angielski wół premjowany lichem wyglądałby przy nich. Nieodgadując, że im co grozi, wypływały na powierzchnię; żeby odetchnąć, chociaż trwało to tylko krótką chwilę, śmiałość ta narażała je bardzo, odsłaniały bowiem prawie całe głowy i szyje. Karki ich, powieki i uszy były jaskrawe—czerwonawo żółte; na pyskach miały plamy takiejże barwy. Wogóle głowa ich przypomina ogromnego konia. Podobieństwo to uderza najbardziej w wypukłych oczach, spi-

czastych krótkich uszach i w zgięciu szyi. Nos jest zupełnie taki, jak u wołu.

Nazwa, jaką mu dajemy, pochodzi z greckiego i znaczy: *koń rzeczny*. Gdyby podróżnicy greccy byli poznali się bliżej z tym gruboskórcem, to nazwaliby go raczej: *Wołem rzecznym* albo *wieprzem rzecznym*. Wtedy chyba można go nazwać *koniem rzecznym* gdy ma głowę dopołowy zanurzoną w wodzie; widząc pysk, nazwałoby go się raczej wołem rzecznym; a znowu z cielska ogromnego i krótkich a ciężkich nóg, wydaje się najpodobniejszym do zbyt tłustego wieprza. Hipopotam ma u każdej nogi cztery palce jednakiej wielkości, osłonięte kopytami.

Hipopotamy ukazały się i zanurzyły poraz ostatni, o kilka kroków nawprost pirogi. Na znak, dany przez Kalulu, Simba i Motto, zagłębiwszy wiosła w wodzie, pchnęli łódź na środek rzeki żołnierz; który miał ugodzić zwierzę, stał w łodzi, przeehylony nieco w tył, z hakiem wzniesionym w górę.

Minutę stał w tej postawie i wszystkie oczy były wpatrzone w rzekę z gorączkowym oczekiwaniem. Z przodu pirogi ukazała się głowa, potem ogromna szyja jednego z większych hipopotamów. Hak został ciśnięty ze zdumiewającą zręcznością i utkwił głęboko w szyi: krew buchnęła wielkimi kłębami. Zranione zwierzę zanurzyło się natychmiast, a woda, którą kręciło w walce, pokrywała się pianą. Piroga została porwana przeciw prądowi z przestraszającą szybkością, a przód zaczął podrzucać ogromne

bałwany. Potem szybkość ta zwalniała, a piroga zaczęła się spuszczać w dół rzeki.

— Cofnąć łódź! Cofnąć łódź! — zawołał żołnierz, który manewrował hakiem. I odwiązawszy koniec postronka, okręconego wkoło haczyka drewnianego przyczepił go do tykwy wysuszonej, którą rzucił na rzekę. W odpowiedzi na jego wykrzyk Motto i Simba zaczęli wiosłować; ale zapóźno, bo w tejże chwili uczuli, że łódź jest wyciągnięta z wody. Wtedy wszyscy stracili równowagę i przechyliła się w jedną stronę, łódka przechyliła się także i wszyscy łowcy wpadli do rzeki.

Kalulu, Selim i Abdallah, uczuwszy, że się piroga podnosi, wstali instynktownie, a gdy było widoczne, że się łódź przechyliła, rzucili się na wodę w trzech odmiennych kierunkach zmierzali ku wyspie. Przez kilka minut, hipopotam był panem pola bitwy; nie widząc żadnego wroga na powierzchni wody, zagłębił się, wydawszy przerażający ryk.

Zaraz potem, Selim ukazał się na powierzchni więcej niż o 20 metrów od miejsca, gdzie się stał wypadek; płynął silnie ku wyspie, do której przybił niebawem. W tej chwili, Abdallah był o 10 metrów od brzegu, Kalulu zbliżał się już, Simba, Motto i dwaj wojownicy znajdowali się tuż przy nim. W minutę ta ostatnia gromadka była na wybrzeżu. Kalulu zgubił fuzję, ale trzymał włócznię w ręku, wojownicy mieli także swe włócznie, Simba i Motto prócz fuzyj mieli duże noże myśliwskie zatknięte za pas.

Gdy się wszyscy otrząsnęli, wyszedłszy z wody, zaczęto dodawać otuchy Abdallahowi, żeby natęzał siły. Był już tylko o 5 metrów od brzegu, Simba i Motto podawali fuzje, żeby mu pomódz wydobyc się; lecz naraz uśmiechnięta twarz Abdallaha przybrała wyraz strasznego przerażenia: wydał rozdzierający krzyk i wody zwarły się nad jego głową.

Wszyscy obecni skamienieli z przestachu. Dopiero po chwili Kalulu wyrzekł ten okropny wyraz: **Krokodyl!**

Wtedy Simba i Motto odetchnęli, inni poczęli mówić jakieś słowa bez związku, a Selim wykrzyknął: **Ratujcie go! Ach, ratujcie biednego Abdallaha!**

Nie potrzebował prosić Kalulu. W mgnieniu oka młody wódz zrzucił z siebie resztę przemokłej odzieży, jaką miał na sobie złamał rękojeść włóczni, przy samem żelazie, żeby go użyć zamiast sztyletu i natychmiast dał nurka, głową na dół, nie pomnąc na grożące mu niebezpieczeństwo.

Zaledwie Kalulu znikł, z kolei Simba i Motto zagłębili się, odrzucili fuzje i uzbroili się w swe duże noże.

Rzeka, wzburzona przez chwilę, znowu płynęła spokojnie, a jej powierzchnia gładka i uśmiechnięta nie pozwalała odgadnąć, co się dzieje w głębiach.

Upłynęło kilka chwil, które wydawały się wiekiem Selimowi; z rękami złożonemi, pochylony nad rzeką, wpatrywał się obłąkanem okiem w tę zdradziecką powierzchnię, za którą znikli jego przyjaciele.

Zaledwie 30 sekund upłynęło, kiedy woda zaczęła się znowu kotłować wir stał się tak gwałtowny, jak gdyby się odbywała walka, woda zabarwiła się, na czerwono, ogon krokodyla ukazał się, bijąc konwulsyjnymi ruchami, które pokrywały ją pianą. Zaraz też potem pojawiła się głowa Abdallaha następnie Kalulu, Simba i Motto ukazali się jednocześnie i wszyscy podążyli do wyspy. Gdy się dostali do brzegu, Selim spostrzegł, że Kalulu podtrzymuje zemdlonego Abdallaha. Dwaj wojownicy znaleźli się w porę, żeby przyjąć to biedne ciało, prawie bez życia już, i z wielką ostrożnością zanieśli je o kilka kroków od rzeki. Kalulu wyjął swe warkocze, żeby z nich wycisnąć wodę i zerwał z głowy struie pióra, powalane błotem; zajmując się tak swą toaletą, śmiał się serdecznie i rzekł do Selima trjumfującym tonem:

— Zawielu nas było na jednego krokodyla Selimie. Tym razem nie dostał mu się jeszcze mój niewolnik, Abdallah.

— Jakiś ty dzielny, jakiś dobry, Kalulu!—rzekł Selim. Łzy spłynęły mu po twarzy i rzucił się w objęcia Kalulu.—Nigdy, nigdy nie zapomnę tego! Za nic w świecie nie chciałbym utracić twojej przyjaźni. Uratowałeś mię już dwa razy; pierwszy raz od śmierci, drugi z rąk Tifouma, a przywiązałeś mię jeszcze bardziej do siebie wyrwaniem Abdallaha z paszczy straszego krokodyla. Jakże ci dziękuję za to?

— Ach, Selimie—odpowiedział Kalulu, ściskając go — czy Kalulu sprawił ci przyjemność, synu

**Mostany?** W takim razie, jest on zadowolony, Kalulu jest bratem twoim, jego serce lgnie do ciebie i lgnie także do tego drugiego araba, przez miłość ku tobie. Tyś dobry, niema w tobie złości. Kalulu jest także dobry, ale znał złych; gdy zły człowiek zbliża się doń, jego serce staje się ponure, zapelnia się goryczą a ręka cbwyta zaraz za włócznię. Szukałem dobroci i znalazłem ją w tobie. Odtąd będę kochał wszystkich arabów przez wzgląd na ciebie; nienawiść nie zostanie między nami; nie rozłączymy się z sobą, dopóki nie będziesz mógł wrócić do swoich. Gdy opuścisz ten kraj, zachowasz w pamięci imię twego brata, Kalulu, będziesz je szeptał, a Duch Niebieski zesła wietrzyk, który je przyniesie aż do mnie. Zobaczmy teraz, jak się ma Abdallah.

Abdallah nie odzyskał jeszcze przytomności. Krokodyl schwycił go był za prawą nogę, cokolwiek powyżej kolana i przegryzł ją aż do kości.

— Jakim sposobem znalazłeś krokodyla?—zapytał Selim Kalulu.

— Dałem nurka w miejscu, gdzie znikł Abdallah i szczególnym trafem padłem tuż za krokodylem. Gdy mię uczuł za sobą, obrócił się z wściekłością, nie puszczając zdobyczy. Nie miałem czasu rozmawiać z nim i prosić, żeby oddał Abdallaha, bom uczuł jego przednią nogę, a właśnie najlepiej jest ugodzić za tą nogą. Jednocześnie czułem, że nadchodzą Simba i Motto, którzy na chwilę musieli mię wziąć za krokodyla. Gdy koniec mej włóczni przeszył mu serce, puścił Abdallaha i miotał się, jak szalony. Niemając



już powodu zajmować się nim, schwyciłem Abdallaha za nogę i w samą porę wydobyłem się z nim na powierzchnię.—Oto jak się miały rzeczy.

— A ty, Simbo?—zapytał Selim.

— Ja, zanurzając się, złapałem rękę Motta, na potkałem ciało Kalulu, którego wcale nie wziął za krokodyla, chociaż on wmawia to we mnie. Potem, namacawszy jedną z tylnich nóg krokodyla, schwyciłem ją. Motto puścił mą rękę i złapał za drugą nogę, a ja kłusem potwora w brzuch, dopókim nie zobaczył, że wlecze za sobą wnętrzności. Wtedy wydobyłem się z wody, i twarz w twarz spotkałem się z Kalulu, Abdallahem i Motto. Zdaje mi się, że krokodyl ma za swoje i że nie będzie już napastował Abdallaha.

— Czy myślisz, że Abdallah prędko przyjdzie do siebie?

— O, z pewnością, mój Simbo; połknął tylko trochę wody, a potem zemdlął z bólu. Patrz, oddycha... otwiera oczy...

Rzeczywiście, otworzył on oczy, potem westchnął głęboko i zapytał, gdzie się znajduje.

— Wśród przyjaciół! — odpowiedziano mu radośnie. Gdy przyszedł zupełnie do siebie, zaczął mówić i bardzo spokojnie roztrząsał wypadek, który tylko co nie pozbawił go życia. Dowiedziawszy się, co Kalulu uczynił, chciał mu się rzucić do nóg, ale młodzieniec nie dopuścił do tego. Ukłękł nawet przed nim i wziął go w objęcia; Abdallah, korzystając ze sposobności, pocałował go w czoło.

Gdy Abdallahowi nie grozi już niebezpieczeństwo, dwaj wojownicy, poszli wyszukać pirogę, którą znaleźli uwikłaną w trzcinach, co porastały wzgórek na wyspie. Tykwa wciąż pływała: hipopotam był więc niedaleko. Wojownicy wydali okrzyk tryumfu... Simba, Motto i Kalulu pobiegli ku nim; wspólnymi siłami wyciągnęli zwierzę na mieliznę i wladowali na pirogę to soczyste mięso, w którym smakosze Afryki środkowej mają tak wielkie upodobanie.

Zapadła noc.

Przeniósłszy rannego do pirogi, zaczęto płynąć w górę rzeki. Ileż pieśni prześpiewano, wiosłując; byłyto piosenki myśliwskie i wiosłarskie, nielicząc improwizacyj na temat hipopotama i krokodyla. Szczęściem, żadna z tych ofiar, nie mogła już tego słyszeć. Same wrzaski chórów odjęłyby im przytomność.

Około północy zabłysły ognie rybaków nieopodal wsi Katalambuli.

Zawsze jest miło wracać do domu; ale z jaką radością dąży się do niego po takich niebezpieczeństwach, i takich trjumfach!

Selim był szczęśliwy. Wiódł on z Kalulu takie właśnie życie, jakie obrałby sobie, gdyby nie to, że serdecznie pragnął wrócić do Zanzibaru, zobaczyć swe rodzinne strony i towarzyszy zabaw dziecięcych przebiegać z Abdallahem gaje pomarańczowe, a przedewszystkiem uściskać matkę, tem goręcej, że ojca już nie miał.

Jako przyjaciel Kalulu, widywał on tylko uśmiechnięte twarze i może to było przyczyną jego sym-

patyj do kraju uatutasów. Liemba podobała mu się także, pomimo ciemnej barwy. Nie zapomniał okropnej sceny, jaka miała miejsce nieopodal wyspy, ani w chwili, kiedy uśmiechnięta twarz Abdallaha, wyraziła nagle niewypowiedziany przestrah, ani tej również, kiedy go pochłonęła. Mimo to wszystko, a może dlatego właśnie, Liemba czarowała go.

Nowy nieznanemu mu wdzięk miały dlań: dzikie lasy, falujące zboża, życie sielskie, tak proste i tak spokojne; śpiew ptasząt, a nawet wrzaski papug. Jak widzimy, był w takim nastroju, że wszystko przedstawiało mu się z powabnej strony.

Rzeczywiście, Selim brat Kalululu—nie był już Selimem Zanzibarskim; boleść, cierpienia przeobraziły go. On, niegdyś tak lekki, tak wesoły, stał się rozmarzonym, prawie melancholijnym. Może źródłem tej melancholji, łagodnej zresztą, były smutne wspomnienia, które samotność i rozmyślania wciąż odświeżały. Zdawało się, że zwykłym przedmiotem jego rozpamiętywań była śmierć ojca, którego tak czule kochał i przyjaciół, tak drogich sercu, tragiczny koniec Izy i Mussuda jego własna przygoda i ta, która o mało nie spowodowała śmierci Abdallaha...

Myśli te były niebezpieczne dla wyobraźni; na szczęście, spokojny tryb jego życia, tkliwa przyjaźń Kalulu, tak miłe towarzystwo małego Abdallaha, silna wiara w to, że mamy nad sobą Boga, zarówno dobrotliwego jak potężnego, że Bóg ten będzie umiał wybrać stosowną chwilę dla położenia kresu cierpie-

niom swego sługi—wszystko to łagodziło jego cierpienia.

Abdallah chorował dosyć długo; wskutek otrzymanych ran wpadł on w gorączkę, podczas której Simba, Motto, Kalulu i Selim doglądali go kolejno.

Selim i Kalulu nie pomyśleli o jakiejbądź rozrywce, dopóki ich towarzysz był cierpiący.

Abdallahowi życie wydawało się tak smutne, jak Selimowi—wesołe. Brakowało mu wszystkich starań, jakiemiby go otoczono w Zanzibarze, i wygod do których przywykł. Gorączka wzmagała się wskutek tego, prześladowały go straszne mary. Jadał tylko kaszę którą Simba gotował, jak mógł najlepiej, ale nie był on znakomitym kucharzem. Pomimo to wszystko silna budowa ciała wzięła górę. Gorączka ustąpiła a rany na nodze, co rano obmywane starannie przez Simbę, zaczynały się goić.

Skoro wzógł się trochę na siłach, bladej i chudej jak mara, co wieczór szedł wsparty na Selimie i Kalulu, przysłuchiwać się śpiewom uatututasów i raczej krzykliwym, aniżeli harmonijnym koncertom doboszów. Gdy komu nudno, nie wybredza on w wyborze rozrywek.

Widok małego araba, tak bladej i wycieńczonego, silnie wzruszał serca matek, od których odbierał zwykle po drodze różne oznaki sympatji. Słyszał słowa, trafiające wprost do serca, których się nie spodziewał z ust tych biednych, ciemnych murzynek. Przekonał się też, że serce kobiece jest wszędzie je-

dnakie: miękkie, tkliwe i szlachetne, i że barwa skóry bynajmniej nie oddziaływa na nie. Dlatego też bezwiednie zaczął inaczej sądzić rasę negrów, aniżeli kiedy żył wesoło i bez trosk w Zanzibarze.

I Selim także nie był obojętny na słowa sympatji, jakie go dochodziły zewsząd. Nietylko jeden Kalulu zjednał sobie jego serce: zaczynał uważać wszystkich negrów za swych braci.

Było szczęśliwy czas. Abdallah wzmacniał się z dniem każdym, a Selim był tak dobrym towarzyszem, że lepszego nie mógł Kalulu wymarzyć.

Podniecający dźwięk bębnów obudzał w nim czasem chęć do tańca; opuszczał więc wtedy Abdallaha, żeby poskakać z negrami.

Te śpiewy, te koncerty na bębnach, te tańce bez końca, były dla Abdallaha niejako przedstawieniami teatralnymi, które nie przykrzyły mu się nigdy. Należy też przyznać, że niektóre z tych pieśni są szczególnie poetyczne; że ich melodia niezawsze jest dzika; że dźwięk bębnów zrazu drażni, lecz zwolna pociąga, jakby mocą czarów.

Po upływie dwu miesięcy Abdallah mógł już chodzić bez pomocy przyjaciół. Lubił on waleśać się tu i owdzie, ale miał nieprzewyciężoną odrazę do brzegów Liemby. Widok tych ciemnych wód, w których o mało nie spotkała go tak straszna śmierć, budził w nim nerwowy wstręt. Gdy mu się nudziło we wsi, przebiegał ogrody i lany ze zbożem.

Pustka w lesie sprawiała mu taką samą przy-

krość, jak widok Liemby: wołał towarzystwo gospodyń i poczciwych rolników.

Pewnego dnia, Kalulu zaproponował polowanie na słonie.

— Dawno już chciałem wam sprawić tę przyjemność — rzekł do przyjaciół — wiedziałem jednak, że byłoby to daremne. Ale teraz, kiedy Abdallah jest całkiem zdrow i tak swobodnie chodzi sobie wszędzie, jak gdyby nigdy nie był pokąsany przez krokodyla...

— Polowanie na słonie! — przerwał Selim — ależ ja niczego tak nie pragnę... Mam swoją fuzję, którą wy dobyłem z Liemby, chciałbym więc strzelić do słonia. Motto znakomicie poluje na słonie; on mię nauczy łachotać im ogon. Nie opowiadał ci tej historii? Jestto nieprawdopodobne, a jednak prawdziwe, bo Motto nigdy nie kłamie.

— Doprawdy, Motto opowiada, że połachotał słoniowi ogon? Jeśli to prawda, to niczem w porównaniu nasz stary czarodziej, Soltali; a jednak Soltali słynie jako łowca słoni. Nie, Soltali nigdy nie dokazał czegoś podobnego. Zobaczymy zresztą, jak sobie poczynać będzie z prawdziwym dzikim słoniem. Przyjrzymy się temu; nieprawdaż Selimie?

— O ja nie spuszczę go z oczu, bądź pewien; ale kiedyż się wybierzemy?

— Jutro o świcie. Dziś wieczór Soltali zaśpiewa pieśń łowiecką do słonia i da każdemu z myśliwych amulet, bo jest zastary, żeby nam towarzyszyć. Wezmę z sobą pięćdziesięciu ludzi. Wszak

to piękny poczet? Jednakże, gdyby nas Ferodja złapał w lasach, byłaby zła sprawa! Niedługo nosiłbym głowę na karku... tembardziej, że po mojej śmierci on zostałby królem w mojem miejscu.

— Chyba nie wybierasz się w jego strony! Gdybyś miał ten zamiar, wolałbym zostać tutaj... Mam już dosyć Ferodji — rzekł Selim, niezartem przerażony.

— Nie lękaj się, bracie. Nie chciałbym zbliżyć się do niego, nawet z pięćdziesięciu najwaleczniejszych uatutasów. Pójdziemy w przeciwnym kierunku, ku południo-wschodowi. On mieszka na południo-zachodzie, na południu jeziora Liemba.

— Doskonale! Aleś mi napędził strachu... Drzę cały na wspomnienie Tifouma, a Tifoum jest razem z Ferodją.

— Jednakże, mój bracie, potężnie uderzyłeś go pięścią. Motto, który patrzył na to, powiada, że byłto nie lada policzek—a on zna się na tem. Idź przysposobić swą fuzję, kule i proch zaczarowany, a wieczorem wysłuchaj pieśni czarodzieja, bo inaczej nie powiodłoby ci się polowanie.

Okolo 9-tej wieczór, przy blasku księżycy, cała drużyna udała się na „plac bębnow“. Było dziesięć tych instrumentów rozmaitej wielkości; a za każdym stał chłopiec, wzrostu odpowiedniego do bębna. Najmłodszy z nich miał lat dziesięć, najstarszy — dwadzieścia.

Przy bębnach stały naczynia z pombe i winem z babki, żeby grajkowie, śpiewacy i tancerze mieli

się czem orzeźwić. Przeddzień polowania jest tam uważany za chwilę prawie tak uroczystą, jak powrót z wielkim zasobem kości słoniowej.

Łowcy stanęli w pierwszym rzędzie dokoła bębnow i naczyń z pombe. To pierwsze koło było objęte drugim, liczącem trzysta osób: mężczyzn, kobiet i dzieci.

Każdy z myśliwych miał na głowie jakieś ozdoby fantazyjne. Te pierwotne koafiury składały się przeważnie z rogów nosorożca i bawołu, ze skór i grzyw zebry, ze skór kozlich. Kalulu przystroił się w pióra strusie, Selim, Simba i Motto w turbany. Niektórzy dźwigali nawet garnki gliniane i drewniane misy.

Bębny zagrzmiały, głosy zawyły, ręce klaskały rytmicznie, a nogi zaczęły podrygiwać wesoło, gdy się ozwała pieśń wioślarzy.

Naraz zapanowała głęboka cisza. Ukazał się wielki Soltali, najlepszy łowca słoni.

Powstał szmer podziwu: koafiura Soltali'ego była z pewnością najosobliwsza ze wszystkich. Była to trąba słonia, której podstawa obejmowała głowę, podczas kiedy trąba, napchana sianem, stała prosto.

Trąba ta musiała być bardzo ciężka i starzec dźwigał ją tylko przez próżność. Gdzież się ona nie gnieździł!

Prócz tego, miał naszyjnik z ogonów żyrafich o szerści czarnej, jak atrament, i naramienniki z kości słoniowej; w ręku trzymał dwie wysuszone ty-



kwy, do połowy napełnione kamykami, któremi grzechotał w równych odstępach czasu.

Ukazawszy się, zaczął od tego, że obszedł trzy razy koło, przyglądając się uważnie każdemu z myśliwych i potraszając kolejno tykwami. Następnie stanął na środku koła, wykręcał jakiś czas członki swoje, poczem dopiero zaczął pieśń polujących na słonie.

Najpierw opiewał swoje czyny, podstępny i trjumfy, swoją odwagę i niebezpieczeństwa, jakie mu groziły. Był to niejako przedmowa do rad, jakich miał udzielić. Potem opowiedział wszystkie szczegóły polowania; uczył, w jaki sposób najpewniej i najskuteczniej napastuje się, drażni, rozjątacza zwierzę i zasłania siebie od jego wściekłości. Każdemu wyznaczył zadanie do spełnienia i zalecił wszystkim jaknajwiększą karność w tej śmiertelnej wojnie z królem lasów. Jego napomnienia były roztropne i dokładne: było zupełny poemat dydaktyczny opiewający polowanie na słonie.

Skonczywszy pieśń, rozdał myśliwym, po trosze prochu magicznego, który składał się, jak zwykle, ze spalonego mózgu zwierzęcia i z popiołu drzewnego. Talizman ten, poświęcony różnemi gestami i zaklęciami czarodzieja przynosił niezawodne szczęście w przedsięwzięciu. Takie przynajmniej było przekonanie czarodzieja i uatutasów.

Śpiewano, tańczono i pito *pombe* aż do rana. Nazajutrz o świcie, Kalulu, Selim, Simba i Motto wyszli głównemi wrotami ze wsi, z konwojem kil-

kudziesięciu żołnierzy żwawych i silnych, z których najstarszy nie miał lat 30-tu. Róg przewodnika rezlegał się wesoło i przez świeże poranne powietrze słał pożegnanie drużyny łowców przyjaciółom, pozostającym we wsi. Niezadługo myśliwi znikli na łąkach zboża, a ludność wioskowa natężyła słuch, dopóki dawały się słyszeć fanfary grającego w róg.

Kalulu wziął z sobą dwie włócznie z żelazem szerokim i ostrem, pół tuzina oszczepów, znacznie lżejszych od włóczni, z drzewcem długim i giętym. Prócz tego miał łuk i kołczan pełen strzał, zawieszony przez ramię.

Selim, pełen radości, szedł za Kalulu; droga była bowiem tak wąska, że nie mogli iść obok siebie—miał on fuzję i to nie lada jaką, ale własną fuzję, sprowadzoną z Londynu, z nabojami, umyślnie dla niego zfabrykowanymi.

Odnalazł on tę fuzję i amunicję w składach Katalambuli.

Prawdopodobnie byłato piękna „Joe Menton“ z lufami z najlepszej stali, krótkimi i dobrego kalibru. Amir ben Osman dał znaczną sumę swemu agentowi z Bombaju na sprowadzenie jej z Anglii. Jakim szczęśliwym trafem ta fuzja dostała się napowrót do rąk pierwszego właściciela?

Oto, gdy rozdzielano łupy, miała ona przypaść Olimali'emu; ale Ferodja, widząc, że to cenna broń, zachował ją na podarek dla Katalambuli.

Król, któremu nie chodziło o fuzję, zwłaszcza, że nawet nie umiał nią władać, kazał ją złożyć

w skarben; a Selim, udawszy się tam pewnego dnia, z Kalulu, żeby się zaopatrzyć w broń myśliwską, spostrzegł odrazu swą piękną fuzję angielską.

— Cóż za szczęśliwy traf, myślał Selim, gdy lekkim krokiem szedł z nabitą fuzją za Kalulu, gwarząc wesoło i obracając wciąż głowę ku Simbie i Motto. Jakże twarz jego była rozpromieniona, jak błyszczały jego wielkie oczy!

Simba miał ową sławną fuzję, zawsze tak starannie wyczyszczoną, z którą się nigdy nie rozstawał; prócz tego dźwigał tak ogromną włócznię, że nawet Goljat poradziłby jej z trudnością. Motto niósł także swą fuzję i dwie włocznie o wąskim i śpiczastem żelazie.

Inni myśliwi uzbrojeni byli we włocznie i strzały; niektórzy zaopatrzyli się nawet w tarcze.

Nic weselszego, jak wybieranie się na wyprawę myśliwską. Uczestnicy jej zgóry radując się, na przeróżne przyjemności, śmieją się, figlują, żartują, a ten rodzaj upcjenia trwa, dopóki uciecha nie „napoczęta“ i wszystko jest świeże błyszczące. Można by to nazwać „kwiatem dobrych czasów“, które stają na myśli łowcom, ile razy, siedząc przy swem ognisku, przypominają sobie przeszłość.

Po łąkach zboża, nasza drużyna, z Kalulu na czele, przebywała rozległe błonia. Mali uatutasy, pasąc trzody, bawili się w wojnę, albo w polowanie. Tu i owdzie kobiety kopały ziemię motyką, albo w ustronnej wiosce piastowały niemowlęta na progu chaty, w cieniu wielkich drzew; negrzy z siwemi

głowami, siedząc na stołkach o trzech nogach, opowiadali jeden drugiemu, troski, radości i wojenne czyny z dawno minionych lat; a murzynięta o cienkich nóżkach i dużym brzuchu, słuchały z natężoną uwagą i wytrzeszczonymi oczami.

Nakoniec strzelcy ujrzeli ciemną linię na horyzoncie: było wielki las, aż nazbyt dobrze znany Selimowi. Weszli oni pod ciemne skłópienie puszczy i dopiero po ośmiodniowym brodzieu dotarli do miejsca, gdzie miało się odbyć polowanie. Szerokie drogi, na których ziemia była ubitą szeroką i ciężką nogą słoni, zdawały się zrównane walcem i tak gładkie były, jak gdyby je wylano asfaltem. Łatwo było poznać, że sąto zwykle szlaki tych ogromnych zwierząt.

Ziemia, w onej okolicy, była pełna dołów podłużnych i krętych w części porośniętych krzakami, gąszczami i kępami trawy. Groblę pomiędzy temi moczarami pokrywały także zarośla. Kolosalne drzewa rozciągały nad niemi liściaste, sklepienia a słonie, nie lękając się żadnego wroga, szukały tam ochłody w upalne godziny dnia.

Okolo zachodu słońca, łowcy, przebywszy bajury, dotarli do gęstwiny, w której wznosiły się, tu i owdzie, ogromny baobaby. Chcąc się rozłożyć obozem, powycinali krzaki i małe drzewa dokoła jednego z tych olbrzymów, żeby zrobić rodzaj szańca, wystarczającego dla obrony od zwierząt drapieżnych i włóczęgów. Następnie budowali sobie chaty z trawy i gałęzi.

Gdy chaty stanęły, jedni puścili się w las po dzikie owoce, drudzy po płaskie kamienie do miążdżenia zboża, inni po drzewo na ogień, inni jeszcze po wodę; ci zaś, co zostali w obozie, czyścili naczynia kuchenne.

Po wieczórzy opowiadano historie wkoło ognisk i zwolna porzucali się wszyscy do swych chat na spoczynek nocny.

O brzasku dnia, Kalulu wyprawił pięciu ludzi, żeby rozpoznali okolicę, a w szczególności bajury, nieopodal których znajdował się obóz.

W jaki kwadrans po wyruszeniu w drogę, jeden z myśliwych powrócił, dał znak milczenia i szepnął: Dziesięć słoń!

Niezadługo wszyscy byli gotowi. Selim nie, mógł ustać w miejscu z niecierpliwości.

Motto zbliżył się do Kalulu i przypominał mu że stary Soltali zalecił napastować jednego tylko słońa na raz. Podjął on się odłączyć, ze swymi żołnierzami, jednego słońa od stada, a przez ten czas, ci, co posiadali fuzje, mieli nacierać na innego; w ten sposób bowiem można było zabić ich dwa. Kalulu zgodził się na ten plan.

Łowcy, wyszedłszy z obozu, utworzyli długi szereg; Selim, Motto i Simba puścili się cicho i szybko w kierunku, jaki im wskazano, na lewo od uatusów.

Ci ostatni, na dany znak, wysunęli się w milczeniu; przyłączyły się też do nich i przednie stra-

Z ziemi niewolników.

12

że, które, ukryte za krzakami, wciąż śledziły słonie. Te zwierzęta gasiły pragnienie i, dla igraszki, oblewały wodą grzbiety jeden drugiemu.

Gdy myśliwi ukazali się na otwartej przestrzeni, otaczającej staw, słonie obróciły się, żeby zobaczyć śmiałych intruzów, co naruszyli ich spokój.

Wszyscy stanęli, aby się przyjrzeć tym potwornym zwierzętom, które zamierzali pozabijać. Jakiż-to był widok!

W nieobecności czaredzieja, Kalulu wystąpił z gromady, jako przywódca polowania, i z wielką włócznią, wzniesioną do góry, jak gdyby nią chciał ugodzić, zaintonował pieśń o bliskiej śmierci upatrzonogo słonia. Zwierzę było zaledwie o trzydzieści kroków; za niem inne słonie z zadziwieniem przypatrywały się ludziom.

Pieśń przedśmiertną opiewała, że koniec zwierzęcia bliski; że Kalulu umyślnie po to przybył z nad brzegów Liemby, żeby je zabić; że, jeśli chce pożegnać się z puszczą, błoniami i moczarami, to powinien spieszyć się, bo Soltali przepowiedział jego śmierć, a Soltali nigdy nie kłamie.

Po odśpiewaniu ostatniego wiersza, Kalulu wyprostował się, wyciągnął prawe ramię, i ostre żelazo jego włóczni zatoneło w piersi słonia.

Ten jego czyn został przyjęty okrzykami. Słoń, uczuwszy ból, ryknął z wściekłości, i wielkim krokiem puścił się ku swemu wrogowi.

Wszyscy dodawali odwagi uciekającemu Kalulu i doradzali mu, jak się ma ratować. Napróżno draż-

niono słonia, rzucając weń pociski: nie ustawał w pogoni. Szczęściem, Kalulu, mając na pamięci napomnienia Soltali'ego, wymykał się, co chwila, to w jedną to w drugą stronę; gdyby nie to, słoń schwyciłby go i zmiażdżył w mgnieniu oka, a w ten sposób zamierzał się raz po raz w powietrze i trwało to dosyć długo, zanim spostrzegł, że niema przed nim wroga.

Ile razy obrócił się, widział, że go osaczyli myśliwi i że jest odłączony od reszty stada; inne słonie, rozjątrzone, nacierały tymczasem na oślepię, w innym kierunku, na drugiego wroga, który miał groźniejszą broń, aniżeli włócznie i pociski.

Zdawało się, że słoń, za jednym rzutem oka, zdaje sobie sprawę z tych okoliczności. Jednocześnie rozległy się wystrzały. Ten niezwykły huk nie wstrzymał słonia w biegu; był zbyt zajęty sobą, żeby się turbować o towarzyszy: dalej ścigał on z nieprzepartą gwałtownością swego nieuchwytnego nieprzyjaciela. Inni łowcy dręczyli go wciąż. On biegł i miotał się zapalczywie, a ciągle bez skutku; tyle tylko miał w zysku, że za każdym nowym wysiłkiem otrzymywał nowe rany. Włócznie i strzały zadawały mu straszny ból. W końcu, zdyszany, osłabiony utratą krwi, stanął nieruchomy jak skała, stawiając czoło wrogom. Jeszcze ich wyzywał, jeszcze był groźny, chociaż go przeszywały setki strzał.

Pamiętni na rady starego Soltali'ego, uatutasy nie kwapili się zbliżyć i osaczając go wciąż, czekali zdaleka, by upadł.

Niedługo przyszło im czekać. Wkrótce to ogro-

mne cielsko zachwiało się powoli, z prawej strony na lewą; potem zgięło się lewe kolano: zwierzę pochyliło się naprzód i nareszcie runęło ciężko na bok, niby słomki krusząc pociski, jeżące się na jego skórze.

Porzućmy teraz uatutasów, rozradowanych odniesieniem zwycięstwem, żeby się przekonać, co się dzieje po drugiej stronie.

Gdy Selim, Simba i Motto odłączyli się od uatutasów, Motto szedł obok Selima i pocichu uczył go, żeby strzelał tylko na pewno i to na ostatniego słonia, co go będzie mijał; żeby mierzył za ucho, bo ponieważ uszy będą sterczały, nic łatwiejszego, jak celować, a ten punkt będzie doskonały. Selim obiecał zastosować się do tych wskazówek i zajął postępek za ostatniem drzewem w kierunku stawu.

Simba umieścił się o kilka metrów dalej na lewo od Selima, Motto zaś po lewej stronie od Simby. Tak rozstawieni, czekali.

Selim mógł z miejsca swego widzieć Kalulu, gdy wyłączył się z szeregu łowców, usłyszał jego pieśń przedśmiertną i, bojąc się niemal odetchnąć, z palcem na cynglu, niecierpliwiał się trochę. Widział jak Kalulu rzucił pocisk, a potem uciekł; słyszał ogłuszające krzyki uatutasów. Właśnie w chwili, kiedy mu serce najmocniej biło, kiedy tętna najgwałtowniej uderzały, kiedy mu w uszach dzwoniło, przestraszone słonie nadbiegały ku niemu z hukiem piorunów. Stosownie do otrzymanej przestrogi, czekał, żeby go ostatni słoń minął; wtedy dopiero zwalczył potężnym



wysiłkiem woli wzruszenie, pod wpływem którego serce mu biło a ręka drżała, i wycelował: oba strzały padły jednocześnie. Fuzja, nabita dwiema kulami, odepchnęła i powaliła młodego myśliwego. Padając, widział, że słoń zachwiał się i padł, niby martwa bryła.

Selim podniósł się szybko, podjął z ziemi fuzję i zaczął się rozglądać wkoło. Słonie rozpięzchły się i uciekały co sił, zostawiając za sobą dwóch kulających maruderów. Simba i Motto już je doganiali. Selim włożył, jak poprzednio, dwa naboje w fuzję, obejrzał starannie pistony, i rzuciwszy dumne spojrzenie na słonia, którego ubił, zaczął biedz za Simbą i Motto.

Jego dwaj przyjaciele nabijali fuzje, strzelali z nich i znowu nabijali w biegu; pogoń była łatwa, gdyż zwierzęta te otrzymały ciężkie rany.

Niezdługo doścignął ich; była-to dlań zabawką umykać, gdy który z dwóch słoni obracał się i nacierał na niego. Biedne stworzenia zatrzymały się niebawem; Selim, chowając się przed nimi, zboczył z drogi; potem szedł coraz bliżej od drzewa do drzewa, a gdy się znajdował tylko o kilkanaście kroków od najbliższego słonia, wycelował mu za uchem i strzelił. Rezultat był tak pioranujący, jak za pierwszym razem: słoniowi drgnęły kilka razy, konwulsyjnię, przednie nogi, powalił się i więcej nie powstał.

Selim nie miał czasu zastanawiać się długo, bo drugi słoń obrócił się raptownie i zaczął nacierać nań z wściekłością. Selim nie ruszył się z miejsca,

dopiero kiedy słoń zbliżył się tuż do drzewa, rzucił on fuzję, skoczył w bok i stanął za innym drzewem. Rozjątrzony słoń ścigał go wciąż. Na prawo, na lewo, naprzód, wtył, obracał się, usiekał, krył, przeskakiwał od drzewa do drzewa, jakby mocą czarów. Naraz, całkiem pozbawiony sił, zachwiał się, nogi zaczęły się słaniać, ukląkł i głowa ciężko mu zwisała.

Simba poszedł podnieść fuzję Selima i począł wychwalać jego odwagę i zimną krew, a Motto przywtarzał mu.

Simba twierdził, że Selim jest najcelniejszym łowcą słońi na całej kuli ziemskiej, a Motto dodał, że jak świat światem, nie widziano podobnego jemu.—Mając dopiero szesnaście lat, zabił dwa słońie; cóżto będzie, gdy się stanie dojrzałym mężczyzną! zawołał z zapalem.

— Będzie ich zabijał po cztery!—odpowiedział Motto.

I wszyscy jednym głosem orzekli: Selim jest wielkim strzelcem.

— Ciekawym, jak się tam powodzi uatutasom—odezwał się znów Motto.—Słyszycie ich krzyki? Zabili swego słońia. Pobiegnijmy do nich... Albo nie.., Ty, Simbo, zostań tu lepiej z naszym młodym panem, a ja zaniósę im wiadomość o jego czynie.

Motto popędził w stronę stawu. Na środku równiny zobaczył on uatutasów, zajętych ćwiartowaniem i krajaniem swej zdobyczy, przyczem podnosili taką wrzawę, że mogła odstraszać słońie, znajdujące się w pobliżu.

Gdy się zbliżył do ich gromadki, otoczyli go i Kalulu pokazał mu z trjumpfem zwierzę, w które rzucił pierwszy pocisk, a potem zapytał, czy się im powiodło.

Motto odpowiedział:

— Selim zabił dwa słonie, a ja jednego.

— Selim... dwa słonie! Jaktło! Mały Selim, mój brat?

— On sam—odrzekł Motto.

— Eyah! eyah! — wykrzyknęli wszyscy obecni, a Kalulu oniemiał ze zdumienia: nie wierzył swym uszom.

— Selim czeka; chciałby je pokazać swemu bratu—odezwał się znów Motto.

— Biegnę! Selim jest bohaterem, lwem.. słoniem! prawda, Motto?

— On jest młodym arabem... synem naczelnika arabskiego—odpowiedział tenże z prostotą.

Oprócz tych, co zostali, żeby wypilować kły słonioniowi, wszyscy pospieszyli zobaczyć tę osobliwość—trzy słonie ubite.

Pierwsza ofiara Selima leżała w takiej samej pozycji, w jakiej padła, z kłami, do połowy wrytymi w ziemię. Kalulu przyjrzał się ranie, zmierzył okiem jej otwór i zwracając zdziwione oczy do Motta, rzekł:

— Kalulu widział w swojej wsi dużo ludzi, zabitych kulami żołnierzy Kizezy, ale jakaż to fuzja mogła zrobić takie ogromne dziury w głowie tego słonia?

Motto objaśnił go wtedy, że Selim dał dwa

strzały jednocześnie, że obie kule razem wryły się w głowę i zadały jedną tylko ranę.

Kalulu pozostawił dziesięciu ludzi, mających odpilować kły, a sam podążył do Selima i Simby, którzy wciąż jeszcze siedzieli przy drugiej ofierze Selima i tam również przekonał się, jak straszne spustoszenie zrzucił podwójny strzał w głowie nieszczęsnego słonia.

Kalulu rzucił się na szyję Selimowi, a reszta drużyny patrzyła na młodego araba ze zdziwieniem.

Wieczorem wszystkie kły były wypilowane. Przyniesione do obozu część mięsa słonięgo, mianowicie nogi, serce, wątrobę i żebra, które zaczęto piec przy ognisku: Podczas kiedy się mięso to piekło, opowiadano sobie wkoło ognia zdarzenia całodzienne; przechodząc z ust do ust, przybierały one coraz większe rozmiary i odrazu przybrały charakter legend.

O północy wszyscy spali.

Strzelcy nasi posunęli się jeszcze więcej na południe i w niespełna dwa tygodnie ubili przeszło dwa dziesięcia słoni. Przeciążeni kością słoniową, puścili się z powrotem do stolicy, niemogąc udźwignąć więcej.

Obdano królówi ostatnia postać według zwy-  
czaju pogańskiego. Wtem z nim pochowane zosta-  
ły jego wierzni, jak i królom podobnie stało.  
Tymczasem nastąpiła burza, która wywróciła  
całą kłódkę i przesała ją w powietrze. Wtedy, starannie  
wyczerpani, najawili się do domu obywateli  
i zaczęli opowiadać, że król i jego dwór  
byli zabici przez burzę i że król był  
zabity przez burzę i że król był zabity  
przez burzę i że król był zabity przez burzę.

### ROZDZIAŁ X.

Kalulu zostaje królem. — Selim prosi, by mu pozwolił wrócić do Zanzibaru. — Niezadowoleni. — Ambicja Ferodji. — Rady Tifouma. — Zdradzieccy goście.

Gdy wędrowcy przybyli, po dwutygodniowym pochodzie, do wsi Katalambuli, dowiedzieli się, że król umarł właśnie i że go oplakuje całe pokolenie.

Był to straszny cios dla Kalulu, bo stary kochał go czule i on sam był bardzo przywiązany do stryja.

Dowiedziawszy się o swej stracie, nie mógł przemówić i drżał cały. Po niejakej chwili udał się do zwłok zmarłego i zalewał się nad nimi gorzkiemi łzami; potem zamknął się w swej chacie znowu płakał, dopóki nie ulżył sercu.

Oddano królowi ostatnią posługę według zwyczaju miejscowego. Wraz z nim, pochowane zostały jego włócznie, luk i kołczan, pełen strzał. Przy głowie umieszczono naczynie pełne wody, pomieszanej z mąką z prosa i wszystko to przykryto szerokim kawałem kory drzewnej. Wtedy, starannie wrzuciwszy napowrót ziemię do dołu, odśpiewano pieśń pogrzebową, zabito na grobie dwa czarne woły, nalano nań pombe i wina z rośliny babka, i starszyzna zaczęła niezwłocznie obradować nad wyborem króla.

Znaczna część zgromadzenia głosowała za Fero-dją, jako krewnym króla. Większość, którą stanowiło tylko kilka głosów, wołała Kalulu, gdyż był nie tylko synowcem, ale i synem przybranym Katalambuli. Zresztą Kalulu odznaczał się męstwem: obiecywał być kiedyś większym wojownikiem, aniżeli Ferodja; mógł nawet przewyższyć Katalambę i Loralambę, ojca ostatniego króla. Można było liczyć nań i zjednał już sobie serca pięknemi przymiotami.

Spór roznamiętnił się; stronnicy Ferodji grozili, iż się odłączą od pokolenia, przystaną do Ferodji i powrócą z włócznią i mieczem, żeby uciąć głowę Kalulu.

Zamieszanie doszło do szczytu; od groźb miało już przyjść do bójki, zanosilo się na rozlew krwi, kiedy Soltali powstał z miejsca swego, powszechnie uznaną powagą i wymową uciszył kłótnię i oddzielił kilku żołnierzy z pomiędzy stronników Ferodji.

Ostatecznie, dzięki jego wpływowi, Kalulu wziął górę; tylko garstka upartych stała wciąż po stronie Ferojdji.

Podczas kiedy większość wysyłała gońców do Kalulu z wieścią o tem, co uchwalono, niezadowoleni podnieśli się i opuścili wieś, grożąc, że powrócą z Ferojdją i zemszczą się w straszliwy sposób.

Kalulu pospieszył do zgromadzenia. Soltali podniósł się, podczas kiedy reszta starszyny i rady siedziała dalej, wziął do ręki trochę *dowa* \*) i potarł nią czoło, policzki, nos i podbródek, mówiąc przytem gromkim głosem: Bądź królem! Bądź odważnym, bądź silnym! Bądź dobrym! Niechaj wszyscy wrogowie pierzchają przed tobą!

Dostojnicy, jeden po drugim, powtórzyli obchód symboliczny i życzenia Soltali'ego.

Na odgłos bębnow, żołnierze uszeregowali się w dziedzińcu. Kobiety i dziatwa obstały ich dookoła, a Soltali, stanąwszy przed tym tłumem, zaimprovizował i zaśpiewał pieśń na cześć nowego króla, jego przymiotów i czynów rycerskich, skończył zaś życzeniem: „Oby król Kalulu żył w jaknajdłuższe lata!”

Całe zgromadzenie powtórzyło za nim: Oby król Kalulu żył w jaknajdłuższe lata!

Nowy król wystąpił wtedy z mową do swojego ludu. Przyniósł on naśladować we wszystkim

---

\*) Mieszanka wody i mąki z prosa, uważana przez pokolenia Afryki środkowej za potężny talizman.

swego ojca przybranego: jak on, kochać dobrych a nienawidzić złych; być sprawiedliwym, silnym, odważnym, i—dopóki sam nie wzrośnie w mądrość, słuchać rad tak mądrych ludzi, jak Soltali. Zobowiązywał się, w razie potrzeby, umrzeć za uatutasów, którzy go obrali.

Po tej przemowie udał się do swej chaty; Selim, Abdallah, Simba i Motto oczekiwali go, żeby mu okazać współczucie w strapieniu, jakie go nawiedziło.

— Ach, mój stryj był taki dobry i tak go kochałem!—odpowiedział Kalulu. Doznawałem od niego macierzyńskiej czułości. Dumny był ze mnie; mówił, że zrobię wielki naród z uatutasów. Znajdował, że podobny do jego ojca; że tak samo trzymam głowę, jak on. Jeszcze w ten dzień, kiedyśmy wyruszyli na polowanie, mówił mi, co powinien robić, gdy zostanę królem. Radził, że znaczną ilością wojska obejść Ututa dokoła, żeby na własne oczy zobaczyć tych, co płacą daniny i tych, co nie płacą; bo gdy król nie pamięta o swych ludach, to i ludy zapominają o tem, że mają króla i chcą działać według własnej woli. Zaczyna się to od kłótni, kończy się na wojnie pomiędzy pokoleniami, a lud osłabia się. Pójdę za jego radą i gdy księżyc będzie w pełni, zaraz wybiorę się w drogę. Powiedz mi, Selimie, miałbyś ty ochotę podróżować?

— O Kalulu! Jesteś teraz królem całego tego wielkiego narodu; możesz wszystko uczynić, co tylko zechcesz. Ty, któryś był dzieckiem, tak samo jak



ja, w jeden dzień stałeś się groźnym królem. Jednakże kilka dni temu, pod drzewem, gdzie leżał słoń, uściskałeś mię i powiedziałeś różne przyjemne rzeczy. Czy zechcesz wyświadczyć mi pewną łaskę?

— Czy zechcę wyświadczyć ci pewną łaskę? Możeszli przypuszczać, Selimie, żebym, dlatego, że zostałem królem, zapomniał o naszym pobratymstwie? Zażądaj, czego chcesz, a z pewnością otrzymasz. Powiedz tylko czego pragniesz?

— Teraz, kiedy jesteś królem, pozwól Abdallahowi, Simbie, Motto i mnie—powrócić do ojczyzny.

— Chcecie mię opuścić i zostawić samego? Cóż Kalulu uczynił swym przyjaciółom, żeby jego przyjaciele myśleli go odejść?

— Bracie mój—rzekł Selim — tyś nam zawsze dobrze czynił. We wszystkim byłeś zadobry dla nas. Coby się z nami stało, gdyby nie twoja przyjaźń, kiedy to wielkie nieszczęście przytrafiło się w Kulkuru? Ale, bracie, ja mam w Zauzibarze matkę, która mię oplakuje, myśląc, że już nie żyję; Abdallah ma także matkę; Simba i Motto mają żony i dzieci. Czy mój brat myśli, że byłoby to dobrze z naszej strony, gdybyśmy zapomnieli przy nim o swych matkach?

— Jakto! Katalambulę tylko co pochowano a teraz Selim chce mię opuścić! Cóżem ja takiego uczynił, żeby wszyscy chcieli mię porzucać! Ale ty nie odejdziesz zaraz, Selimie! Powiedz, że nie. Pewnie ulitujesz się nademną, zostaniesz jeszcze kilka miesięcy. Później wezmę tysiąc żołnierzy, żeby

cię doprowadzić do bezpiecznego miejsca, pomiędzy  
twych przyjaciół

— Nie miałem zamiaru opuścić cię natychmiast.  
Zaczekam jeszcze jeden miesiąc. A wtedy puścisz  
mnie, prawda bracie? Pomyśl o mojej biednej matce,  
o jej cierpieniach. Ja wciąż o tem myślę i dlatego  
jestem tak smutny, dlatego żałuję, że nie mam orlich  
skrzydeł, żeby polecieć do niej jaknajprędzej. Jedy-  
nie z tej przyczyny chcę opuścić cię teraz, chociaż  
poniosłeś tak wielką stratę.

— Niechajże się stanie według twojej woli. Ka-  
lulu nie ma dosyć złęgo serca, żeby przetrzymywać  
syna zdala od matki.

— Jakiś ty dobry dla mnie! — rzekł znowu Se-  
lim. Nie puszcze się w drogę za miesiąc, ale za dwa.  
Tak, zostanę dłużej z tobą, żeby ci dowieść przy-  
wiązania mego i wdzięczności.

Kilka godzin układali projekta na czas, jaki  
mieli przepędzić jeszcze z sobą. Kalulu starał się  
dostarczać przyjaciołom swym prawie codziennie no-  
wej rozrywki.

Podczas kiedy młody król robił tak niewinny  
użytek z czasu, mniejszość, złożona z niezadowolonych,  
którzy opuścili wieś, zajęła się niezwłocznie usku-  
tecznieniem swych groźb.

Byli-to po większej części wojownicy, którzy  
towarzyszili Ferodji do Urori, którzy bili się  
w Kuikuru i zostali hojnie wynagrodzeni przez  
króla. Jako żołnierze, cenili oni nadewszystko odwa-  
gę i powodzenie. Ferodja zwycięsko wyszedł już

z próby w tym względzie, dlatego wydawał im się o wiele godniejszym królewskości, aniżeli Kalulu. Czemże był dla nich Kalulu? Dzieckiem, rokującem piękne nadzieje, które jednak nie odznaczyło się jeszcze żadnym nadzwyczajnym czynem. To, czego on dokonał, mogło uczynić każde dziecko na jego miejscu.

Ferodja jest prawdziwym wodzem; gdy się go obierze królem, każdy z jego wojowników wzbogaci się w tkaniny, kość słoniową, niewolników i bydło. Gdyby Kalulu panował, upłynęłoby wiele lat, zanimby się odważył prowadzić wojnę zaczepną.

Po ośmiodniowym pochodzie niezadowoleni ujrze-  
li nakoniec wieś Ferodji. Skoro powiedzieli, po co przybywają, poprowadzono ich zaraz do naczelnika. Siedział on na dziedzińcu pod drzewem; obok niego było widać niekczemnie przymiloną twarz obywatela Tifouma Byaha.

— Pokój z wami, bracia moi — rzekł Ferodja, podnosząc się. Powitawszy każdego z nich z grzecznością starego dyplomaty, zapytał: Skąd przybyliście, bracia, i czego żądacie?

Mówca drużyny odpowiedział:

— W jakimże celu przyszlibyśmy z tak daleka, Ferodjo, jeśli nie po to, żeby cię powitać jako króla wszystkich uatutasów? Stary król umarł. Uatutasy nie mają już przewodnika, naczelnika, króla. Dali się omamić; zwrócili się ku młodzieniaszkowi, który nie może być ich pasterzem. Wybrali Kalulu, chłopca, tylko co odstawionego od piersi i by-

najmniej nie wojownika. Kalulu płacze, nie wie, co robić, ani w którą stronę zwrócić się. Z tej-to przyczyny przybyliśmy, Ferodjo, prosić, żebyś był naszym królem. Cóż odpowiesz na to?

Ferodja odparł z udaną słodyczą:

— Słowa, które powiedziałeś, mój bracie, są słowami prawdy. Ponieważ Katalambula umarł, uatutasy nie mają już przewodnika. Prawda, że Kalulu jest jeszcze dzieckiem, a co większa, cudzoziemcem. Któż więc jest godniejszym od Ferodji zająć miejsce Katalambuli? Kto wygrywał bitwy dla niego? Kto pokonywał sąsiednie pokolenia? Moja sława nadaje mi prawo następstwa. Tak, twoje słowa, bracie mój, są słowami prawdy i cieszysz się trafnością swych uwag.

Ten sam orator, który pierwszy zabrał głos, odezwał się znowu: Powiedz, Ferodjo, kiedy mamy pójść skarcie Soltali'ego i tych, co wybrali innego króla, zamiast ciebie.

Tu zwołano radę, w której wzięli udział wszyscy naczelnicy, czarodzieje, doradcy—słowem, każdy co miał jakiegokolwiek znaczenie.

Rozprawy były ożywione. Postawiono bezwstydnie następujące pytania: W jaki sposób zająć wieś Katalambuli? W jaki sposób wyrugować Kalulu? W jaki sposób zmusić wojoników, żeby uznali Ferodję, jeśli już uznali Kalulu?

Ci nędznicy zarówno nie brali w rachubę prawa, jak sprawiedliwości. Według jednych, Ferodja powinien był odwiedzić Kalulu, podać mu rękę na

znak zgody i zabić go następnej nocy. Inni byli zdania, że należy zaprosić Kalulu na wielkie polowanie na słonie, gdyż wśród puszczy będzie można z nim zrobić, co się tylko zechce. Inni radzili ściągnąć Kalulu na wielką ucztę, na cześć jego wstąpienia na tron i otruć go za pośrednictwem czarodzieja.

— A ty, Tifoumie, mój godny Tifoumie—zapytał Ferodja—co myślisz o tem wszystkim? Godny Tifoum był drugim Ferodją: równie przebiegłym, ostrożnym i srogim, jak on.

Godny Tifoum, kadząc i podchlebiając się swemu panu, wypowiedział napuszonym stylem murzyńskich mówców następującą radę: Wieś Katalambuli silna jest, jej wojownicy liczni, palisada mocna; mnóstwo wsi ją otacza, a pokolenie Ferodji małe i słabe; jestto niejako garstka piasku w porównaniu z całą masą piasku, co pokrywa równinę. Sami jedni nie możemy wystąpić z wojną przeciw wszystkim uatutasom. Wyślijmy gońców do tych naczelników pokolenia, którym Katalambula dał, za życia, powody do niezadowolenia; innych zaś zbuntujmy, żeby się chcieli wyzwolić. Gdy się połączymy wszyscy, to będziemy mogli otrzymać zwycięstwo. Podczas kiedy gońcy rozejdą się—jedni do niezadowolonych naczelników, drudzy w celu zbuntowania reszty, niechaj Ferodja weźmie wszystkich wojowników swego pokolenia i uda się do Kalulu. Jeśli Kalulu zapyta, pociągnijmy przyszli, to niech Ferodja

Z ziemi niewolników.

13

Dodatek do Nr. 22 „Wędrowca“.

odpowie:—Przyszliśmy złożyć ci życzenia, jako naszemu królowi i ofiarować ci usługi swoje.—Wtedy Ferodja wejdzie do wsi z setką swych najdzielniejszych żołnierzy; będzie się starał zjednać sobie całą ludność, a najbardziej Kalulu. Inni wojownicy zostaną za wsią aż do dziesiątej w nocy, czyli dopóki nie zgromadzą się wszyscy nasi sprzymierzeńcy. W dziesiątą noc żołnierze Ferodji podzielą się na kilka gromad: jedni schwycą Kalulu, drudzy Soltali'ego, inni starszyznę miejscową; reszta czuwać będzie u wrót, dopóki ci, co zostali nazewnątrz, nie będą gotowi do działania. Gdy wszystko będzie na pogotowiu, rzucimy się na wieś i wyrzniemy całą. Następnego ranka, uatutasy dowiedziawszy się, że Ferodja jest królem, przyjdą gromadnie złożyć mu hołd. Będą oni tak wierni nowemu panu, jak przedtem—staremu Katalambuli. Ale trzeba zgładzić Kalulu ze świata, bo dopóki będzie żył, nie zaznamy ani chwili spokoju. Jeśli taka wola Ferodji, to skrucę łeb temu niegodziwemu kogutowi. Oto rada Tifouma Byaha, o wodzu!

— Bardzo dobrze!—wykrzyknęli wszyscy obecni, z zapalem, a Ferodji głos był najdonośniejszy. Idąc za ohydłą radą Tifouma, wysłano gońców, żeby buntowali plemiona. Dla większego bezpieczeństwa, wskazano im drogę przez puszcę; dziesiątej nocy mieli się przemknąć poprzez łąny zboża i zacząć jaknajbliżej wsi, żeby dobrze usłyszeć sygnał.

Ferodja, wybrawszy starannie najlepszych wojowników swoich, wybrał jeszcze z pomiędzy nich

stu najcelniejszych: stu zuchów krzepkich i rzutkich, niekrepujących się skrupułami, zawsze gotowych do rzucania włóczni — i zaraz nazajutrz puścić się z nimi ku wsi Kalulu: Tifoum wziął z sobą część młodych niewolników, którzy należeli do karawany arabów; pośród nich znajdował się także młody Niani, ów murzynek, który nosił tak właściwy przydomek „małpy”. Ci tragarze, uwolnieni już od kajdan, byli posłuszni i ulegli; Niani stał się ulubieńcem Tifouma, któremu podobał się ze złościwości i sprytu.

Ferodja zostawił nieopodal stolicy większą część swych żołnierzy, niewolników i sług. Kiedy się pojawił na czele tych stu celnych wojowników, przyjęto go radośnie, gdyż oznajmił, że przybywa złożyć hołd nowemu królowi. Wprowadzono go natychmiast na dziedziniec.

Kalulu, dowiedziawszy się o przybyciu Ferodji, zmarszczył czoło, pamiętał bowiem przeszłość i miał podejrzenia co do przyszłości. Ale Ferodja tak daleko posunął swe ugrzecznienie i uprzejmość, z takim zapalem składał powinszowania, że rozbroił niewinnego, dobrodusznego młodzieńca i został przezeń dobrze przyjęty.

Gdy z kolei Tifoum zaczął prawić komplementa, Kalulu odpowiedział mu zimnem i dumnem skinieniem głowy; ale Tifoum, jako wytrawny dyplomata, nie okazał zmieszania, przeciwnie, nigdy jeszcze nie panował tak bardzo nad sobą. Żaden w świecie dworak nie był tak obłudnie przyjaznym, żaden

nie okazał takiego wdzięku w ukorzeniu się. Wciąż był uśmiechnięty i robił znaczące miny to do Kalulu, to do Selima. Ach, jakże Selim wyrósł; jest prawie tak wysoki i tak piękny, jak Kalulu; co zaś do nowego króla, to z pewnością będzie on sławniejszym od dziada swego, Loralamby!

Obsypywał także pochlebstwami i Simbę, który zbił go tak niedawno. Poczciwy olbrzym był zdziwiony zrazu; potem oświadczył, że ta ckliwość budzi w nim niesmak i poprosił Tifouma, żeby się zwrócił z nią gdzieindziej, a to pod pozorem, że w kraju, z którego on pochodzi, ludzie są daleko ostrożniejsi względem nowych znajomych.

Ale Tifoum, niezrażając się niczem, wciąż był jowialny i ugrzeczniomy, wybuchał jakimś śmiechem, podobnym do ryku i tak przebierał przytem nogami w powietrzu, że Motto zaczynał przypuszczać, iż mu brakuje piątej klepki w głowie.

Właśnie, kiedy Motto zrobił to spostrzeżenie, Tifoum zobaczył bladą twarz Abdallaha, któremu także okazał, jak dalece stał się towarzyskim i jak serce jego ukochało bliźnich. Rzucił on się na Abdallaha i pomimo jego oporu, ścisnął, niby ojciec, dawno niewidzianego syna. Kiedy nareszcie zdecydował się puścić go, Abdallah, rozczערwieniony z oburzenia że go spotkała taka zniewaga, podniósł rękę i uderzył w twarz Tifouma. Ten znalazł się jak bohater; udał, że nic nie wie o policzku i śmiał się jeszcze głośniejsz, niż przedtem. Mimo to, Abdallah zauważył, że rzucił gniewne spojrzenie.



Ferodja i Tifoum byli jednak u celu. Czas pomiędzy ich przybyciem na miejsce a skutecznieniem projektów, upłynął spokojnie. Rano, dziesiątego dnia, Tifoum powiadomił Ferodję, że wszystko idzie pomyślnie i że ich sprzymierzeńcy znajdują się o trzy godziny drogi, rozproszeni we wsiach meroenisów.

Dziesiąty dzień przeszedł bez żadnej przygody. Nadeszła noc. We wsi nikt nie powziął najmniejszego podejrzenia. Ale gdy Kalulu i jego przyjaciele byli sami, zwierzali się jeden drugiemu ze swych przeczuc, przypisując je tylko nienawiści względem ambitnego Ferodji i jego pasorzyta, srogięgo Tifouma.

Gdyby Kalulu wiedział, jakie piekielne intrygi knuto przeciw niemu i jego przyjaciółom, to mógłby jednym słowem zgubić spiskowców; ale tak on, jak jego towarzysze, nie podejrzewając tak szkaradnej zdrady, usnęli z zupełnem zaufaniem.

## ROZDZIAŁ XI.

Król Kalulu wzięty w niewolę. — Ferodja mówi mu, żeby się przygotował na śmierć. — Czyny rycerskie Niani'ego. — Wolni. — Selim prosi Kalulu, żeby się udał do Zanzibaru. — Zbiegi pragną dostać się do Udżidzi.

Na jakie trzy godziny przed świtem, korpus, złożony z trzydziestu żołnierzy, pod wodzą Ferodji wszedł w cichości na dziedziniec. Księżyc jasno świecił. Jednocześnie, oddział, równie liczny jak pierwszy, wyszedł z budynków króla i porozumiawszy się pocichu z tamtymi, podążył do siedziby Soltali'ego. Dwie gromady, po dwudziestu ludzi, poszły ku wrotom wsi.

Gdy Ferodja zobaczył, że każdy znajduje się na swym posterunku, gdy mu doniesiono, że wrota

zajęte, pospieszył do chaty Kalulu. Przy świetle księżycy mógł on widzieć Kalulu, Selima i Abdallaha, pogrążonych w głębokim śnie. Dawszy znak Tifoumowi i dwu wojownikom, którzy mu towarzyszyli, rzucił się nagle na Kalulu, z okrzykiem trjumu; Tifoum skoczył na Selima, a drugi wojownik na Abdallaha.

W jednej chwili, biedni chłopcy zostali skrępowani, a jednocześnie, rozległ się wojenny okrzyk uatutasów, wydany przez Ferodję, a powtórzony przez wszystkich wojowników, znajdujących się na dziedzińcu, oraz tych, co nadchodzili. Jeda oddział skierował się ku chacie Simby i Motta, ale byli oni przygotowani do rozpaczliwego oporu.

Żaden z nich nie miał czasu nabić fuzji, ale ich to bynajmniej nie zbiło z tropu: wzięli broń za lufę i tak nią wywijali, że w mguieniu oka było mnóstwo głów roztrzaskanych. Na nieszczęście, dach chaty był zaniski: Simba nie mógł swobodnie ruszać rękami. Dwaj przyjaciele musieli więc ustąpić większej liczbie; powalono ich na ziemię i czempredziej skrępowano.

Niezadługo Ferodja stał się panem wsi. Plan był zadobrze obmyślany i wykonany, żeby się nie powiódt. Każdy z miejscowych niewolników, usłyszawszy krzyk wojenny, zaledwie zdążył zapytać siebie—gdzie jest i co się dzieje, został otoczony przez wrogów bez serca i litości.

Wieś cała, z ludźmi i z ich mieniem, należała do Ferodji, który w ten sposób stał się posiadaczem

5,000<sup>z</sup> niewolników. W Afryce środkowej panuje prawo, według którego każdy jeniec wojenny staje się niewolnikiem zwycięscy.

Odnaleziono w składach królewskich łańcuchy dla niewolników, zabrane arabom po bitwie pod Kulkuru. Kalulu, Selimowi, Abdallahowi i tym wojownikom, ze strony których lękano się oporu, zarzucono na szyję żelazne łańcuchy. Ponieważ kłódki nie odnalazły się, związano te łańcuchy grubemi powrozami i dla większego bezpieczeństwa, skrępowano jeńcom ręce w tyle.

Następnie zostali wyprawieni w drogę gromadami, po dziesięciu lub dwudziestu, pod nadzorem jednego żołnierza. Po dokonaniu tego wszystkiego, podpalono wieś i niebawem zostały tylko popioły z chat i ogrodzeń.

Nad temi szerniałemi popiołami słońce zeszło rano w całym blasku, a jeńcy, z rękami związanemi w tyle, z łańcuchem na szyi, wyruszyli do kraju zwycięsców.

W niejakiem oddaleniu od wsi, niewolników rozdzielono pomiędzy pokolenia, które uczestniczyły w napaści. Fero dja zatrzymał sobie Kalulu oraz arabów i na czele 500 wojowników poczęli wędrować tym samym lasem, w którym Kalulu odnalazł Selima.

Ani Fero dja, ani Tifoum nie zbliżyli się do króla i jego przyjaciół; pewni swej zemsty, chcieli się nacieszyć jej przedsmakiem.

Fero dja kołował po lesie z obawy pogoni (cho-

ciaż nikomu nie przyszło do głowy ścigać go). Dopiero dotarłszy do miejsca, gdzie nie było najmniejszego śladu drogi lub siedziby ludzkiej, przyłączył się do gromadki, w której był Kalulu. Biedny młody król, na widok swego śmiertelnego wroga, zaciśnął zęby z wściekłości. Ferodja parsknął wzgardliwym śmiechem i robił wszystko, co tylko było w jego mocy, żeby go rozjątrzyć jeszcze bardziej.

Innego dnia, Ferodja, zbliżając się do Kalulu, rzekł:

— Złośliwy koguciku, wstrząśnij skrzydłami i zapiej bardzo głośno; jest właśnie w sąsiedztwie kilka orłów-łowców, które będą mogły usłyszeć cię i przyjść zmierzyć się z tobą, żeby się przekonać, kto lepiej pieje. Jużem napotykał takich gniewliwych kogutków i poukręcałem im głowy — Tifoum także, prawda Tifoumie?

— Spodziewam się — odpowiedział służalczy dworak, który nie odstępował naczelnika.

— Słyszysz, Kalulu, co mówi Tifoum? — i zwracając się do tego ohydneho człowieka, dodał: cóż Tifoumie, podejmujesz się urwać mu głowę dla mojej przyjemności?

— Czy się podejmuję? Powiedz jedno słowo, a będzie po nim. Jakąż mi to sprawi rozkosz! — dodał, rzucając srogie spojrzenie na Kalulu

— Cienką ma szyję — ciągnął dalej Ferodja — bardzo cienką ma szyję. Nic łatwiejszego... weźmiesz go tylko za długie warkocze. Zobaczmy to jutro rano.

Zbliżył się jeszcze bardziej do Kalulu i uderzył go w pierś drzewcem włóczni. Słyszalesz, com powiedział, prawda? O, słyszał—opanowany wściekłością rzucił się na podłego napastnika. Tifoum powstrzymał go w zapędzie gwałtownem uderzeniem w plecy.

— Szatanie — wykrzyknął Ferodja, — lamparci synu, umrzesz jutro rano w strasznych męczarniach, a tymczasem będziesz patrzył na spalenie żywcem starego Soltali'ego, który śmiał wskazać cię na króla uatutasów. Podczas kiedy jego palić będą w twych oczach, ty—zostaniesz rozćwiartowany, słyszysz?—Rzekłszy to, pobiegł, jak szalony, przysposobić stos u stóp wielkiego drzewa.

W kilka minut stos był gotowy, podłożono ogień i Ferodja kazał przyprowadzić Soltali'ego.

— Stary oszuście — powiedział doń — widzisz ten ogień i to drzewo?

— Widzę — odparł starzec.

— Będziesz spalony żywcem, a twoje przeklęte popioły pozostaną, żeby shaubić drzewo, pod którym zginie fałszywy czarodziej. Hej, Tifoum! Prędko! Sprowadź Kalulu i rozłóż go tu, z twarzą, zwróconą do stosu. Zobaczymy, czy czarodziejstwo ocali czarodzieja i uchowa Kalulu od męczarni, jakie mu przyspasabiam. Hej, spieszcie się!

Niestety, jakże bezbronni byli—biedny starzec i biedny Kalulu względem tych brutali, zostających pod rozkazami brutala jeszcze sroższego od nich wszystkich.

Niebawem powalono Kalulu na ziemię i nogi jego przywiązano do czterech kołków. Soltali doprowadzony został do stosu.

Zginał on mężnie, ale przed zgonem, obudził trwogę w swym kacie. Słuchaj, Ferodjo—rzekł—słuchajcie wy, okrutni uatutasy. Myślicie, że trjumpf jest po waszej stronie; myślicie, żeście uczynili z Ferodji króla, ale wola Ducha Niebieskiego silniejsza od waszej. Wbrew waszym życzeniom Kalulu będzie królem. Ciebie, Ferodjo, czeka okropny koniec, a Tifoum niedługo będzie nosił głowę na karku.

Se'im i Abdallah odwrócili się z przerażeniem. Kalulu wytrzymał męki z dziwną energją; a gdy się skończyły, znalazł jeszcze dosyć sił, żeby przypomnieć drwiąco Ferodji i Tifoumowi przepowiednie starego Soltali'ego.

Gdy noc rozpostarła cienie, wojownicy, których chaty były najbliżej stosu, zaczęli drzeć. Zdawało im się, że gniewny duch Soltali'ego jest tuż przy nich i grozi im zemstą. Odsunęli się, jak mogli najdalej i Kalulu, wciąż przywiązany do czterech kołków, był niezadługo jedyną istotą żyjącą w sąsiedztwie popiołów Soltali'ego.

Coraz gęstsze cienie zalegały. Las zapelniał się dziwnymi i niepokojącymi szmerami. Dla zaborzonych negrów sprawcą tych wszystkich odgłosów był zagniewany duch Soltali'ego. Kryli się oni ze dżeniem, w głębi swych chat.

Całe obozowisko, zwolna, pogrążyło się we śnie; był jednakże ktoś, co czuwał.

W gęstych cieniach nocy, niewyraźna jakaś postać przemykała się, pełzając tajemniczo, niby mara. Ta postać niewyraźna oddalała się od ogniska, wkoło którego leżeli niewolnicy, dążąc ku miejscu, gdzie spali Selim, Abdallah, Simba i Motto.

Ten nocny włóczęga zbliżył się do Selima, położył mu ostrożnie rękę na ustach, żeby nie mógł krzyczeć i pochyliwszy się nad uchem, rzekł: Jestem Niani, twój niewolnik... nie poruszaj się, panie mój. Przychodzę ocalić cię, bom słyszał, jak Tifoum przysiągł, że będziesz zabity jutro wraz z Kalulu. Szal! Mam z sobą nóż. Przetnę więzy tobie i twoim przyjacielom, a potem uciekniemy czempredzej.

Przeciął nożem powróż z kory, łączący obie części naszyjnika i w sekundę Selim został uwolniony od ohydneho łańcucha.

Niani zapełzał aż do Abdallaha i oddał mu tę samą przysługę, z zaleceniem, żeby się nie ruszył, dopóki nie otrzyma umówionego sygnału. Simba, zrazu bardzo zadziwiony, zrozumiał prędko, o co chodzi. Obrócił się trochę, żeby Niani mógł przeciąć powróż, którym miał związane ręce z tyłu; następnie przyszła kolej na naszyjnik. Motto został wyzwolony w mgnieniu oka.

Niani dał umówiony znak i wszyscy podążyli za nim. Żaden z niewolników, śpiących wkoło ogniska, żaden z wojowników, spoczywających w chatacu, nie usłyszał, gdy przechodzili. Przemknęli się za drzewem, do którego przywiązany był nieszczęsny Soltali.



— Cóż teraz zrobimy, panie mój? — zapytał Niani Selima.

— Zapytaj Motta i Simby; ale nie możemy odejść bez Kalulu. Nie zostawiłbym go nigdy: wolałbym raczej sam powrócić na miejsce i umrzeć wraz z nim.

— Ja także nie odejdę bez niego — rzekł Abdallah. Daj mi nóż—przetnę mu więzy.

— Nie, nie, panie! — wykrzyknął Simba. Ja muszę wrócić: mam do tego przyczynę, a więc ja uwolnię też Kalulu. Ty, Motto, pozostań tu i za najmniejszym popłochem uciekaj teraz w kierunku wschodnim; o świcie zwrócisz się ku południowi. Ty, Niani, chodź ze mną. Daj mi ten nóż.

Znikli obaj za drzewem. Simba, za którym postępował Niani, przyczołgał się na rękach i kolanach do miejsca, gdzie leżał Kalulu. Wymówił jego imię pocichu, żeby wiedział, że ma przed sobą przyjaciela.

Przeciął pęta jeńcowi, który był zmuszony usiąść i dosyć długo rozcierać sobie wszystkie członki. W pierwszej chwili nie mógł ustać na nogach, wskutek przebytych cierpień.

Simba, pełen współczucia, czekał cierpliwie, dopóki nie odzyskał władzy w członkach. Wtedy rzekł doń:—Ani słowa... Bądź ostrożny, jeśli ci mile życie. Nasi przyjaciele czekają na nas tam oto, za drzewem. Musisz mi być posłusznym w tej chwili, jeśli chcesz się ratować.

Kalulu podązał za Simbą, przed którym kro-

czył Niani. W ten sposób zbliżyli się do odosobnionej chaty Tifouma.

— Jest tam broń i proch, musimy zabrać jedno i drugie — rzekł Simba. Pójdę rozejrzeć się w chacie.

Wrócił po chwili i powiedział: Idźmy.

— A jeśli się przebudzi? — rzekł Kalulu, wskazując na chatę Tifouma.

— Nie przebudzi się; nigdy się już nie przebudzi — odparł Simba uroczyście.

Zarznął on Tifouma.

Trzej przyjaciele wzięli spiesznie z jego chaty fuzję i proch, włócznię, łuk, kołczan i szablę arabską.

Wróciwszy pod drzewo, rozdzielili pomiędzy siebie broń. Motto dostał jedną fuzję, Abdallah drugą, Selim swoją: Joe Manton, którą Tifoum, znający się na orężu, przywłaszczył sobie jako łup wojenny. Kalulu wziął włócznię, łuk i kołczan, pełen strzał. Niani'emu przypadło w udziale dźwigać włócznię i baryłkę prochu; Simba wziął kule i szablę.

— W drogę! — zawołał ten ostatni, a wszyscy posłusznie poszli za nim.

W pewnem oddaleniu od obozowiska, Simba odezwał się:

— Mamy jeszcze cztery godziny nocy; idźmy ku południowi.

W lesie, o gruncie tak twardym i suchym, jak ten, którym maszerowali, niepodobna tropić śladów zbiega. Wojownicy Ferodji, obudziwszy się, daremnie odbędą naradę, w którą stronę puścić się w po-

goń za zbiegami. Prawdopodobnie, najzabobonniejszy przypomną sobie nawet przepowiednię Soltali'ego i będą przekonani, że to jego zagniewany duch, przez zemstę, wyzwolił jeńców.

Simba, Motto i Kalulu dobrze wiedząc o tem, sporym krokiem posuwali się, bez żadnej obawy. Zajęci myślami, odzywali się rzadko, aż do chwili, kiedy się ukazał szary brzask.

Około 9-tej zatrzymali się zbiegowie nad brzegiem bagna, żeby się ochłodzić. Jeden z nich wspominał o tem, co zaszło poprzedniej nocy w chacie Tifouma.

— Prawda-to, Simbo, żeś go udusił?—zapytał Selima.

— Prawda.

— Ależ-to zabójstwo!

Simba zadziwił się, uważając ten czyn za całym naturalny.

— Pewnie obudził się i miałeś obawę, żeby nie narobił wrzawy?

— Nie, spał. Ale przypomniałem sobie twego ojca, którego zabili; twoich przyjaciół, których także zamordowali. Stały mi na pamięci i twoje cierpienia. Pomyślałem o Izie, o małym Mussudzie, o Abdallahu; o losie Kalulu, twego przyjaciela, brata! Przypomniałem sobie, że wieś Katalambuli obrócili w perzynę i spalili Soltali'ego. Młody arab może puścić to w niepamięć, ale Mrundi—nie. Myślałem, że dobrze robię. Motto, a ty co myślisz o tem?

— Co ja myślę? Żałuję, że nie uczynił tego, coś ty uczynił. Oto, co myślę.

Kalulu był tego samego zdania. Abdallah udowodnił jakimś werselem koranu, że Simba słusznie postąpił.

Selim nie wiedział, co odpowiedzieć, lecz w głębi jego serca odzywał się protest. Nie przedłużył tej rozmowy, jako daremnej, ale ten wypadek pograżył go w zadumę i należały przyznać, że się nie pozbył swych wątpliwości.

— W drogę! Nie możemy mitrzyć czasu— rzekł Simba i pierwszy puścił się w pochód.

O zachodzie słońca, zbiegi musieli się zatrzymać, spostrzegłszy przed sobą gęstwinię. Szukali otworu, żeby tam wejść. Otwór był ciasny i niedostępny, ale prowadził do ślicznej miejscowości. Obóz, który mieli sobie urządzić, był otoczony nieprzebytym płotem, grubym na 15 a wysokim na 12 stóp. Składał się on z drzew i krzaków ciernistych, z kaktusów i aloesów. Wszystkie te krzewy tworzyły gęstwinię tak poplątaną, tak najeżoną cierniami, że nawet wąż dusiciel nie mógłby się przez nią dostać. Wnętrze tej naturalnej fortecy było wysłane murawą miękką, delikatną, jedwabistą, a na środku, w niewielkiem zagłębieniu znajdowała się woda. Jakiżto szczęśliwy traf, że napotkali takie miejsce. Sam Motto, taki sprytny i roztropny, nie upatrzyłby lepszego schronienia przed dzikimi i drapieżnymi zwierzętami. Selim i Abdallah, śmiejąc

się serdecznie, zacierali ręce na myśl, że będą bezpieczni.

Simba, wybrany wodzem tej małej wyprawy, rozejrzał się wkoło i rzekł: Przecie znaleźliśmy bezpieczny kąć. Uatutasy z pewnością nie znajdą nas tu; ale nie mamy co jeść, a młodzież musi być bardzo głodna. Jutro rano trzeba się puścić na poszukiwanie żywności, w kierunku południowym. Cóż ty na to, Motto? Jak myślisz, czy ten las ciągnie się jeszcze daleko?

— Nie wiem, przyjacielu Simbo, ale wątpię; jak tylko drzewa będą rzadsze, niezawodnie spotkamy zwierzynę.—Mówił to z taką pewnością siebie, że Selim, Abdallah i Niani zaczęli łykać ślinę na myśl o sporym plastrze smacznej wędliny.

— Simbo—rzekł Kalulu—ja znam bardzo dobrze ten las; ale zanim wam powiem o nim choćby jedno słowo, muszę wiedzieć, dokąd chcecie pójść.

— Dokąd chcemy pójść? — powiedział Simba, snogładając na Motta; a z tonu jego mowy znać było, że sam nie wie.

— Prawda... dokąd pójdziemy? — odezwał się Motto, niemniej zakłopotany.

— Jednakże muszę to wiedzieć — rzekł znowu Kalulu. Nie grozi teraz niebezpieczeństwo, żeby nas kto ścigał, decydujcie się więc śmiało. No, Simbo, Motto, jeszcze raz pytam, dokąd chcecie pójść?

— Odpowiedz sam, młody wodzu—rzekli dwaj negrzy.

— Ja? Dobrze! Otóż jabym myślał tak zrobić: powrócić ku wschodowi lasem, potem skrócić w stronę północno-zachodnią, zgromadzić tych, co zostali jeszcze z mego pokolenia i rozpocząć nowo wojnę z Ferodją; tak, trzeba wojować, dopóki nie padną wszyscy, co do jednego, z tych, co się zań bili. Taki jest mój plan. — Mówiąc to, był tak rozjątrzony, że aż mu ręce drżały!

W tej chwili Kalulu uczuł, że ktoś dotknął zlekką jego ramienia. Obrócił głowę. Byłto Selim, który patrząc nań łagodnie, życzliwie, rzekł:

— Kalulu, w naszych oczach jesteś dotąd królem uatutasów. Usiądź spokojnie obok mnie, jak Abdallah i Niani, i wysłuchaj, co ci brat Selim chce powiedzieć.

Kalulu siadł, nie rzekłszy ani słowa: oczy jego nie patrzyły już dziko i członki przestały drżeć nerwowo, pod wpływem słodkiej mowy i słodkiego wejrzenia Selima. Wściekłość przemieniła się w nim w rozczulenie i zapłakał pierwszy raz w życiu.

— Kalulu—odezwał się Selim, biorąc go za rękę—tyś mię wybawił od śmierci, ulitowałeś się nademną i pokochałeś mię; wiesz, jak ja cię także kocham. Wyrwałeś mię z rąk Tifouma, uratowałeś mego przyjaciela, Abdallaha, od krokodyla... Kalulu, bracie mój, po tem wszystkiem, coś uczynił dla mnie, chciałbym cię poprosić o jedną łaskę, o coś takiego, coby mię uszczęśliwiło. Ale boję się trochę.

— Mów, Selimie—co Kalulu może uczynić dla ciebie? Alboż nie wiesz, że życzenie twoje jest dla mnie rozkazem?

— Obiecujesz spełnić mą prośbę?

— Powiedz tylko, o co ci chodzi.

— W Zanzibarze mam piękny dom, otoczony pięknymi ogrodami, w których rosną różne wyborne owoce. W Zanzibarze mam matkę o tkliwym sercu. Przrzeknij mi porzucić zamiary wojenne; zamieszkać na jakiś czas w moim domu i korzystaj z sadów moich. Matka, która mię tak miłuje, pokocha i ciebie, gdy się dowie, coś uczynił dla mnie.

Kalulu nie odpowiadał: widoczne było, że się waha, ale przez przyjaźń dla brata skłonny jest uleść jego życzeniu. Przez kilka minut panowała cisza, którą przerwał Simba swym basowym głosem.

— Młody naczelniku—rzekł—Selim mądrze mówi. Ani Motto ani ja nie umielibyśmy dobrać takich słów. Młody nasz pan jest mądrzejszy od Simby i Motta. Będziesz kiedyś królem uatutasów, ale teraz naraziłbyś się na niebezpieczeństwo; chodź więc do Zanzibaru—zobaczysz tam osobliwe rzeczy, których oko twoje nigdy nie oglądało. Chodź nauczyć się mądrości od arabów i nazareńczyków, żeby się stać później większym królem od Loralamby. W Zanzibarze znajdziesz zresztą ludzi, którzy chętnie podadzą ci rękę, gdy się dasz poznać, i na ich czele będziesz mógł pokonać Ferodję. Skończyłem.

— Pójdę do Zanzibaru! — wykrzyknął Kalulu, przekonany dowodzeniem Simby. — Tak, pójdę do

Zanzibaru, żeby się nauczyć być wielkim królem. Powrócę do Ututa roslym, krzepkim, jak Simba, a wtedy niechaj Ferodja ma się na baczości! Niechaj używa życia, niech się cieszy tem wszystkim, co skradł, dopóki Kalulu nie wróci... Przysięgam na popioły Soltali'ego, na grób Mostany, że się zemszczę w straszliwy sposób. Skończyłem.

Nie tak nie rozwesela nawet tak zgłodniałych ludzi, jak nasi zbiegowie, jak powzięte postanowienie, które kładzie tamę wszelkim wahaniom.—A więc: do Zanzibaru!—To jedno słowo, obok pewności, że nie grozi żadne niebezpieczeństwo i że nazajutrz rano napotkają zwierzynę, rozochociło wszystkich.

— Dobrze, dobrze, dobrze!—zawołali jednogłośnie. Selim podniósł się, żeby uściskać Kalulu. Simba i Motto schwycili go, każdy za jedną rękę i potrząsali nią zapalczywie. Niani skakał niby małpa; Abdallah, za przykładem Selima, uściskał Kalulu i obiecał udać się także do kraju uatutasów i wraz z nim, dochodzić jego praw do korony.

Mądry Simba zabrał znowu głos.

— Ty znasz ten kraj, nieprawda? — rzekł do Kalulu.—Którędy najprostsza stąd droga do Zanzibaru?

Motto i Kalulu, kombinując swoje wiadomości geograficzne, orzekli, że należy dotrzeć do jeziora Tanganika—które Kalulu nazywał Liemba—zboczyć kawał drogi, (przysparzając sobie tem tydzień pochodu), aby ominąć kraj Ferodji i udać się do Udżidzi.



— Ale gdzież jest Zanzibar? — zapytał Kalulu z zadziwieniem.

— Zanzibar musi być na wschód od miejsca, w którym się znajdujemy, w stronie, gdzie słońce wschodzi co rano.

— Mogę was zaprowadzić ku Urori, ale co jest dalej, tego nie wiem—rzekł Kalulu.

— Zamało nas jest, żeby przebyć Uhehe—odezwał się Simba. Motto, co ty myślisz o tem?

— Gdybym był na trakcie kupieckim, tobym się umiał pokierować—odpowiedział ten celny strzelec. Ale powiedz mi, Kalulu, wszakże podobno w tej stronie znajduje się wielkie jezioro?

— Tak, jezioro Liemba, którego niewiadać końca—ciągnące się ku północy.

— Jezioro Liemba? Jezioro Liemba?—powtarzał Motto, półgłosem, jak człowiek, który usiłuje wydobyć z głębi pamięci jakieś mgliste wspomnienie. Jak żyję, nie słyszałem o jeziorze Liemba. Płynąłem kilka razy jeziorem Tanganika, udając się z Udźidzi, do...

— Udźidzi! — wykrzyknął Kalulu ze zdumieniem. Nie słyszałem nigdy, żeby nasi wędrowcy wzmiankowali o jakim jeziorze Tanganika, ale znam dobrze Udźidzi, na jeziorze Liemba, nieopodal Usowy, nieco wyżej.

— A więc Liemba i Tanganika, są to dwie odmienne nazwy jednego jeziora.

— Stąd do Udźidzi droga nietrudna i jeśli znacie drogę z Udźidzi do Zanzibaru...

— Czy znam!—wykrzyknął Kalulu z trjurfem. Przebywałem ją pięć razy!

— Ja znam drogę jeziorem, przepłynąłem je kilka miesięcy temu. Jestto o dwadzieścia dni pochodu, w tym kierunku, gdzie widzieliście zachód słońca dziś wieczór. Ale pomiędzy nami a jeziorem jest kraj Ferodji. Będziemy musieli iść jeszcze tydzień w kierunku południowym, a potem skrócić do jeziora, unikając Ferodji.

Wszyscy zgodzili się na ten plan.

— Za pięć miesięcy zobaczymy Zanzibar—rzekł Simba radośnie.

— Tymczasem, postaramy się zobaczyć trochę zwierzyny—odezwał się Motto ze śmiechem.

— Tak, tak—powtórzyli inni.

Rozdzielono pomiędzy siebie naboje. Kalulu starannie obejrzał cięciwę swego łuku, a inni dekle w fuzjach. Widząc to, Niani nie chciał dać się wyprzedzić: okiem znawcy zbadał zbliżka swój grot i udzielił towarzyszom ważnej wiadomości: to „kluje i rąbie. Ocaleliśmy”.

## ROZDZIAŁ XII.

Ranek w lesie.—Bawoły.—Opowiadanie Niani'ego.—Śmierć lwa.

---

Gdy się ukazała zorza na niebie, drużyna, spokojnie śpiąca w obozie, zaczęła ziewać i poruszać się. Niebawem była już na nogach.

Niepotrzebując zwijać namiotów i pakować rzeczy, zaraz po przebudzeniu się, wyruszyła w drogę.

Nic bardziej uroczego, jak las afrykański o rannym chłodzie. Drzewa zdają się budzić ze snu nocnego, życie zwolna szerzy się wszędzie. Ale wędrowiec wtedy tylko używa swobodnie tych rozkosznych godzin, jeśli nie potrzebuje branąć przez wysokie trawy, obciążone rosą i nie jest narażony na przebywanie pól z trzcinami, których liście kształtu miecza, za najmniejszym poruszeniem, oblewają

jego głowę rześnistym deszczem. Trzeba, żeby jego noga stąpała po tych miękkich kobiercach brunatnych, z liści, co ulegają rozkładowi. Na nieszczęście, onego ranka, podróżni byli zbyt zgłodniali, żeby się przyglądać długo krajobrazowi i przysłuchiwać ranym pniom ptasząt.

Szli od godziny, kiedy Simba zatrzymał się nagle. Byłoto na skraju lasu; równina ciągnęła się daleko, cała oblana światłem i obrzeżona wzgórkami.—Widzicie... tam... bawoły...—zawołał.

Ta wieść wywarła silne wrażenie na zgłodniałą gromadkę.

— Gdzież one są? — zapytano jednym głosem.

Zmrużywszy oczy, dojrzeli niewyraźnie, w miejscu, które Simba wskazywał palcem, jakieś ciemne plamy na środku płaszczyzny. Wszyscy pobiegli więc w tę stronę. Niani wywijał przytem włócznią z tak morderczymi zamysłami, że przeraziłby bawoły, gdyby go mogły dostrzedz.

Skoro doszli do ostatnich drzew, Simba, chcąc zapewnić powodzenie wyprawie, udzielił towarzyszom swym niektórych wskazówek. Mieli oni posuwać się, czołgając, o 40 metr. jeden od drugiego, żeby otoczyć bawoły zewsząd, oprócz tej strony, z której dochodził wiatr. Mieli też zachowywać zupełne milczenie i unikać najłżejszego szelestu. Powinni byli podnieść się i strzelić, dopiero gdy usłyszą świstawkę. Łowca Motto domagał się na podstawie swego doświadczenia, żeby — dla wspólnego dobra, słuchano wszystkich zaleceń towarzysza.

Szczęściem, wiatr wiał z zachodu, nie potrzebowali zatem bardzo kołować. Prócz tego, mogli się kryć za małemi wyniosłościami; a byłyto dawne, porzucone już mrowiska, porośnięte bardzo wysoką trawą. Równina była także pokryta wysokimi uschłemi trawami, pod któremi rosła młoda trawka. Tę to trawkę jadły właśnie bawoły.

Byłoto rzeczą wielkiej wagi dla myśliwych, żeby ich strzały nie chybiały, gdyż głód strasznie im dokuczał i nie byli w stanie iść dalej, dopóki się nie posilą. Zresztą, nie podtrzymywani już, jak wpierv, tem radosnem podnieceniem, że się wydobyli na wolność, czuli konieczną potrzebę zaopatrzyć się w jaką żywność. Potrzeba, matka wszystkich sztuk, uczyła nawet najmniej doświadczonych, w jaki sposób zbliżać się do bawołów, nie płosząc ich.

Myśliwi, posuwając się zwolna, kryli się w wysokich trawach, za pagórkami, których było mnóstwo, albo też za palmami.

Z każdą chwilą odległość zmniejszała się. Wszyscy tamowali w sobie oddech, opanowani straszną trwogą, że który z towarzyszy spłoszy przez nieostrożność zwierzynę. Od czasu do czasu podnosili głowę, żeby się przekonać, jaki jest stan rzeczy i co się dzieje ze zwierzętami, do których mieli strzelać.

Dla Kalulu, który był bardzo doświadczonym na tak młode lata, zadanie to było bardzo łatwe, o wiele łatwiejsze nawet niż dla Simby i Motta. Jego ciało giętkie i silne przemykało się swobodnie pomiędzy wysokimi trawami; dlatego najpierwszy

zbliżył się do jednego z bawołów o ile tylko ostrożność pozwalała. Strzała była już na cięciwie, łuk był napięty, Kalulu czekał tylko znaku.

Simba czuwał nad tem, żeby każdy spełnił, co doń należało, a gdy wszyscy byli gotowi, gwizdnął zlekka. Kalulu podniósł się natychmiast i przez chwilę badał teren. Motto znajdował się na prawo od Simby, a Simba tuż przy Kalulu. Abdallah stał na lewo, o kilka metrów za nim i celował do bawołu. Selim stał najdalej, na lewo, o jakie 30 lub 40 metrów od młodego bawołu. Dostrzegł on to wszystko od jednego rzutu oka i w sekundę łuk Kalulu wydał huk. Usłyszano jednocześnie fuzje Selima, Simby i Motta; na chwilę powstał popłoch i zamęt pomiędzy zwierzętami.

Kalulu strzelił do naczelnika stada; jego strzała uwięzła aż do piór w boku zwierzęcia, które spuściło głowę i gotowało się odeprzeć napaść. Za Kalulu rozległ się strzał Abdallaha: bawół zachwiał się—kula splaszczyla się na jego ogromnem czole. W kilka chwil przyszedł jednak do siebie, ryknął strasznie i rzucił się w stronę Kalulu.

Młodzieniec hyżo odskoczył, więc nie mógł być osiągnięty; ale gdy go bawół mijał i nadstawił mu bok, ugodził go i przeszył mu serce, a za ten świetny czyn zasłużył na pierwszą nagrodę.

Simba i Motto celowali obaj do jednego zwierzęcia i kule ich, dobrze skierowane, zabiły je odrazu.

Selim za pierwszym zaraz strzałem roztrzaskał

łopatkę jednemu z młodych bawołów, drugą kulą przeszył mu ciało. Bawół jęknął, zaczął wyrzucać z siebie krew i zanim Selim zdążył nabić powtórnie fuzję, padł na kolana i stoczył się na trawę. Mały Niani czempredziej skrył się za drzewo, żeby okiem wytrawnego krytyka śledzić wszystkie koleje bitwy.

Gdy się rozegrała, wyszedł z ukrycia i tak głośno okrzykiwał trjumpf, narobił takiej wrzawy, jak gdyby sam jeden rozproszył całe stado bawołów. Przez wzgląd na to, co uczynił dla jeńców, wybaczone mu tę junakierję i wszyscy wybuchnęli śmiechem, gdy zatańczył na bawole, zabitym przez Kalulu. Ponieważ żołądki były zgłodniałe, łowcy zaczęli wyrzynać smaczne części mięsa grotem lub nożem, a następnie obarczeni zapasami, podążyli lasem, w kierunku wschodnim. W bezpiecznym tem schronieniu mogli upiec sobie mięso i spożyć je spokojnie, nawet gdyby strzały zwróciły uwagę jakich wrogów.

W niecałą godzinę dotarli do gęstwiny, podobnej do tej, w jakiej przebyli poprzednią noc. Simba i Motto rozpalili ogień, a młodzież, pod okiem Kalulu, przygotowała śpiczaste kije. Zatknięto małe kawałki mięsa na te kije, które ustawiono w koło ognia. Gdy mięso zdawało się prawie dopieczzone, wszyscy zaczęli je pożerać ze zdumiewającą szybkością.

Najadłszy się do syta, wypadało pomyśleć o przyszłości: powieszono więc długie pasy mięsa nad ogniem, na zaimprovizowanym ruszcie. Cztery

kije, złożone w widły, tworzyły cztery nóżki rusztu. Te kije, połączone były po dwa, dwoma innymi kijami, położonemi na widłach; wpoprzek dwóch pierwszych kijów, położono inne, formując w ten sposób ruszt. Selim wypytał szczegółowo, jak się wykonywała operacja i zrozumiał wtedy, co mu należało uczynić w lesie, żeby się nie zepsuło mięso jego antylopy.

Około 2-giej popołudniu zdjęto bawołu z rusztu, gdyż uwędził się dostatecznie. Każdy z wędrowców zabrał kawał mięsa bawolego, obwiązany sznurkiem z kory, a następnie wzmocnieni snem i posiłkiem, wyruszyli ku południowi.

O zachodzie słońca rozbili obóz nad stawem i zabezpieczeni krzakami ciernistemi, zjedli wesoło wieczerzę. Zaczęły się wśród nich nawet żarty. Simba, ze swą miną uroczystą i poważną, robił tak komiczne uwagi, że rozśmieszał wszystkich do łez; w dowód podziwu, Motto podał mu szczyptę tytoniu, który wydobyl z jakiejś niewidzialnej kieszeni, a Simba włożył go do ust z najwyższą uciechą.

— Teraz—rzekł Motto—Niani opowie nam jaką historję.

Twarz Niani'ego przybrała wyraz komicznego przerażenia; wzbraniał się, robił co tylko mógł, żeby się wykręcić od tego zaszczytu; zapewniał, że nie umie żadnej historji, że nie potrafiłby nic wymyśleć...

— Któż żąda, żebyś co wymyślił?—rzekł Mot-



to. Powiedz nam tylko, co się z tobą działo, od czasu, kiedyś opuścił wieś Katalambuli.

— O, to będzie niedługie opowiadanie: kiedyśmy przyszli do wsi, Zły Tifoum wziął mię do swej chaty i uczynił ze mnie sługę swego. Przynosiłem mu wodę, zapalałem fajkę... Skoro Ferodja oddalił się, rozwścieczony tem, że mu nie pozwolono zabrać z sobą pana naszego, Selima, Tifoum rozkazał, żebym poszedł za nim. W drodze bił mię często; raz nawet zagroził, że mi utnie głowę, jeśli nie będę szedł prędzej. Byłem smutny; wszystko mi zobojętniało, odkąd rozłączono mię z panem moim, Selimem, który był zawsze taki dobry dla mnie. Pewnego dnia, jeden z niewolników został zabity za to, iż zdawało się, że myśli uciec. Więcej nic nie zaszło w ciągu tej wyprawy, tylko prawie codzień jaki niewolnik umierał skutkiem wyczerpania sił i złego obchodzenia się z nim. Doszliśmy nakoniec do wsi Ferodji: jest ona znacznie mniejsza od wsi Katalambuli, ale znajduje się w niej dużo krów, baranów i kóz.

— Tifoum miał cztery żony—wszystkie brzydkie i złe. Nigdy w życiu nie byłem tak szczypany, kopany, bity pięściami; nie licząc tego, że mię tak ciągnęły za uszy, jakby je chciały oderwać. Bez ustanku nosiłem wodę, drwa i uganiałem się za kozami.

Widząc to, Tifoum śmiał się serdecznie.

Pewnego dnia, powiedziałem sobie, że może

byłoby lepiej być zupełnie dobrym i żwawo spełniać robotę.

Wtedy Tifoum odebrał mię swoim żonom i kazał mi posługiwać tylko jemu samemu. Ale wciąż mówił: Muszę ci ukrećić łeb którego dnia i zjeść cię na śniadanie, przyczem przewracał oczami i szeroko otwierał ogromne usta.

Bardzo często powtarzał także, iż żałuje, że nie ma chociażby jednego z białych niewolników; tak nazywał ten niegodziwy pies panów naszych: Selima i Abdallaha!

Zdawało mu się, że ludność jego wsi miałaby dłań przez to daleko większe poszanowanie.

Gdy nas doszła wieść, że Katalambula umarł, a Kalulu został królem, Ferodja był tak wściekły, że zgrzytał zębami i zapowiedział, że rozszarpie w kawałki wszystkich stronników Kalulu. Nazajutrz wziął z sobą dużo ludzi i nagadawszy się dowoli, powędrował do wsi Katalambuli.

Tifoum zabrał mię z sobą i kazał mi nieść swoje włócznie, duży worek ryżu i tykwę, pełną wody.

Mówiłem sobie ciągle: Jeśli wejdę do wsi, to ostrzegę Simbę i Motta, po co Ferodja przyszedł. Ale we wsi pokolenia Meroenisów Tifoum zostawił mię, z rozkazu Ferodji; zmiarkowałem wtedy, że nie będę mógł nic uczynić dla was.

— Onej nocy, kiedy był napad, próbowałem dostać się do was, byłoto jednak niemożliwe. Na-

stępnego dnia udaliśmy się do wsi Katalambuli, ale było już zapóźno.

Widziałem, jak was uprowadzono jako jeńców: zbierało mi się na płacz, lecz był tam Tifoum, a gdyby zobaczył łzy w moich oczach, zabatożyłby mię.

Odtąd dzień i noc myślałem nad tem, jakimby sposobem przyjść wam z pomocą.

Gdy Soltali został spalony, gdym usłyszał, jak Tifoum groził Selimowi i Kalulu, powiedziałem sobie: bądź co bądź, muszę ich wyratować dzisiejszej nocy. Zdaje mi się, że Tifoum umyślnie nie usypiał tego wieczoru. Zabrałem mu nóż i poszedłem poprzecinać powrozy, zapomocą których mieliście uwięzione głowy w tych okropnych naszyjnikach.

— Dzielnym z ciebie chłopiec!—odezwał się nagle Motto. Był on wzruszony, ale nie chciał tego okazać.

Simba wyciągnął swe długie ręce, porwał Niani'ego jak piórko i przycisnął do swej potężnej piersi. Niani nie wydał jednak krzyku. „Dobry chłopczyk, dobry chłopczyk!—ryczał mu Simba w same ucho, chociaż zdawało mu się, że mówi pocichu. Ton jego mowy był wprawdzie ostry, ale uczucie głębokie i szczere. Niani musiał to zrozumieć, bo oczy zaszczyły mu łzami.

Ale co większa — Selim, sam Selim, którego biedny chłopiec uważał za tak dalece wyższego od siebie; Selim, którego widział w całym blasku jego kostiumów z jedwabiu i złota; Selim, który miał tam, w Zanzibarze, matkę tak cudownie piękną—

wziął za rękę Niani'ego, uściskał ją w swych dłoniach, spojrział nań czule, przyciągnął go do siebie i uściskał.

— Moja matka sama ci podziękuje, Niani. Przypominasz ją sobie?

— Czy ją sobie przypominam? Mógłżebym kiedy zapomnieć ją, albo mojego pana?

— Nie mów mi panie, tylko *ty*. Przestałeś już być moim niewolnikiem; teraz jesteś przyjacielem moim, tak samo, jak Simba i Motto.

— Tak, ale pan mój—Selim, Motto i Simba są dorośli, a jam mały i niedobry; gotów jestem zrobić kiedy co złego i utracić twoją przyjaźń.

— Jeśli to nastąpi kiedy, wspomnę na tę noc, w której Niani naraził swoje życie, żeby moje uratować, i powiem sobie: Wybacz Niani'emu przez wzgląd na to, co uczynił.

— Ja także będę przyjacielem Niani'ego—rzekł Abdallah.

Simba powiedział: Ponieważ biedny Niani nie ma już ani ojca, ani matki, przybieram go za syna... Biorę was wszystkich za świadków,

Sześć dni jeszcze idąc wciąż lasem, napotykali dużo zwierzyny i codzień suszyli mięso, żeby się zaopatrzyć na przyszłość.

Siódmego dnia, Kalulu powiedział: — Możemy się zwrócić na zachód i iść w tym kierunku przez trzy dni; potem skęcimy nieco ku północo-zachodowi, albo—stosownie do okoliczności—dotrzemy inną drogą do jeziora Liemba.

Niezadługo wypadło im wyjść z lasu, zrzec się cieniu i chłodnych sklepień odwiecznych a wystawić na duszący upał i mozolne przedzieranie się przez krzaki cierniste. Krzewy z rodziny kaktusów i z rodziny aloesów wydzielały chwilami mdły zapach. Szli noga za nogą pośród kolczastych roślin, które tworzyły gęstą i często zawikłaną sieć. Powietrze było pełne mocnych i ostrych woni. Najmniejsze ukłucie, nawet samo dotknięcie się do tych szkaradnych roślin sprawiało nieznośne swędzenie.

Jak gdyby mało było tego, zaścielały ziemię ziarenka kłującej trawy o kolcach tak sztywnych i ostrych, jak u jeżowca. Wyobraźcie sobie ludzi, którzyby chodzili boso po kobiercu z małych jeżów. Tak im było, jak gdyby stąpali po gorącym popiele; co chwila musieli też stawać.

Ziemia była gorąca i pełna rozpadlin, niekiedy tak wielkich, że potykając się na każdym kroku, o mało nie powykręcali nóg.

Zaczęło im dokuczać pragnienie, i męczarnia ta trwała cały dzień. Dopiero wieczorem napotkali rodzaj kałuży, pełnej rzadkiego błota z wyglądem kredowym, dokoła której pozapadała się ziemia, wydeptana przez dzikie zwierzęta. Umierając z pragnienia, nie jest się wybrednym, więc też i bohaterowie nasi z radością ujrzeni ten wstrętny napój.

Następnego dnia wydostali się nakoniec na równinę bez drzew, pokrytą wielkimi uschłymi trawami. Płaszczyzna ta leżała znacznie niżej od gąszczy,

z czego Kalulu wywnioskował, że są na dobrej drodze i że zaczynają się spuszczać ku terytorjum, zroszonemu południowym krańcem jeziora Liemba. Motto i Simba podzielali jego zdanie.

Posuwając się wciąż na zachód, spostrzegli, że widnokraj zdaje się iść w górę, w miarę, jak oni spuszczaają się ku nizinie. Pochód był bardzo uciążliwy. Łąka, którą przebywali, przemieniła się w równinę, porośłą kępami trzciny, pośród których wklęsłości ziemi tworzyły dolki. Trzeba było robić duże skoki z kępy na kępę; ale mimo to, grudy ziemi kruszyły się często pod naciskiem nóg. Potem szli przez jakieś czarniawe gąbkowate bagno; chociaż powierzchnia jego była na pozór dosyć stężała, wpadali czasami po pas w cuchnące i lepkie błoto z roślin w rozkładzie. W bagnie tem rosły trzciny o liściach ostrych, jak brzytwy; nie dziw przeto, że nasi biedacy wydobyli się z niego, powaleni i pokaleczeni. Nieczuli jednak na te wszystkie męczarnie, myśleli tylko z utęsknieniem o chwili, kiedy dotrą do błękitnego horyzontu, w którym zatapiają wzrok od rana. Noc już zapadła, kiedy się dobili nareszcie do wzgórz, tak zmęczeni brodzeniem przez bagno, że legli na spoczynek, zapominając o całodziennem pragnieniu.

Daleko było jeszcze do świtu, kiedy rozpoczęli na nowo wędrówkę. Równina, niby morze, falowała przed nimi. Zdawało im się, że jest bezgraniczna i nie im nie wróżyło, żeby rozpoczynający się dzień był dla nich lepszym od poprzedniego. Szli ciągle ku zachodowi poprzez wielkie wyschnięte trawy.

Czwartego dnia Kalulu prowadził swych towarzyszy po grzbiecie góry, ciągnącej się ku północz zachodowi. Z wyżyny tej mogli sięgać okiem bardzo daleko. W grzbiecie onej góry były miejscami wklęsłości; wędrowcy musieli je przebywać, ale jak się tylko dało, wspinali się na górę. Nad wieczorem uradował ich widok ciemnych mas gór, do których spodziewali się dotrzeć nazajutrz po dwunastogodzinnym marszu. Na schyłku piątego dnia znaleźli się u stóp stożkowatego pagórka nad czystym strumieniem, na skraju bambusowej gęstwiny.

Odtąd brodzili wciąż po gęstych lasach, gajach bambusowych i zakątkach ziemi, wyglądających jak parki; potem posuwali się wzdłuż stożkowatych pagórków, podwójnych szeregów szarych skał i głębokich wąwozów. Nakoniec wydostali się na płaszczynę, pokrytą aksamitną murawą i ocienioną gdzieś gromadą wielkich drzew. Cały ten czas spuszczała się nieznacznie lecz bez ustanku po pochyłości, która musiała ich zbliżyć do jeziora. Trawa coraz ostrzejsza i twardsza, była także ważną wskazówką. Rozłożywszy się obozem, zjedli na wieczereź po kawałku mięsa wędzonego, pocieszając się nadzieją, że nazajutrz napotkają zwierzynę.

Okolo północy rozbudził ich niespodzianie ryk lwa.

— A co, nie mówiłem? — Zawołał Motto. — Wiedziałem, że tu musi być zwierzyna: gdyby jej nie było, nie byłoby i lwa. Selimie, przygotuj fuzję

bo jeśli lew zgłodniały, to gotów rzucić się na którego z nas.

— Widzę go... — rzekł pocichu Kalulu. — Tam... tam... wpatrz się w to czarne stworzenie, co się zbliża powoli... Minęło teraz to grube drzewo... Zatrzymuje się i spogląda w naszą stronę.

— Cicho! — szepnął Simba... Celuj dobrze, młody panie.

— Czy zaraz strzelić? — Zapytał Selim przytłumionym głosem.

— Nie, nie, nie! — odpowiedział Motto. — Ja dam znak. Ale pamiętaj... prosto w głowę, bo gdybyś go zranił, byłoby po nas.

Jakże im biły serca! Niemal była słyhać ich uderzenia. Lew przysuwał się ciągle, ale kroki jego były zupełnie ciche. Naraz przystanął, jakby dla zebrania myśli; słyhać było szelest trawy, którą chłostał ogonem. Oczy jego rzucały blask, przyćmiewany chwilami, gdy mrużył powieki. Mógł teraz służyć Selimowi za cel, ale Motto, wsparty ręką na jego ramieniu, powstrzymywał go jeszcze.

Po namyśle zwrócił się lew powoli ku lewej stronie, jak gdyby chciał obejść jakie drzewo. W miarę, jak kołował, Selim, klęcząc na jednym kolanie, obracał się także, z lufą wciąż wycelowaną pomiędzy oczy zwierzęcia.

Nagle zatrzymał się lew i ryknął strasznie. Niani i Abdallah, skryci za Simbą i Motto, odpowiedzieli mu przeraźliwym krzykiem. Simba i Motto przy-



gotywali fuzje, na wypadek, gdyby strzał Selima chybił.

Lew przysadził się, jak gdyby miał skoczyć: byłato krytyczna chwila.

— Skoczy — rzekł Kalulu.

— Strzelaj! — zawołał Motto.

Trzy strzały padły jednocześnie i przy ich blasku dostrzegli lwa w powietrzu; potem zaś usłyszeli dziki krzyk i loskot ciężko padającego ciała: lew skończył żywot, albo miał go skończyć za chwilę.

Rzucono kilka garści suchych traw na przygasający już ogień biwaku i nagle cały widnokrąg został oblany światłem. Lew leżał na prawym boku, jeden z jego szponów poruszał się jeszcze konwulsyjnie, a z poza odwiniętych warg widać było straszne białe zęby. — Miał on roztrzaskaną głowę.

Należy przyznać, że Niani nie okazał się szlachetnym względem pokonanego wroga; przeciwnie, zarzucał go obelgami i wykonywał taniec własnego układu wkoło trupa.

— Dosyć tego tańca — rzekł Motto ze śmiechem. — Ułóżcie się wszyscy do snu a ja będę stał na straży. Ten zuch mógł mieć towarzyszy, więc gotowi tu przyjść przez ciekawość, co się z nim stało.

O świcie Motto obudził swych przyjaciół, którzy rozpalili suty ogień, żeby się rozgrzać. Kalulu obciął szpony lwu i rozdzielił je pomiędzy wszystkich, niby trofea.

Simba nie omieszkał obstrzydz mu ogromnej

grzywy, którą również rozdzielili pomiędzy siebie. Następnie udali się w dalszą drogę, otrzymawszy zaletenie jaknajwiększej czujności.

Simba zobaczył kudu, podążył za nim i trafił go kulą, uraczyli się więc mięsem tego zwierzęcia. Motto odezwał się z wnioskiem, żeby wypocząć jeden dzień; Abdallah i Niani, śmiertelnie znużeni ustawicznym marszem, chętnie zgodziliby się na to, ale gdy Simba, Kalulu i Selim powiedzieli, że lepiej dojść do okolicy jeziora Liemba, Motto nie nalegał: co się zaś tycze Abdallaha i Niani'ego, to obaj oświadczyli, że mięso kudu przywróciło im siły.

Płaszczyna, którą przebywali, była ciągle równie piękna i ożywiona stadami bawołów, żyraf i antylop, które było widać w oddaleniu.

Kiedy niekiedy urozmaicały tę jednostajność równiny gromady mimoz, tamaryszków i palmyr, nadające szczególnie wdzięk krajobrazowi.

Nad głowami ich szybowały konie, sępy i sokoły, szukając żeru. W gajach i gęstwinach ptaszęta śpiewały wesoło. Jakiż tam był spokój, z jakąż rozkoszą wypoczywali tułacze po tylu przykrych przygodach!

— Tak piękna kraina nie może być bezлюдna — rzekł Kalulu — z pewnością napotkamy niebawem kulturę, bo już niebardo daleko do jeziora.

Nazajutrz rano, po kilkogodzinnym pochodzie, Simba zatrzymał się nagle i zawołał: — Pole ze zbożem!

Niani i Abdallah tak drgnęli, jak gdyby kto

krzyknął im nad uchem: Ferodja nadchodzi! Biedni ci chłopcy widzieli wszędzie swego okrutnego prześladowcę. Uspakajano ich jednak, że to nie może być kraj Ferodji, że jego kraj jest bardzo daleko za nimi, że może nawet mieszkańcy tej okolicy nie słyszeli nigdy imienia Ferodji.

Mała drużyna szła jaką godzinę wzdłuż pola ze zbożem, poczem dotarła do brzegów rzeki o wodach ciemnych i, jak się zdawało, głębokich. Rzeka ta, płynąca z południa ku północy, mogła mieć 20 metrów szerokości. Nagle Niani wydał okrzyk zadziwienia, a Kalulu zawrócił się prędko i zobaczył pośród trzcin pirogę z czterema pagajami.

Co robić? Czy przepłynąć rzekę tą pirogą? Motto był zdania, żeby się nie narażać na jakie przykre spotkanie, dopóki nie rozpoznają okolicy, i że najbezpieczniej będzie ukryć się w gęstwinie.

Niezdługo napotkali krzaki, wsunęli się więc pomiędzy nie, zostawiając Niani'ego na straży.

Simba zapytał Kalulu: Jakie pokolenie mieszka w tym kraju?

— Zdaje mi się, że to są Ua - Liemba — odpowiedział on. — Ta piroga musi należeć do myśliwych; zostawili ją tu, a sami włączą się po równinie.

Motto był zdania, żeby się ukrywać do północy, a potem wziąć pirogę i popłynąć w dół rzeki. Selim i Abdallah utrzymywali, że przywłaszczenie sobie czółna byłoby krokiem nieprzyjacielskim, ale

zamknięto im usta dowodzeniem, na które nie znaleźli odpowiedzi.

Nakoniec zapadła noc, Niani mógł więc opuścić swój posterunek.

## ROZDZIAŁ XII

Z biegiem wody. — Nakoniec dochodzą do jeziora. — Selim strzela do zebry. — Jazda na grzbiecie zebry. — Selim uratowany. — Na jeziorze. — Znowu dostają się do niewoli.

Zapadła noc cicha i pogodna. Było słychać tylko żabę ryczącą, która się kryła w wielkich trawach i krokodyła ryczącego; przykry krzyk czarnego ibisa ustał oddawna. Nasi awanturnicy zaczęli wybierać się w drogę, niemal pewni, że nie spotkają nikogo.

Wszyscy wsiedli pocichu do pirogi. Simba i Motto, schwyciwszy pagaje, pchnęli ją na drugą stronę jeziora, i ukryci w cieniu dużych traw oraz mangrów, przemykali się wzdłuż brzegu.

Płynąc przez wieś, przestali wiosłować: unosił ich sam prąd. Dopiero za wsią wzięli znów za pa-

gaje; Kalulu i Selim dopomagali im, piroga posuwała się więc dwa razy prędzej.

Gdy minęli stolicę uprawianą, Simba i Motto natężyli siły; nadbrzeżne drzewa i wielkie trzciny przesuwały się szybko przed oczami wędrowców. Spiesząc tak, mogli być pewni, że ich nikt nie doścignie i że nie zostawią śladu swej przeprawy.

Brzask odstąpił przed ich oczami dosyć znaczne wzgórza, nad samem wybrzeżem uwieńczone dużemi drzewami. Pęd wody wzmógł się; miejscami piroga mknęła, jak strzała, pomiędzy skałami, które tam były bardzo zwarte. Ustała wszelka kultura. — Sprzyja nam szczęście — rzekł Simba, a ożywieni temi słowy wiosłarze, zdwoili energję i zręczność.

Za okolicą pagórków rzeka była szersza i mniej rwąca; kępy ogromnych trzciny „matete“ wysokich, jak bambusy, wynurzały się z wody. — To niezdrowa okolica — powiedział Simba — napotkamy tu samych tylko rybaków. — Wiosłarze porzucili na chwilę pagaje, żeby się posilić mięsem wędzonym, poczem łódka pomknęła dalej. Wielka tafla Liemby była zasiana piaszczystemi wysepkami, wokoło których sterczały trzciny. Krokodyle, wygrzewające się pod promieniami wschodzącego słońca, czemprędzej zanurzały się na widok intruzów. Potem piroga mijała gaje mangrów, grupy *eschinomenae*, które strzelały kolenkami we wszystkich kierunkach; płynęła wzdłuż wysepek i ławic piaszczystych, wzdłuż wąskich kanałów — a cały ten czas gromadka wędrowców nie wiedziała, dokąd ją pęd wody zaniesie. Te kanały

musiały się jednak ciągnąć do samego jeziora—celu ich wyprawy — a tylko o to im chodziło.

Zatrzymawszy się w samo południe na środku pewnego rodzaju bagna, porośłego mangrami, wypoczywali w pirodze i dopiero w nocy popłynęli dalej. Nalewo lasy i duże polany widniały pośród błękitnawych pagórków, a wzdłuż jeziora białął rąbek drobnego piasku. Z prawej strony piętrzyły się góry skaliste, których strome zbocza, pokryte mimozami i tamaryskami, spuszczały się do brzegu jeziora.

Zbiegowie nie mogli się nacieszyć tym krajobrazem.

Czy niebezpieczeństwo przestało im grozić? Jeszcze nie. Gdyby się kto puścił w pogoń za nimi, musieliby wiosłować jeszcze długie godziny, zanimby mogli być spokojni o siebie. Abdallah i Niani zastąpili Selima i Kalulu, a Simba i Motto byli nieustrudzeni.

Dopłynawszy do wysepki po ośmiogodzinnej przeprawie wzdłuż prawego brzegu rzeki, wylądowali, żeby przenocować, nazajutrz zaś z samego rana puścili się w drogę. Simba, spostrzegłszy polanę między dwiema skałami, oznajmił, że musi tam być zwierzyna i że należy urządzić polowanie, gdyż pozostało im bardzo mało zapasów.

Tuż przy wybrzeżu zaczynał się las, pełen drzew owocowych; rzucili się więc na „singue“ czyli śliwki dzikie i „mbembu“ owoce, mające smak gruszki i brzoskwini.

Gdy się orzeźwili, Kalulu zaproponował, żeby

on sam z Selimem tropił zwierzynę z jednej strony lasu. Motto i Abdallah z drugiej; Simba zaś i Nia-ni mieli strzedz pircgi. Projekt ten przyjęto jedno-głośnie.

Kalulu i Selim puścili się na poszukiwanie przygód—pierwszy z włócznią, łukiem i strzałami, drugi ze swą słynną fuzją angielską. W lesie tym, zrazu rzadkim a potem coraz gęstszym, nie było wcale zwierzyny. Naraz nasi dwaj przyjaciele wy-dostali się na przestrzeń pełną pagórków, łąk i grup odwiecznych drzew — istny park. O jakie sto me-trów igrały zebry. Naczelnik gromady, zwietrzy-wszy dwóch myśliwych, z głową podniesioną, w po-stawie, tchnącej pewnością siebie, śledził ich uwa-żnie. Selim spuścił szybko kurek u fuzji i wycelo-wał do szlachetnego zwierzęcia.

Gdy rozległ się strzał, zebra padła, a reszta stada uciekła galopem, rżąc przeraźliwie. Staną-wszy poza wystrzałami fuzji piękne te stworzenia przyglądały się wrogom swoim. Kalulu i Selim, śmiejąc się, jak dzieci i podskakując, niby antylopy, rzucili się na zranione zwierzę.

— Jakieżto piękne stworzenie! — zawołał zachwycony Selim, i pewien, że zebra nie żyje, wsiadł na nią, jak na konia, wziął ją za grzywę i powie-dział do Kalulu: To piękny wierzchowiec... chciał-bym wrócić na takim do Zanzibaru.

Nagle zerwała się zebra i ponieważ Selim nie zdążył zeskoczyć, szybko, jak strzała, popędziła z nim do stada.



Kalulu krzyknął z przestachu, ale nie stracił przytomności i napiąwszy łuk, puścił strzałę w bok zebry.

Byłoto niejako spięcie ostrogą zwierzęcia, które puściło się naprzód szalonym galopem. Inne zebry, rżąc radośnie na widok swego wodza, zaczęły biedz ku niemu, spoglądając podejrzliwie na jeźdźca, co siedział na jego grzbiecie. Z uszami do góry, z wargą zwieszoną, z wyszczerzonymi zębami przyskoczyły do Selima, zabierając się do wściekłego wierzgania. Zebra, na której siedział, musiała stracić przytomność i uciekła, a za nią podążyła cała gromada. Niezadługo wszystkie znikły w lesie.

Kalulu przyjrzał się dobrze, jaki kierunek obrały i wrócił czempędzej do obozu. Simba nie mógł wyjść z podziwienia, gdy usłyszał, że Selim pojechał na grzbiecie zebry. Natychmiast wziął fuzję i pospieszył za Kalulu, który już powracał, biegnąc co sił.

Niani rozplakał się, a Simba, zaleciwszy, by nie wychodził z kryjówki, podążył śladem Kalulu. Zatrzymali się na chwilę pod drzewem, gdzie zebra padła, jak się zdawało -- nieżywa. Kalulu wskazał Simbie, w którą stronę pobiegło stado i obaj zaczęli pędzić.

Kroki rozjątrzonych zebra odciskały się głęboko; tu i owdzie zranione zwierzę zostawiało duże ślady krwi. Naraz spostrzegli zebra leżącą — tym razem już nieżywą — i Selima, który szedł ku nim.

Simba i Kalulu byli tak zdyszani, że musieli

rzucić się na ziemię i przeczekać, żeby im serca przestały tak gwałtownie bić, zanim zaczęli słuchać opowiadania Selima. Opowieść ta była bardzo prosta: gdy jego wierzchowiec padł, osłabiony utratą krwi, skoczył on czempredzej za drzewo, a zebry, rżąc i pędząc wciąż szalonym galopem, znikły po chwili.

Zabrawszy najdelikatniejsze części zebry, trzech przyjaciele powrócili do miejsca, gdzie Selim zostawił swą fuzję, stamtąd zaś udali się do obozowiska. Reszta myśliwych zabiła młodą bawolicę, której apetyczne mięso piekło się na dobrym ogniu.

Przepędzili noc w tem miejscu, nazajutrz zaś wyruszyli w drogę.

Po niejakim czasie jezioro zdawało się ścieśniać; rzeczywiście, pomiędzy brzegami jego była mniejsza przestrzeń. W tem zwężeniu pęd wody wzmógł się i porwał czółno ku północy, na jezioro daleko większe od pierwszego.

Oswojeni z widokiem napotykanym często hipopotamów i krokodyłów, przestali zwracać na nie uwagę. Stroniąc od wsi, wybierali na noclegi dobrze osłonięte przystanie, albo bezludne wysepki.

Ponieważ dotąd nie spotkali się z żadnym wrogiem, pewni byli, że już im nic nie grozi i że bez przeszkody dojdą do Uzua.

Szóstego dnia po wplynięciu ich do jeziora, zerwała się straszna burza z błyskawicami i ulewnym deszczem. Jezioro, wzburzone wskutek silnego wiatru, toczyło ogromne fale. Co chwila zdawa-

ło się, że piroga pójdzie na dno. Simba i Motto wyteżali siły, żeby ją pchnąć do brzegu, ale wiatr parł ją na środek wody, a fale podrzucały jak łupinę orzecha. Błyskawice krzyżowały się we wszystkich kierunkach, pioruny sprawiały ogłuszający huk, a ulewa stawała się coraz gwałtowniejsza.

Simba i Motto wciąż wiosłowali ku brzegowi poprzez mgłę i deszcz, który ich oślepił. Nastąpiła chwilowa cisza i horyzont rozjaśnił się, a nasi biedacy spostrzegli wtedy z przerażeniem, że na wybrzeżu jest pełno ludzi i że wszyscy ci ludzie zdają się na nich czatować.

Zaledwie zdążyli pomyśleć nad tem, czy to są wrogowie i jak ich przyjmą, bałwany, odbijające się od brzegu, podrzuciły pirogę: jeden wyrwał pagaję z rąk Simby i cisnął ją wprost, na drugi bałwan, który uniósł ją, jak piórko, a potem rzucił gwałtownie; trzeci, uchwyciwszy ją z nieprzepartą siłą, uderzył nią o brzeg i zgruchotał. Odurzeni upadkiem rozbitkowie, nie zdążyli jeszcze podnieść się, znowu popadli w niewolę.

Ich nowi panowie należeli do koczującego pokolenia uazuilasów. Gdyby nasi wędrowcy mogli wędrować jeszcze trzy dni, dotarliby do Uzua, gdzie przyjętoby ich życzliwie. Właśnie w chwili, kiedy mieli uzyskać wolność, wpadli w ręce tych podłych włóczęg. — Co za rozpacz!

Simba bronił się jak lew, ale cóż mógł poradzić przeciw tłumowi? Został skrępowany tak samo

jak inni. Postawiono ich wszystkich pod daszkiem na słupkach, żeby się przypatrzeć białemu ciału i długim włosom młodych arabów.

Simba i Motto, przysłuchując się rozmowom swych nowych panów, doszli, kto oni są, dlaczego opuścili swój kraj, i w jaki sposób myślą do niego powrócić. Porozumieli się przytem z sobą ukradkowym spojrzeniem, że przy cierpliwości i ostrożności zdołają znowu uciec, byleby gwałtowny wybuch Kalulu, albo rozpaczliwy opór dwóch młodych arabów nie pokrzyżowały im planów.

Burza uspokoiła się, deszcz ustał. Nomadowie powiązali jeńców za szyję powrozami z kory zielonej i opuściwszy brzeg jeziora, powędrowali w głąb kraju.

Szli oni w ogóle w kierunku wschodnim, ale tak często zbaczali z drogi, że Motto był nieco stropiony.

O północy biwakowali w gęstym lesie. Biedni jeńcy strasznie zmordowani, usnęli mimo pęt, co im krępowały szyje i ręce.

## ROZDZIAŁ XIV.

Niewola w całej grozie. — Przeprowa przez rzekę — Wyzwolenie. — Walka Simby z lampartem. — Jak rozpala się ogień. — Jak walczą uatutasy. — Kalulu dostaje się, przez zdradę, do niewoli.

Następnego dnia, podczas rannego pochodu, Motta wyrozumiał ze słów kilku wojowników, że Casema, naczelnik gromady, zamysła napaść na pewną wieś pokolenia uatutasów północnych, korzystając z tego, że wielu wojowników z tejże wsi udało się na polowanie.

U schyłku dnia karawana zatrzymała się w gęstym lesie. Wojownikom i jeńcom zakazano rozpalać ogień. Wszyscy się wzięli do obejrzenia swej broni, gdyż napad był spodziewany lada chwila.

Dwudziestu ludzi miało strzedz jeńców, reszta

Z ziemi niewolników.

16

Dodatek do Nr. 31 „Wędrowca“.

zaś puściła się w głąb gęstego ciemnego lasu. We dwie lub trzy godziny dostrzeżono w kierunku południowym lunę ponad drzewami. Zbrodnia była już dokonana! Około północy nomadowie powrócili, prowadząc około dwustu pięćdziesięciu niewolników: kobiet, dzieci i starców. Garstka silnych mężczyzn, pozostałych we wsi, legła, broniąc wstępu do niej.

Dwaj młodzi arabowie przyjrżeli się wtedy zbliżona ohydnej rzeczy, która nosi miano niewoli. Widok ten obudził w nich taką odrazę, że żadne rozumowania nie zdołałyby ich tak odstręczyć od handlu niewolnikami.

Posuwając się naprzód, karawana zostawiała wciąż za sobą, na pastwę żarłocznych hyjen i szakali — istoty ludzkie, stworzone na obraz i podobieństwo Boga, które nie mogły dłużej znosić trudów i głodu.

Deszcz padał bez przerwy, jeszcze bardziej utrudniając pochód.

Piętnastego dnia wędrowcy puścili się ku północy; siedemnastego dotarli do równiny, pokrytej wodą na 6 stóp, wskutek wylewu rzeki, nazywanej Rongua — jak się udało usłyszeć Mottowi.

Motto szepnął Simbie, że, według niego, nadchodzi chwila, kiedy uda im się uciec. Liczył na to, że gdy dojdą do rzeki, będzie już pewnie ciemno, zdejmą im więc pęta z rąk, aby mogli pływać w razie potrzeby, i że powstanie stąd zamęt, z którego z łatwością skorzystają. — Uprzedzili zaraz przyjaciół, żeby gotowi byli na wszelki wypadek.

Ileż nieszczęśliwych kobiet, ile biednych dzieci pozostawiono, umierających, na bagnisku, co poprzedzało rzekę! Uzuilasy nie oglądali się nawet za ofiarami i żeby przyspieszyć pochód, dobijali pozostałych przy życiu.

Zaraz po zachodzie słońca karawana dotarła do rzeki Rongua. Kilku wojowników zbadało grunt, a z wysileniem ich, żeby się oprzeć pędowi, łatwo było wnosić, iż rzeka stanie się grobem dla znacznej części gromady.

— Przetnijcie nam przynajmniej pęta, żebyśmy spróbowali ocalić swe życie — rzekł Motto do jednego z wojowników.

Żądanie to było tak naturalne, że przeciął on pęta Motto'wi i jego towarzyszom.

Simba zanurzył się pierwszy w wodzie i ponieważ był rosły i silny, podał rękę z jednej strony Selimowi, z drugiej Abdallahowi; Motto wziął w opiekę Niani'ego; Kalulu zaś, wsparty lekko na jednym z jego ramion, korzystał z tego, że tamuje pęd wody i pomógł mu przepychać Niani'ego. Simba wydostał się na środek rzeki; dwaj młodzi arabowie i Niani stracili grunt pod nogami; pęd był tak silny, że i Kalulu z największą trudnością zachowywał równowagę. Było to ciężkiem zadaniem nawet dla Simby i Motta.

Dopłynęli jednak do następnego brzegu i padli na ziemię, udając, że są całkiem pozbawieni sił.

Za gromadką Simby szło około dwudziestu wojowników, prowadząc za rękę kobietę lub dziecko.

Pierwszy z nich wiódł lekliwą niewiastę; gdy uczuła że nie dotyka gruntu, wydała przeraźliwy krzyk, i z rozpaczą uczepiwszy się szyi wojownika, pociągnęła go za sobą. Ten dał nurka, żeby jej się pozbyć i zaczął żwawo płynąć ku brzegowi, a dwóch z pomiędzy wojowników, strzegących gromadki Simby, pospieszyło do rzeki, żeby mu przyjść w pomoc.

Krzyk tonącej niebogi wywołał taką panikę wśród kobiet i dzieci, że w żaden sposób nie chciały wejść do wody. Mężczyźni, którzy je prowadzili i podtrzymywali, zaczęli się chwiać pod naporem prądu i porwani na głębszą toń, z wielką trudnością ratowali życie. Kobiety i dzieci, unoszone także przez pęd wody, wydawały krzyki rozpaczliwe. Powstał zamęt nie do opisania.

Naraz Casema podniósł głos, rozkazując, żeby każdą z kobiet umieścić pomiędzy dwoma wojownikami, dla większego bezpieczeństwa. Biedaczki, stojące jeszcze tam, na przeciwnym brzegu, przerażone losem towarzyszek, nie chciały wejść do rzeki, ale je wciągnięto przemocą, pomimo ich oporu i błagań. Simba dał znak Mottowi, żeby zabrał łuki i strzały dwóch wojowników, którzy się właśnie oddalili, sam zaś wziął na siebie rozbrojenie i zabicie tego, co ich strzegł z szablą w ręku. Motto dał hasło swym przyjaciółom, poczem skinął na Simbę, żeby przystąpił do dzieła.

Ten podniósł się szybko jak błyskawica, wyrwał wojownikowi szablę, na której się opierał, ściał



mu głowę i wrzucił ją do rzeki. Obeszło się to bez walki, bez krzyku, i ponieważ panowały ciemności, nikt nie spostrzegł, co się stało. Motto zabrał spiesźnie łuki i strzały, a potem, żeby który nie zginął — wzięli się wszyscy przyjaciele za ręce i oddalili szybko.

Rozdzierające krzyki zwiastowały im, że się stało nowe nieszczęście, pewni przeto byli, że w takiej chwili nikt nie pomyśli o pogoni.

Zwrócimy się ku północo - zachodowi — rzekł Motto, bo w północnej stronie gotowiśmy napotkać znowu jakich uazauilasów.

Kalulu skakał z radości, a Selim i Abdallah składali serdeczne dzięki Bogu za to, że ich raz jeszcze wybawił z niewoli.

Skoro nastał dzień, ujrzeli przed sobą pasmo gór, pokrytych zielenią: przez ostrożność podążyli w tym kierunku: opary wznosiły się ze wszystkich stron, gdyż pora dżdżysta zaczęła się właśnie w Afryce środkowej.

— Musi tu być zwierzyna — rzekł Simba — więc spodziewam się, że jako ludzie wolni, jakimi jesteśmy teraz, nie poprzestaniemy na tych lichych ziarnkach kukurydzy, twardszych od kamieni. To było dobre wtenczas, gdyśmy byli w niewoli.

— Pójdziemy na polowanie? — zapytał, zawsze skory do tego Kalulu.

— Idźmy — odparł Simba. — Ty weź swój łuk, a ja zabiorę włócznię, bo z łuku nie umiem strzelać, a fuzji nie mam już, niestety,

— Ja zostanę przy dzieciach — powiedział Motto ze śmiechem — będę pilnował, żeby nie zrobiły jakiego głupstwa.

Kalulu wziął trzy strzały w lewą rękę, łuk w prawą, i lekkim krokiem puścił się wąwozem, wiodącym do rozległej doliny. Pierwszym przedmiotem, jaki odkryły jego bystre oczy, była antylopa z gatunku większych; leżała ona sama jedna pod drzewem, jak się zdawało, spokojnie zajęta przeżuwaniami. Simba skrył się za grubym drzewem, a Kalulu zaczął pełzać pomiędzy wysokimi trawami. Zbliżywszy się na właściwą odległość, cisnął strzałę: antylopa zerwała się na nogi, dała ogromnego susa i padła na bok. Kalulu odwrócił głowę, żeby zawołać na Simbę i zdretniał, zobaczywszy, co się dzieje.

Simba, stojąc w postawie człowieka, który ma odeprzeć napaść, wyciągnął lewą rękę, obwiniętą w kawałki odzieży; prawą zaś trzymał, niby puginał, włócznię, u której odłamał obsadę o kilka cali od żelzca.

W chwili, kiedy zaczął biedz na pomoc przyjacielowi, zobaczył, że lampart rzuca się na niego z przeraźliwym krzykiem. Kalulu nie stracił przytomności i natychmiast położył strzałę na cięciwie łuku, posuwając się jednocześnie naprzód. Simba zatopił pięść w paszczy lamparta i kilkakrotnie ugodził go żelzcem włóczni w bok, ale szpony zwierzęcia orały biodro i kolana Simby. Na szczęście był on rosły i silny; gdyby nie to, impet uderzenia obaliłby go na ziemię.

Kalulu posuwał się ciągle; zbliżywszy się na tyle do zwierzęcia, żeby mógł w nie trafić nie kalcząc Simby, przeszył je pierwszą strzałą. potem rzucił drugą i trzecią. Nakoniec udało się Simbie zatopić żelaziec w sercu wroga: szpony zaczęły się rozluźniać i niebawem lampart padł nieżywy.

Simba poniósł ciężką ranę; ale widząc rozpacz Kalulu, pocieszał go pocziwy ten olbrzym, mówiąc:

— Dajże pokój... Nie będzie mi nic... Gdyby nie to, żem się wypościł w ostatnich czasach, zgiąłbym to zwierzę we dwoje, jak słomkę. Ale jadał przez dwa tygodnie tylko ziarnka kukurydzy, a cóż to za pożywienie...

Kalulu poszedł uwiadomić przyjaciół, którzy przybiegli natychmiast. Zobaczywszywszy krew, broczącą się z Simby, Selim i Abdallah byli pewni, że umiera.

— Jest na to lekarstwo — rzekł Simba, uśmiechając się. Ty, panie mój Abdallahu, rozpal dobry ogień; a ty, panie mój, Selimie — ukrój porządny kawał antylopy. Gdy położę kawałek mięsa na ząb, zacznie mi być lepiej, a jak położę duży kawał, to przyjdę całkiem do siebie.

Abdallah i Selim wzięli się gorliwie do dzieła. Ale pierwszy, zgromadziwszy już wszystko, czego potrzebował do rozpalenia ogniska, uderzył się w czoło i rzekł z żalem:

— Mamy wprawdzie drzewo, ale gdzież ogień? Nasze fuzje leżą w głębi jeziora...

— Kalulu, nucz go, jak ma sobie poradzić — powiedział Motto, zajęty opatrywaniem rany Simby.

Kalulu wybrał bardzo twardą i bardzo suchą korę, położył ją na ziemi, ścisnął nogami, żeby ją przytrzymać i posypał szczyptą piasku, który wysuszył a nawet rozgrzał trochę w dłoni, wziął następnie najmocniejszą ze swych strzał, obskubał na niej pióra, odłamał rowek i wygładził czub. Potem położył na korze trochę suchych liści i traw, i obracał szybko pomiędzy dłońmi strzałę, której koniec dotykał kory. Z zetknięcia się kory i strzały, szybko obracanej, wydzielilo się ciepło, poczem pokazał się dymek, następnie iskry, w końcu płomień błysnął.

Simba, zjadłszy taką porcję antylopy, że wystarczyłaby dla dwóch zwykłych ludzi, ośmiał się, że mu już daleko lepiej i że niezadługo otrząśnie się z choroby.

Dolina, w której przyjaciele nasi osiedli [tymczasowo, była piękna sama przez się, ale widok na góry dodawał jej jeszcze uroku. Na nieszczęście, ponieważ było dżdżysta pora — chmury, guane wściekłym wichrem, co chwila zasłaniały widnokrąg i wzmaczały ulewę.

Pomysłowy Motto zbudował dla swych przyjaciół schronisko, słota niebardzo im więc dokuczala.

Po dwudniowym wypoczynku Simba przyszedł o tyle do siebie, że mógł już chodzić; puścili się zatem poprzez góry, w kierunku północno-zachodnim.

W przeciągu tygodnia posunęli się tylko na 40 mil; dopiero gdy Simba wyzdrowiał zupełnie, zaczęli

maszerować dawnym krokiem i uszli owego dnia aż 35 mil.

Tego dnia, a było ósmy dzień po ich ucieczce, napotkali pewne ślady kultury i naraz spostrzegli kilka bud na polanie.

W tejże chwili strzała świsnęła nad uchem Simby, potem druga, nareszcie i trzecia.

Wprawne ucho Kalulu poznało zaraz świst strzały, a jego bystre oko, szperając pomiędzy krzakami, ujrzało, w oddalonem nieco zaroślu, gromadę ludzi, stojących na czatach.

— Hop, hop! Simbo! Chodźcie wszyscy! — zawołał. — Prędko, spieszcie na tę górę! Ja także zaraz tam przyjdę. Muszę splatać figła tym niepo-  
niom i pokazać im, jak się biją uatutasy.

— Nie pójdziemy bez ciebie — rzekł Simba.

— Ani słowa więcej — powiedział Kalulu — pamiętajcie tylko o dwóch arabach. Ja nie lękam się niczego. Wejdźcie na tę górę, proszę was!

— On dobrze wie, co robi — odezwał się Motto. — Naprzód, wszyscy!

Gdy Kalulu zobaczył, że biegną we wskazanym kierunku, udając, że kuleje wskutek poniesionej rany, zwrócił kroki do dużego drzewa, za którem się skrył. Stanąwszy za drzewem, położył zaraz strzałę na cięciwie łuku, trzy inne zaś trzymał na pogotowiu w lewej ręce.

Sześciu ludzi wyszło ostrożnie z zarośli i otoczyli to drzewo w pewnej odległości. Pierwszy, co spostrzedł Kalulu, leżącego u stóp drzewa, rzucił weń

swą włócznię. Padła tuż przy jego nogach, ale się nie ruszył. Druga włócznia utkwiła o sześć cali od niego; oszczep zadrasnął korę nad jego głową—on nie mrugnął okiem. Ci ludzie byli przekonani, że jest zbyt ciężko ranny, żeby się bronić. Najmniej tchórzliwy wystąpił z gromady, a mniemany ranny puścił mu zaraz pierwszą strzałę w samą pierś. Innego trafił strzałą w biodro. Wtedy młody wódz, zebrawszy obie włócznie i oszczep, które weń ciśnięto, wydał wojenny krzyk uatutasów i, lekki jak antylopa, przebiegł zarośla w podskokach.

Widząc, że biegnie, inni powychodzili z kryjówek i puścili się w pogoń za nim. Kalulu właśnie tego chciał. Stanąwszy na szczycie jednego ze wzgórz, ukrył się za gęstym krzakiem ciernistym i czekał z natężonem okiem i uchem.

Pierwszemu z wrogów, który się pojawił, strzała przeszła szyję: padł on, nie wydawszy krzyku, a nowa strzała leżała już na cięciwie i Kalulu gotów był dać drugi strzał. Człowiek, do którego celował, chciał uciec, ale było zapóźno, strzała utkwiła mu w plecach.

Kalulu wyszedł wtedy z ukrycia, śmiało zebrał włócznie, luki i strzały dwóch ludzi, zabitych przed chwilą, i widząc, że drudzy dwaj uciekają co sił, powrócił do przyjaciół.

— Podły ze mnie tchórz; ja także powinienem był tam być—rzekł Simba, gdy Kalulu opowiedział swą przygodę.

— Przeciwnie: nędznicy, którym dałem tę na-

uczkę, nie pokazałoby się, gdyby nas było kilku, a strzelając z ukrycia, mogliby zabić którego z nas. Wszystko się stało jaknajlepiej. Teraz umykajmy, zanim ci dwaj zbiegowie poruszą całą wieś przeciwko nam.

Podczas pochodu Simba wpatrywał się z uwielbieniem w Kalulu i potrząsając znacząco głową, mruzczał: Tem gorzej dla Ferodji.

— Dlaczego patrzysz na mnie takimi dziwnymi oczami i co mówisz o Ferodji?—zapytał Kalulu.

— Powiem ci tylko tyle, że jak będziesz starszy o kilka lat, to Ferodja srodze pożałuje tego, co uczynił.

— Mam nadzieję...—odparł Kalulu z siłą przekonania.—Ale w jakim my kraju jesteśmy? ciągnął dalej. Zdaje mi się, że ci lotrzy byliby także uazulilasy. Oni są rozpierzchnięci wszędzie potrosze w tych stronach, odkąd król Unyanyembe wygnał ich z własnego kraju. Znajdujemy się na północy. Przed przybyciem do ich kraju, powinniśmy napotkać drogę Unyanyembe, która ciągnie się z Uzua do Fipa.

Nazajutrz, gdy przebyli z wielkim mozołem stoki pasma czerwonych pagórków, Motto-geograf swej drużyny, rzekł: Tu kończy się kotlina rzeki Rongua, zbliżamy się więc do Unyamuezi; doskonale!

Wieczorem, nieopodal obozowiska, złapał Kalulu swą włócznią w wylewie dwudyszną rybę, nazywaną „Lepidosiren“, która mogła ważyć 10—12

funt. Ta ryba z wąsami nosi niekiedy miano ryby „błotnej“. Simbie i Motto'wi udało się także złowić kilka, a były one pożądane, bo wędrowcy wyruszyli z obozu po bardzo skromnem śniadaniu. Następnego dnia, koło południa, napotkali niezłe wytkniętą drogę, która, według Motta, miała prowadzić prosto do drogi Unyanyembe. Przerzynała ona gęsty las, do którego dotarli przed samym zachodem słońca.

Gdy po rozpaleniu ognia zabierano się do odgrzania wczorajszej ryby, Kalulu powiedział:

— Warci jesteśmy lepszej wieczerzy: przyniosę wam co smaczniejszego.

Pomimo przestróg i prośb towarzyszków swych, udał się do lasu.

Dawno już brodząc po nim, a wciąż napróżno, oddalił się bardzo od obozu, kiedy zaleciała go dobrze znana mu woń... Tak, to przykra woń dymu... Zatrzymał się i rezejrzał wkoło. Kłęby dymu wznosiły się pomiędzy drzewami. Skąd wychodzi ten dym?... Dało to wiele do myślenia temu dziecięciu lasów, temu doświadczonemu strzelcowi... Dym w lesie... w dzystej porze!... Trzeba dojść, co to zjawisko znaczy!...

Przemykał się od krzaku do krzaku, od drzewa do drzewa, korzystając z najmniejszego pagórka, żeby się za nim skryć. To pełzając jak wąż, to skacząc jak lampart, zbliżył się w końcu do ogniska, z którego wychodził dym i stanął nawet tak blisko, że doszło go kilka głosów.

Dźwięk głosu ludzkiego w tych pustkowiach



zadziwia i zarazem przestrasza, gdyż może zwiastować zarówno wroga, jak i przyjaciela. Kalulu zdwoił ostrożność, a nawet zaczął się wahać, czy nie lepiej wrócić do obozu, niż narażać się na niebezpieczeństwo. Instykt myśliwego i ciekawość wzięły jednak górę.

Ukryty za drzewem, zobaczył uwijających się ludzi w długich szatach i w zawojach na głowie; mówili oni językiem, jakiego nie słyszał u żadnego ze znanych mu pokoleń. Szybko uprzytomnił sobie wszystko, co mu opowiadali Selim i jego przyjaciele, i doszedł do przekonania, że się znajduje wobec arabskiej karawany z Zanzibaru.

— Co począć? Czy pójść uwiadomić przyjaciół, czy też zawiązać odrazu stosunki z arabami?— zapytywał siebie—Co mi grozi? Może mię przyjmą z otwartemi rękami, przez wzgląd na Selima?

Wyszedł z ukrycia i śmiałym krokiem dążył do obozowiska. Arabowie, spostrzegłszy go, zaraz przemówili, zachęcając, żeby się zbliżył do nich.

Natychmiast otoczyło go ze czterdziestu ciekawych. Trzech z pomiędzy nich, zapewne naczelników gromady, rozmawiało z sobą. Kalulu zauważył, że nie mają białej skóry, jak Selim i Abdallah

Najstarszy z nich trzech, o maleńkich oczkach i ospowaty, zapytał Kalulu—kto on jest, skąd pochodzi i dlaczego znajduje się sam jeden w lesie. Kalulu odpowiedział z uśmiechem na wszystkie te pytania. Człowiek z małemi oczkami, zwróciwszy się do towarzyszy, zaczął prędko mówić, a w mowie je-

go brzmiały dźwięki czysto gardłowe, jakich Kalulu nie słyszał nigdy. Wskazywał on często na młodzieńca laską bambusową, którą trzymał w ręku; inni dawali znaki potwierdzające.

Naraz, kilku ludzi rzuciło się niespodzianie na biednego chłopca: w mgnieniu oka został obalony i rozbrojony. Człowiek z małemi oczkami włożył mu żelazny łańcuch na szyję i zamknął go na dużą kłódkę. Wtedy dopiero, gdy został niejako przykuty do gromady niewolników, puścili go owi ludzie, co go trzymali. Jeniec i jego nowy pan stali twarz w twarz.

Kalulu napróżno prosił, błagał, powoływał się na imię Selima, groził jego gniewem: ten śmiał się tylko i oświadczył, że chociażby wszyscy Selimowie z całego świata wdali się w tę sprawę, to młody murzyn jest jego niewolnikiem, że go zrazu za nisko oszacował i że teraz nie oddałby go nawet za sto dolarów.

— Tylko bez hałasu — dodał, widząc, że jeniec unosi się, grozi, oburza. — Tylko bez hałasu, mój chłopcze, bo... Dalej, wszyscy w drogę! Nie chcesz umilknąć, a więc sam będziesz sobie winien... tem gorzej dla ciebie.

Biedny młodzieniec doznawał odtąd takiego obejścia, jak każda ofiara, dosyć odważna i silna, żeby stawiać opór handlującemu żywym towarem. Bito go, dopóki go siły nie opuściły, dopóki mu serce nie omdlało, dopóki nie wolałby sto razy śmierć, aniżeli życie.

Była ciemna noc. Simba stał u wejścia do obozu, trawiony niepokojem o Kalulu. Inni nadstawiali ucha na najlżejszy szmer. Wszyscy milczeli, bojąc się wyjawić swe obawy.

— Czyżby się zabłąkał?—spytał nakoniec Simba swego doradcy, Motta.

— Onby się zabłąkał.. Co znowu! Powróci obładowany zwierzyną. Kalulu jest zbyt oswojony z przebieganiem lasów, żeby się zabłąkać.

— Może być... Chciałbym jednak mieć pewność, że nie stało mu się nic złego.

Ciemności wzmagały się ciągle, a trwoga doszła do najwyższego stopnia.

— Słuchajcie—rzekł roztropny Motto—nie powinniśmy rozpaczać, dopóki jest jeszcze nadzieja. Nie upadajmy na duchu i pamiętajmy, że Kalulu jest dosyć silny i zwinny, żeby drwić ze wszystkich zwierząt leśnych. Potrafi on sobie radzić w potrzebie i może bardzo prosta przyczyna zatrzymuje go zdala od nas. Pójdę rozejrzeć się jeszcze po lesie i przy sposobności przyniosę co do zjedzenia. Nie traćcież otuchy... Zdarzają się osobliwsze rzeczy, aniżeli to, żeby Kalulu powrócił.

Przyszedł on samą nocą z powrotem do obozu, obarczony małą antylopą i opowiedział, co następuje:

— Puściłem się tą samą drogą, co pan nasz, Selim—i dotarłem do gęstszej okolicy lasu. Na stosie żółtawej ziemi, wyrzuconej przez dzika, który kopał sobie norę, spostrzegłem odciski dwóch nóg i poznałem odrazu, że są to ślady stóp Kalulu.

Idąc lasem w tym kierunku, jaki one wskazywały, doszedłem do odsłoniętego obozu: ogniska niedawno w nim pogaszono, bo popioły były jeszcze gorące. Kalulu widocznie znajduje się u tych ludzi, co się tam roztasowali, ale kto oni są—przybysze, tuziemcy, czy arabowie?

— Ruszajmy!—zawołał Selim—trzeba ich znaleźć jaknajprędzej.

— Przedewszystkiem zjedzmy co, potem pokrzepmy siły snem, a o świcie powędrujemy.

## ROZDZIAŁ XV.

Niepokój towarzyszy Kalulu.—Tabora.—Selim odnajduje przy-  
jaciela.—Zanzibar.—Powrót do domu ojcowskiego.—Bazar nie-  
wolników.—Kalulu.

Selim i jego druhowie wyruszyli o wschodzie słońca i przez wiele, wiele dni szli prosto, drogą, co przerzynała długie bez końca lasy i nieliczne pola-ny. W całej tej wyprawie nie spotkali żywej du-szy: mogło im się zdawać, że są jedynymi mieszkań-cami ziemi.

Nakoniec las przerzedził się i ujrzeli rozległą równinę, po której droga wiła się, jak długi wąz, dalej szeroką rzekę, nareszcie pola ze zbożem, wieś, i ludzi u wejścia do tej wsi. Motto zapytał ich o róż-ne rzeczy, a między innymi o to, czy nie widzieli

Z ziemi niewolników.

17

Dodatek do Nr. 32 „Wędrowca“.

przechodzącej karawany. Odrzekli, że już bardzo dawno nie pojawiła się żadna.

— Niestety — rzekł on do swych przyjaciół — teraz Kalulu przepadł... Myślałem, że ta karawana należała do arabów; ale widzę, że nie. Wszystkie karawany arabskie, bez wyjątku, przechodzą tą drogą, a ludzie ze wsi mówią, że nic nie widzieli. Kalulu wpadł w ręce bandy rabusiów. Ale kto są ci rabusie? Skąd idą? Dokąd dążą? Moglibyśmy szukać ich lata całe i nie napotkać. Pozostaje nam już tylko udać się do Unyanyembe...

— Biedny Kalulu! — rzekł Selim wzruszonym głosem—może go już oczy moje nie zobaczą, ale nigdy nie zapomnę, że był dla mnie najwierniejszym przyjacielem i najczulszym bratem. Ślubuję sobie nie kupować murzynów na bazarach, a gdy umrę, wszyscy, których posiadam, otrzymają wolność.

— Oby ci Allah błogosławił — rzekł Simba. — Gdyby wszyscy arabowie byli podobni do ciebie, imię ich nie byłoby przeklinane pośród biednych pogan.

Pochód młodzieńców trwał dni piętnaście, gdyż nie mając pomiędzy sobą Kalulu za przewodnika, błądzili często. Szesnastego dnia rano, Motto i Simba spostrzegli zarysy dobrze znanych pagórków, co otaczały siedziby arabskie. Nakoniec mieli przed sobą wielkie „tembe“ Tabory, opasane babkami i granatami.

Zapytywali przechodzących ludzi o imiona różnych mieszkańców Tabory, żeby się dowiedzieć, czy

nie znajdują przypadkiem znajomego. Pośród wielu obcych im imion usłyszeli nakoniec o Sultanie ben Ali.

— Gdzie on mieszka?

— Tam, przy tem dużem drzewie; w najbliższem stąd „tembe“.

— Idźmy do niego natychmiast — zawołał Selim—musi być pod werandą, z innymi arabami. Dlaczego oni przypatrują nam się z takim zadziwieniem?—dodał, widząc, że wszyscy przechodnie obracają głowy—czy nigdy nie widzieli arabów z Zanzibaru?

— Owszem, widzieli — ale nie w tak nędznym stanie. Abdallah i Selim byli prawie nadszy, pokryci pyłem, i wbrew zwyczajom arabów, mieli włosy długie, a w dodatku strasznie rozczochrane.

— Stary szejik z białą brodą, otoczony gronem przyjaciół, siedział na poduszce, z plecami, opartymi o ścianę.

— Kto wy jesteście? — zapytał z widocznem niezadowoleniem, spostrzegłszy zbliżających się przybyszów.

— Pokój z wami! — rzekli dwaj chłopcy najczystsza arabszczyzną z Maskatu.

— I z wami niechaj będzie pokój! — odpowiedzieli arabowie, zrywając się żywo.

— Jesteście arabami? — zapytał surowo stary szejik.

— Tak, jesteśmy arabami—odparł Selim drżącym głosem.

— Jak śmiecie—na Allaha—stanać nago przed prawowiernymi!

— Ojcowie nasi pomarli. Byli to bogaci kupcy zanzibarscy. Oni legli zabici w bitwie, a nas—ich synów, wzięto w niewolę. Po wielu miesiącach uciekliśmy—niechaj będą dzięki Bogu za to, że się zmiłował nad nami—i przybywamy do was, jako do krwi naszej.

— Zabici w bitwie! Ale któż wy jesteście?

— Ten oto jest Abdallah, syn Mohammeda ben Mussuda; ja jestem Selim, syn Amira ben Osmana; a ty, Sultanie, jesteś synem Ali'ego, mojego krewniaka i przyjaciela.

Starzec zbliżył się żywo do chłopaczków i przycisnął ich do piersi,—Chwała Miłosiernemu Bogu!—rzekł ze wzruszeniem. — Chwała Panu wszystkich stworzeń! Biedni chłopcy... a jam ich nie poznał!—Pocałował ich w czoło.—Odnajduję w waszych oczach spojrzenie ojców waszych. Wejdźcie, moje dzieci, nie chcę usłyszeć ani słowa, dopóki nie spełnię względem was obowiązków gościnności.

— Zaczekaj, zaczekaj, sultanie, synu Ali'ego—rzekł Selim—wdzięczność nakazuje nam powiedzieć, cośmy winni tym oto...—wskazał na Simbę, Motta i Niani'ego.

— To są wierni przyjaciele. Gdyby nie oni, Bóg wie, coby się z nami stało.

— Ci skromni przyjaciele Selima byli także w stanie, godnym politowania; stary szeik uściskał ich jednak serdecznie i cały dom oddał im na usługi.



Niewolnicy sułtana, usłyszawszy, co się dzieje, przyszli także uściskać starych druhów, których uważali tak długi czas za umarłych.

Dzięki poleceniom sułtana i gorliwości jego służby, Selim i Simba pojawili się niebawem, tak przeobrażeni, że trudno ich było poznać. Czekala ich suta wieczerza, na którą sułtan zaprosił swoich dwóch przyjaciół, żeby uczcić przybycie zbiegów.

Zamiłowanie prawdy nakazuje nam nadmienić, że Selim i Abdallah jedli, jak zgłodniałe wilki, i że Motto, Simba i Niani zmiotli ze zdumiewającą szybkością ogromną miskę ryżu, wyłącznie dla nich przygotowanego, a mimo to, zdołali potem spożyć równie wielką misę mięsa. Szczegóły te mogą się wydawać niezbyt bohaterские, ale są prawdziwe i godne wzmianki.

Selim przystąpił do opowiadania przygód swej drużyny, a żaden w świecie mówca nie miał tak współczujących słuchaczy. Plakał on, mówiąc o Kalulu; towarzysze jego także zalewali się łzami, z całego serca kochając tego, co był tak tkliwym dla Selima i tak szlachetnym względem jego przyjaciół.

— Wątpię, żebyśmy go odnaleźli, bo znam zwyczaje tych rozbójników, którzy go schwytali — rzekł starzec, a w głosie jego brzmiała boleść. — On już nie żyje, albo popadł w niewolę.

Zaraz nazajutrz stary szeik zaczął obchodzić ze swymi gośćmi siedziby arabskie. Przyjmowano ich wszędzie z wielką uprzejmością i raczono tak hojnie, że w miesiąc nie było już śladu ciężkich

przejsć na ich twarzach. Ta wędrówka skracała im wprawdzie czas, ale niemniej z utęsknieniem myśleli o dniu, w którym wyruszą do Zanzibaru.

Nakoniec nastąpiła ta chwila, po dwumiesięcznym wyczekiwaniu. Abdallaha i Selima oddano pod opiekę Suda ben Sayda, który prowadził do wybrzeża karawanę, złożoną z dwustu niewolników, obarczonych kością słoniową.

Sułtan ben Ali i inni arabowie odprowadzili chłopców trzy mile i z płaczem rozstali się z nimi.

Podczas całej podróży, która trwała siedemdziesiąt dni, karawana nie doznała ani jednej złej przygody; etapy następowały jedne po drugich, bez żadnej przeszkody.

Siedemdziesiątego dnia, przyjaciele nasi, z głębokim wzruszeniem dostrzegli ze wzgórz, co sterczą nad Bagamoyo, morze, oblewające Zanzibar.

Nazajutrz wsiedli na statek z sercem, przepętnionem błogiem uczuciem. Nakoniec ukazuje się im Zanzibar; zbliżają się; poznają w znacznym oddaleniu nawet najdrobniejsze szczegóły wybrzeża. Wzruszenie ich jest tak silne, że objawia się krzykami, które możnaby nazwać rykiem.

Wysiadłszy na ląd, zaczęli biedz w cwał. Na ulicach patrzono się na nich z zadziwieniem i uśmiechano się, widząc tak błyszczące oczy i tak radosne uśmiechy.

— Widzisz, Selimie — to mój dom! — zawołał naraż Abdallah.

Selim roześmiał się i rzekł: — A to mój! — Za-

mienili uścisk, obiecując sobie zobaczyć się niezadługo. Selim nie biegł już, lecz dawał skoki.

Na progu ojcowskiego domu stanął, drżąc cały; lica miał blade, serce biło mu tak gwałtownie, że aż sprawiało mu to ból. Gdy ochłonął nieco, poszedł wprost do mieszkania matki, nie zwracając uwagi na zdziwione spojrzenia i okrzyki służby, rozstępującej się przed nim z uszanowaniem.

Skoro wszedł, siedziała na poduszkach w omdlewającej postawie i patrzyła przez zakratowane okno, nic nie widząc.

Obróciła zwolna głowę, spojrzała nań, niejako przerażona, potem krzyknęła i rzuciła mu się w objęcia. Jakiżto był uścisk i jakimi oczami patrzyła, trzymając go na sercu, z twarzą niemal tuż przy jego twarzy.—Dziecię moje!—szepnęła i lzy zalały jej lica.—Chwała niechaj będzie Allahowi—dodała uroczyście—odzyskałam syna!

Posadziła go obok siebie i trzymając rękę jego w swych dłoniach, poprosiła, żeby jej powtórnie opowiedział swe smutne dzieje.—Allah jest dobry—rzekła—zabrał mi wprawdzie pana i męża, ale zostawił dziecię! Tego tylko żałuję, że nie mogę powiedzieć szlachetnemu Kalulu, że go tak kocham, jakby rodzzonego syna—jego, który był tak dobrym dla mego Selima!

Gdy pierwsze uniesienie minęło, Amina opowiedziała synowi, co się działo podczas jego dwuletniej nieobecności: stryj próbował objąć zarząd nad majątkiem, ale przy pomocy wiernych przyjaciół

zmusiła go do zrzeczenia się tych roszczeń; powiększyła fortunę; Khamis powierzył jej już posag Leily: Selim mógł się przeto uważać za jednego z najbogatszych zanzibarczyków.

— Tem lepiej! — rzekł on radośnie — bo mam dużo projektów w głowie i wielu przyjaciół, których pragnę uszczęśliwić.

Matka uściśliła go za te zacne słowa i wy mogła na nim obietnicę, że dopiero za lat kilka poślubi swą narzeczoną, gdyż miał nie więcej, jak osiemnasty rok.

Trzeciego dnia po swem przybyciu Selim udał się do miasta, w celu kupienia odzieży i podarków dla swych wiernych sług oraz ich rodzin. Wziął z sobą pośrednika, małego człowieczka, sprytnego a uczciwego mahometanina z Indyj. Simba, Motto i Niani towarzyszyli mu, jako doradcy. Mijając dom Abdallaba, wstąpił i po niego: przyłączył się on bardzo chętnie do gromadki, żeby się nacieszyć Selimem i przy sposobności, pochwalić się też świętym strojem, подарowanym mu przez matkę.

Na zakręcie ulicy natrafili na bazar niewolników. Był to dzień sprzedaży: nabywcy zalegali rynek, nadszedł bowiem znaczny transport czarnego towaru. Handlujący niewolnikami zdołali oszukać baczne oko krzyżowców angielskich i, jakby na urągowisko, sprzedaż odbywała się pod samemi niemal oknami domu konsula angielskiego, na którym powiewała chorągiew brytańska. Selim miał się już odwrócić ze wstrętem od tego ohydneho widoku,

kiedy, spojrzawszy poraz ostatni na komisarza, spostrzegł niewolnika, którego tenże miał właśnie wystawić na sprzedaż. Zbladł jak trup i rzekł do przyjaciół wzburzonem głosem:

— Prędko, prędko, spieszcie tu, na miłość Boską!—Pociągnął pośrednika swego i towarzyszków poprzez tłum.

— Ten niewolnik, który ma być wystawionym teraz na sprzedaż, to Kalulu—rzekł pocichu.

Motto żywo podniósł głowę—Prawda!—zawołał, poczem dodał do Simby:

— Idźmy we dwóch i porwijmy go.

— Sza!—szepnął Selim, kładąc palec na ustach. Ale Simba nie chciał nic słyszeć. — Muszę połamać żebra temu złodziejowi, który wziął zdradą Kalulu!—wykrzyknął, szamocąc się.—Selimie, pozwól mi połamać mu żebra.

— Cicho...—szepnął znowu pośrednik.—Nie o to chodzi, żeby łamać żebra lub szczęki, lecz żeby kupić tego niewolnika. Ja biorę to na siebie... Niechaj się nikt nie rusza z miejsca.

— Daj za niego choćby tysiąc dolarów! — powiedział Selim do pośrednika.

— Dostanę go za tanie pieniądze — odpowiedział tenże.—Jak panowie widzicie, ma kajdany na rękach... musi być niebezpieczny, więc nie znajdzie wielu amatorów. Simbo, bądź gotów z pomocą, jeśli się będzie wrywał; ale nie ruszaj się, póki nie dam znaku.

Komisarz, o stentorowym głosie, w ogromnym

turbanie na głowie, zaczął wabić publiczność i wychwalać w trywialnych a przesadnych słowach zalety człowieka, którego wystawia na sprzedaż.

-- Powiedz mi, dlaczego on ma kajdany na rękach?—zapytał pośrednik Selima z udaną prostodusznością — czy chciał zabić swego pana? A ten łańcuch na szyi co znaczy? Może próbował uciec?

— Cicho!—huknął komisarz—naznacz tylko cenę i nie pytaj o nic.

— Dwa dolary! — krzyknął pośrednik, uśmiechając się szyderczo.

Komisarz wściekał się. Kilka osób podbiło wprawdzie jeszcze cenę, ale bardzo nieznacznie; z wielkim żalem musiał on więc przysądzić Kalulu za śmiesznie niską cenę 30 dolarów.

Gdy pośrednik odliczył te 30 dolarów w złocie amerykańskim, komisarz roześmiał się i rzekł doń czelnie:

— Kochany przyjacielu, ten niewolnik zamorduje cię, za pierwszym razem, kiedy cię zobaczy zagrożonym we śnie. Bądź czujny... Byłoby mi przykro, gdyby mię doszła kiedy wieść, że masz poderżnięte gardło od ucha do ucha.

— To moja rzecz—odparł spokojnie pośrednik. Zdejmij mu tylko łańcuch i kajdany z rąk.

— Czyś oszalał?

— Rób-no swoje.—Pośrednik, chcąc dopiąć swego celu, skinął na Simbę, który z wielkiego pośpiechu potracił kilku amatorów, i grzmiącym swym głosem krzyknął: Kalulu!

Młodzieniec doznał tak silnego wrażenia, że zachwiał się na nogach—przyszedł jednak prędko do siebie. Gawiedź, zebrana na rynku, z niesmakiem i zadziwieniem przyglądała się temu, że dwaj młodzi arabowie, bogato ubrani, poniżają się tak dalece, iż ściskają, i to publicznie—jedno z tych plugawych bydłał, zwane powszechnie negrem. Ci dwaj młodzieńcy wcale nie zwracali uwagi na widzów, na ich zdziwienie i oburzenie: odnaleźli przyjaciela, ściskali go więc z całego serca, nie myśląc o barwie jego skóry.

Gdy Kalulu zobaczył wspaniałą siedzibę Selima, wpadł w zupełny zapał.

— Chodź uściskać moją matkę!—rzekł doń Selim.

Wprowadził go do tej części domu, gdzie żadnemu mężczyźnie nie było wolno wchodzić i zapukał do drzwi swej matki.

Amina ukazała się natychmiast; zobaczywszy przed sobą mężczyznę, i to negra, zarumieniła się i zmieszała.

— Matko moja—rzekł Selim, całując ją w rękę z uszanowaniem—to Kalulu!

— Żadne w świecie słowo magiczne nie wywarło tak doraźnego wpływu. Niebiański uśmiech rozjaśnił jej lica; wzięła w objęcia olśnionego i wzruszonego młodzieńca i powiedziała mu kilka takich wyrazów, jakie tylko matka umie znaleźć w sercu, gdy chce podziękować wybawcy swego syna. Za-

kończyła temi słowy: Ten dom jest twoim domem..  
Rozkazy twe będą skwapliwie spełniane.

Simba, Motto i Niani dostali domy i ogrody,  
przez wzgląd na to, że ich Selim kocha i że tak  
wiele ucierpieli z nim i dla niego; ale tobie swój  
własny dom ofiaruję, bo jestem tak samo jego, jak  
i twoją matką.

W ich długich gawędach imię Ferodji jest czę-  
sto wspominane.

— Usłyszysz on o nas, gdy dojrzejemy — powie-  
dział Selim—ale jesteście jeszcze dziećmi i musimy  
nauczyć się wielu rzeczy. Uczmy się więc, żebyś  
był kiedyś większym królem od samego Loralamby  
i żeby uatutasów napelniało to dumą i szczęściem,  
że zostają pod twym panowaniem. A nadewszystko  
nie zapomnijmy nigdy, że byliśmy niewolnikami.

K O N I E C.



## T R E Ś Ć.

	Stron
ROZDZIAŁ I.	5
Amina, żona Szeika Amira.—Narada arabów.—Kraj Rua.—Syn konsula.—Selim i Iza uzyskują pozwolenie towarzyszenia wyprawie.—Boleść Aminy.—Karawana odplywa do Bagamojo.	
ROZDZIAŁ II.	18
Pożegnanie.—Amina i Selim—Cuda Simby.—Portret Motta.—Małpa Niani.—Motto i słonie.—Historja wojenna.—Kalulu, syn królewski.	
ROZDZIAŁ III.	42
Narada—Wyobrażenia małego araba o niewolnictwie.—Niepowodzenie Niani'ego—Przygoda z krokodylem.—Selim jest wynagrodzony za odwagę i zręczność.—Popłoch.—Simba otrzymuje nagrodę za wierność.—Uaorisowie.—Wojna.	
ROZDZIAŁ IV.	74
Napad na Kuikuru — Rycerskie czyny Simby. — Śmierć Kamisa.—Amir przeszyty strzałą.—Selim dostaje się do niewoli.—Tifoum Byah.—Bohaterska odwaga Selima—Abdallah oświadcza, że nigdy nie będzie niewolnikiem.—Podział łupów — Odwrót Ferojji.	
ROZDZIAŁ V.	94
Simba i Motto robią przystanek w lesie, nocną porą.—Motto obmyśla plan uratowania Selima — Simba i Motto zaprowadzeni do Katalambuli, jako niewolnicy.—Kalulu poznaje Motta — Król żeni Motta i Simbę.—Uroczystość weselna.	
ROZDZIAŁ VI.	109
Cierpienia Selima, Abdallaha i Mussuda.—Śmierć Izy.—Ucieczka Selima.—Selim zabija lwa, a potem	

II.

antyloję. — Selimowi grozi śmierć z głodu i pragnienia.

- ROZDZIAŁ VII. . . . . 129  
 Tryumfalne wejście Ferodji. — Król obdarza Kalulu Abdallahem. — Abdallah spotyka się z Simbą i Moto. — Odnalezienie Selima. — Przyjazd Kalulu dla Selima.
- ROZDZIAŁ VIII. . . . . 146  
 Obrzęd „pobratymstwa“. — Selimowi grozi niebezpieczeństwo. — Simba go ocala. — Kalulu stawia czoło Ferodji. — Sztuczki hipopotama. — Walka z krokodylem — Powrót do wsi.
- ROZDZIAŁ X. . . . . 185  
 Kalulu zostaje królem. — Selim prosi, by mu pozwolił wrócić do Zanzibaru. — Niezadowoleni. — Ambicja Ferodji — Rady Tifouma. — Zdradziecy goście.
- ROZDZIAŁ XI. . . . . 198  
 Król Kalulu wzięty w niewolę — Ferodja mówi mu, żeby się przygotował na śmierć. — Czyny rycerskie Niani'ego. — Wolni. — Selim prosi Kalulu, żeby się udał do Zanzibaru. — Zbiegi pragną dostać się do Udżidzi.
- ROZDZIAŁ XII. . . . . 215  
 Ranek w lesie. — Bawoły. — Opowiadanie Niani'ego. Śmierć lwa.
- ROZDZIAŁ XIII. . . . . 233  
 Z biegiem wody. — Nakoniec dochodzą do jeziora. — Selim strzela do zebry. — Jazda na grzbiecie zebry. Selim uratowany. — Na jeziorze. — Znowu dostają się do niewoli.
- ROZDZIAŁ XIV. . . . . 241  
 Niewola w całej groźbie. — Przeprowadzenie przez rzekę. — Wyzwolenie. — Walka Simby z lampartem. — Jak rozpała się ogień. — Jak walczy uatutasy. — Kalulu dostaje się, przez zdradę, do niewoli.
- ROZDZIAŁ XV. . . . . 257  
 Niepokój towarzyszy Kalulu. — Tabora. — Selim odnajduje przyjaciela. — Zanzibar — Powrót do domu ojcowskiego. — Bazar niewolników. — Kalulu.











50 — ~~36~~

20. 70

141585



39709